TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 25 listopada – 1 grudnia 2026 | nr 48 (4038)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI
Rafał Stec: kto skopał polski futbol
Chiński dyrygent koncertu mocarstw
Czy zbrodniarz ma prawo do pogrzebu
Debata o ADHD: półprawdy i wiara w mity
Rozmowa z Gisèle Pelicot
Justyna Kowalczyk-Tekieli: świat nie dla dzieci

Przemęczenie Krajowe Brutto

POLACY: LIDERZY ROZWOJU, REKORDZIŚCI W WYCZERPANIU

STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

EKSTRA STRONY
Tygodnik Trzeciego Wieku
Granice koloru. Ikaty w Muzeum Azji i Pacyfiku
Kultura tworzy przyszłość

eprasa.pl 7fab5216f4

REKLAMA

Kraków

ŁUKASZ GIBAŁA
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

Muzeum Krakowa

SZOPKI W KRZYSZTOFORACH
NATIVITY SCENES IN THE KRZYSZTOFORY

84. KONKURS SZOPEK KRAKOWSKICH
KRAKÓW NATIVITY SCENES CONTEST



WYSTAWA POKONKURSOWA
CONTEST EXHIBITION
09.12.2026–28.02.2027
Rynek Główny 35, Pałac Krzysztofory

CENTRUM OBSŁUGI ZWIEDZAJĄCYCH / VISITOR CENTRE:
Rynek Główny 35, 31-011 Kraków
tel. / phone: +48 12 426 50 60 | info@muzeumkrakowa.pl

unesco
Polski Komitet do spraw UNESCO

MECENAS MUZEUM:
WODOCIĄGI Miasta Krakowa
125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

MECENAS WYSTAWY:
BSR Bank Spółdzielczy Rzemiosła w Krakowie

PARTNERZY:
30 LAT KHK
10 LAT EKOSPALARNIA KRAKÓW
KZA
Galeria Bronowice MIEJSCE NA TWÓJ CZAS
IMAGO
ARTIM
Wawel
TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORII I ZABYTKÓW KRAKOWA

PATRONI MEDIALNI:
65 TVP3 KRAKÓW
Kraków.pl
Kraków Culture KARNET

MUZEUM KRAKOWA · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

eprasa.pl Ziab52464

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Chiński dyrygent
JAKUB JAKÓBOWSKI

8 Komentarze

15 Tygodnik czytelników

■ ■ KRAJ

16 Kto skopał polski futbol
RAFAŁ STEC: *Notoryczne klęski naszej reprezentacji są nielogiczne na tle postępu naszego kraju*

19 Nie czuję, że kupuję
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA *o długach w czasach Black Weeks*

22 ADHD: półprawdy i wiara w mity
PAWEŁ KICMAN: *Polemika z wywiadem Dominiki Soszyńskiej z Radosławem Stupakiem*

■ ■ ŚWIAT

40 Egzekucja po amerykańsku



MARIA STENZEL

ROZMOWA Z AUSTINEM SARATEM, PRAWNIKIEM I POLITOLOGIEM: *Kara śmierci jest niezgodna z wartościami USA*

44 Licencja na (cyber)zabijanie
KAMIL FRYMARK: *Przewrót w niemieckich służbach specjalnych*

46 Parada oszustów
MACIEJ STASIŃSKI *o zmierzchu lewicowego populizmu Pedro Sáncheza*

■ ■ WIARA

50 Czas otwarty na niebo
MAREK KITA: *Adwent odsłania naturę doczesności, w którą wlewa się wieczność*

53 Co może kardynał Ryś
ARTUR SPORNIAK *o książce „Nie tracę nadziei”*

54 Pochówku nie można odmówić nikomu
ROZMOWA Z KS. ALFREDEM MARKIEM WIERZBICKIM: *To nie tylko kwestia wiary, ale praw człowieka. Nawet zmarłego zabójcy*

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

TEMAT TYGODNIKA

10

Przemęczenie Krajowe Brutto
SŁAWOMIR SOCHAJ

Kiedy mówimy o spektakularnym wzroście gospodarczym Polski, zapominamy często o jego rewersie. Tymczasem, gdyby istniał wskaźnik Deficytu Energii do Pracy i Rozwoju *per capita*, bylibyśmy jednym z europejskich liderów.



■ DODATKI SPECJALNE ■

29 TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU

71 GRANICE KOLORU. IKATY W MUZEUM AZJI I PACYFIKU

80 KULTURA TWORZY PRZYSZŁOŚĆ

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o Czerwonym Kapturku*
28 OLGA DRENDA *o wprowadzaniu w błąd*
70 JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI *o tym, dlaczego nie chcemy mieć dzieci*
80 WOJCIECH BONOWICZ *o kotach*
98 PAWEŁ BRAVO *o smaku soli*
106 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o przesłaniu Lecha Kaczyńskiego*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTOR PROWADZĄCY: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

57 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

58 Nasi prapradziadkowie
KRZYSZTOF PIĘCIAK: *Muzeum Frontu Wschodniego I Wojny Światowej powstanie w Gorlicach*

■ ■ NAUKA

64 Zwierzęta, których nie ma
MARTA ALICJA TRZECIAK: *Rynek syntetycznych zwierzątek domowych już powstał*

67 Dzień drogi



MATERIAŁY PRASOWE

ROZMOWA Z LINDĄ SPILKER, KIEROWNICZKĄ NAUKOWĄ MISJI VOYAGER: *Ile zawdzięczamy dwóm sondom kosmicznym*

■ ■ KULTURA

88 Herbatka z Bondem
ALEKSANDRA MAJAK *o Nagrodzie Bookera*

91 Litewska 10
PIOTR PAZIŃSKI *o warszawskim adresie, który skupia znaczną część polskiej historii XX wieku*

93 Mnie interesują przeciętni Polacy
PIOTR KOSIEWSKI *o wystawie Edwarda Dwurnika w MSN w Warszawie*

96 Braterstwo i bratwa
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Jamesa Graya „Papierowy tygrys”*

97 Biblioteka nieobecnych
LEKTOR *o książce „Poczet rękopisów utraconych” Karoliny Grodziskiej*

■ ■ PSYCHE

102 Wstyd ma zmienić stronę



LISELOTTE SABROE / RITZAU SCANPIX / AFP / EAST NEWS

ROZMOWA Z GISÈLE PELICOT: *Życzę wszystkim ofiarom, żeby odzyskały pewność siebie*

eprasa.pl 7fab5216f4

KS. ADAM

Boniecki: *Adwentowe słomki*

Co roku przed Bożym Narodzeniem jest Adwent. Nie od zawsze: najpierw nie było ustalonej daty i Boże Narodzenie obchodzono razem ze wspomnieniem Trzech Króli. To może się wydawać dziwne nam, którzy co jak co, ale te święta zawsze obchodzą, jednak warto pamiętać, że Chrystus nie zostawił nam ani kalendarza liturgicznego, ani struktury organizacyjnej Kościoła. Cały ten system kształtował się przez wieki, a na jego kształt złożyły się nie tylko czynniki boskie, ale także bardzo ludzkie, pożyteczne czasem w jakiejś epoce i zostające na epoki kolejne, bo usuwanie czegoś, co weszło do „tradycji", to sprawa delikatna.

I tak było przez stulecia, często z pożytkiem dla wiary, a czasem tylko z pożytkiem pozornym. Niekiedy następował proces oczyszczania wiary z tych wymyślanych przez ludzi ozdób, ale, niestety, czasem bywało odwrotnie. Konserwowano coś, co wydawało się „pedagogicznie" pożyteczne, lecz na dłuższą metę stwarzało problemy.

Mniejsza o to jednak: święta Bożego Narodzenia wprowadzono, obchodzono przez stulecia i dla nas w XXI wieku są oczywistością – podobnie jak oczywistością jest poprzedzający je Adwent.

Mamy dwa takie okresy przygotowawcze, bo jest też Wielki Post przed Wielkanocą. Myślę, że ich pojawienie się wynika ze znajomości człowieka. Ten czas ma być czasem nawrócenia. Nawrócenie zaś wymaga... czasu. Są oczywiście nawrócenia dojrzewające w człowieku niepostrzeżenie dla niego samego. Są też – wierzę w to i jestem tego pewien – olśnienia Bogiem, nagłe jak uderzenie



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

MICHAŁ

Kuźmiński: *Dziadostwo*

Jak to możliwe, że Polska, bogacąca się najszybciej w UE, chwalona za rozwój, porządek i bezpieczeństwo – czyli kraj, który pokonuje własne stereotypy – w piłce nożnej ponosi notoryczne klęski i „z morderczą konsekwencją trwoni swój potencjał"? To pytanie, które w tym wydaniu zadaje **RAFAŁ STEC**, przejmuje nawet tak zatwardziałego futbolowego agnostyka jak ja.

Bo nie jest to pytanie tylko o piłkę. Kiedy czytam diagnozę o unikaniu systemowego myślenia i bazowaniu na improwizacji i „nadziei, że jakoś to będzie", kiedy autor zauważa, że zdezaktualizowało się już prawo do wymówek opartych na deficytach politycznych, ekonomicznych czy infrastrukturalnych, myślę o newsie minionego tygodnia: że policjanci, którzy powstrzymali zamachowca, Jakub Kulik i Artur Morański, sami kupili sobie kamizelki kuloodporne. Policja zapowiada, że „bada sprawę", choć ta jest tajemnicą poliszynela, na którą zwracaliśmy uwagę już tydzień temu: wielu funkcjonariuszy za własne pieniądze kupuje kamizelki

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 107

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 7fab5216f4

gromu. Ale zazwyczaj jednak potrzeba czasu. Nawrócenie nie jest łatwe i nie jest dane raz na zawsze. Dlatego są te tygodnie przed obchodami najistotniejszych tajemnic wiary. Żeby rzeczywiście dać czas Bogu i – nade wszystko – dać czas naszemu człowieczeństwu.

Prawdziwe nawrócenie bywa bowiem czasochłonne, czasem wymaga kosztownych zmian w naszym życiu, kosztownych w sensie dosłownym, i psychologicznie kosztownych, niekiedy związanych także z pomocą lekarzy specjalistów i podjęciem terapii. Takich decyzji (takiego nawrócenia) nie przeżywa się w ciągu pięciu minut, a nawet w ciągu pięciu dni.

Moje adwentowe wspomnienie z lat dziecinnych (pisałem już o nim kiedyś) to wspomnienie składania „słomek". Ściśle mówiąc, chodziło o źdźbła siana: co wieczór znosiliśmy je na miejsce, które potem miało być żłóbkiem dla Dzieciątka – tyle słomek, ile dobrych uczynków udało nam się w ciągu dnia spełnić. Nie opowiadaliśmy, o jakie dobre uczynki chodziło. To była sprawa naszych sumień. Potem chyba sianka starsi dokładali, ale to nie było ważne – ważne były nasze adwentowe dobre uczynki.

Oczywiście sianka już dawno nie zbieram, ale dobry nawyk zwracania uwagi na dobro w Adwencie chyba we mnie został. Adwent to czas rewizji starzejących się szybko i wchodzących w (mój) zwyczaj złych nawyków, czas uwagi na obecność czy też zanikanie dobroci w moim życiu. I jeszcze (nadprzyrodzony) komunikat: „uwaga, życie wartko płynie". To jak pamięć o adwentowym zbieraniu sianka dla Przychodzącego, choć nie ma już słomek. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

i rękawice taktyczne, stazy i profesjonalne apteczki, samemu musi też sprawić sobie do domu szafkę pancerną na broń służbową, płaci za treningi strzeleckie, bo w większości policyjnych jednostek strzelnic brak, a na specjalistyczne szkolenie trudno się dostać.

Wieloletni rzecznik prasowy policji Dariusz Nowak przyznał w TVN24, że ponieważ kamizelki nie są osobiste, bywają niedopasowane i przepocone, dlatego chce się mieć własną. Ale co się dziwić kamizelkom, gdy policjanci narzekają na jakość sortu mundurowego, a mundurówka, czyli ekwiwalent na samodzielny zakup butów czy spodni, ma się nijak do cen rynkowych.

Tej dużej, zamożnej i poważnej Polski nie stać na wyposażenie i szkolenie policjantów? Na dziadostwo na pewno jej nie stać, bo stosunek do policji odzwierciedla stosunek do państwa.

Słysząc o funkcjonariuszach ubierających się i wyposażających za własne pieniądze, chce się do przyczyn chronicznego przemęczenia Polaków, które w Temacie Tygodnika wylicza **SŁAWOMIR SOCHAJ**, dopisać jeszcze jedną. Uwierającą nie tylko przecież w policji: fakt, że aktywni i pełni poświęcenia ludzie tak często muszą działać w systemie „z morderczą konsekwencją trwoniącym ich potencjał". ©℗

Dziennikarz i redaktor działu Kultura, podkaster, współautor powieści kryminalnych i wywiadu rzeki „Ścigając zło" oraz książki true crime „Sprawcy i ofiary. Prawdziwe historie polskich zbrodni".

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

AGNIESZKA KANTARUK
Nie mogąc liczyć na państwo, lokalne społeczności biorą sprawy w swoje ręce i zaczynają walczyć z quadami rozjeżdżającymi nasze pola, lasy i łąki. Czasami bardzo bezpośrednio.

SZYMON ŁUCYK Z PROWANSJI
Na południu Francji spektakle z udziałem byków wciąż zapełniają areny. Choć ten najkrwawszy, korrida, napotyka na coraz większy opór. Nasz autor odwiedził areny i hodowle byków.

PIOTR POPIOŁEK
Prawica zawłaszczyła język wiary, choć nauczanie społeczne Kościoła bliższe jest lewicowej diagnozie. Dlaczego lewa strona boi się religii i jej języka?

BARTOSZ SZYDŁOWSKI
Teatr to przestrzeń zaufania. Czy sztuka może rozbroić plemienną polaryzację? Odpowiedzi szukają „Proces Eligiusza Niewiadomskiego" i tegoroczny festiwal Boska Komedia.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 7fab5216f4

OBRAZ TYGODNIA

16-22 LISTOPADA 2026

ROSYJSKIE RAKIETY SPADŁY w trzech miejscowościach Podkarpackiego i Lubelskiego, w odległości od 30 do 80 km od granicy. Nikt nie został poszkodowany. Rząd uważa, że naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej w trakcie intensywnych bombardowań Ukrainy było zamierzoną prowokacją, zwłaszcza że na położonym o kilkadziesiąt kilometrów dalej poligonie odbywały się manewry wojskowe tzw. koalicji chętnych do pomocy Ukrainie. Kilka godzin po incydencie NATO zapowiedziało wzmocnienie ochrony polskiej granicy. ■■■ **MOST KERCZEŃSKI,** łączący okupowany Krym z terytorium Rosji i będący główną arterią dostaw dla wojsk okupanta na południu Ukrainy, został uszkodzony przez ukraińskie rakiety. Ukraińcy zaatakowali też rosyjski statek handlowy w Zatoce Fińskiej; nie wiadomo natomiast, czy eksplozje w obwodzie królewieckim to efekt ich działania, czy rosyjska prowokacja, mająca uzasadnić kolejne agresywne posunięcia Kremla. ■■■ **SZCZYT TRUMP-PUTIN-XI W SHENZHEN** zakończył się podpisaniem deklaracji „na rzecz pokoju". Dużo więcej konkretów nie było, choć na marginesie jednego ze spotkań Trump nazwał Putina „swoim przyjacielem". ■■■ **CIAŁO ZAMACHOWCA,** który w Krakowie i Ostrowcu zastrzelił 9 osób, zostało odebrane przez rodzinę z zakładu medycyny sądowej. Wcześniej prezydent Krakowa zadeklarował, że miasto nie będzie płacić za jego pochówek. ■■■ **SEJM** odrzucił wniosek klubu Rozwój Plus o wyrażenie konstruktywnego wotum nieufności i wybór Marka Jurka na premiera. W głosowaniu rząd Tuska poparło 242, a za odwołaniem było 200 posłów. ■■■ **PREZYDENT** powołał ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego na stanowisko wicepremiera, a Agnieszkę Bartol na funkcję ministra funduszy i polityki regionalnej. ■■■ **W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM** zgromadzenie sędziów zwołane przez Annę Korwin-Piotrowską uchyliło immunitet dotychczasowego prezesa Bogdana Święczkowskiego, ale nie wyraziło zgody na jego zatrzymanie i tymczasowy areszt. ■■■ **NOCNA PROHIBICJA,** zakaz reklamy i promocji typu „12 + 12" alkoholu – nowelizacja ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi trafiła na biurko prezydenta. ■■■ **190,4 MLN DOLARÓW** kosztował na aukcji Sotheby's obraz Vincenta van Gogha „Kwitnące kasztanowce". Wcześniej doszło do zawarcia ugody między obecnymi właścicielami dzieła a spadkobiercami żydowskiego kolekcjonera Samuela Fischera, zmuszonego w 1936 r. do jego sprzedaży w trakcie nazistowskich prześladowań w Niemczech. ■■■ **GRAND THEFT AUTO VI** ustanowiła rekord na rynku gier komputerowych – w pierwszym dniu od premiery osiągnęła sprzedaż detaliczną na poziomie 3,79 mld dolarów. ■■■ **NOWYM BONDEM** będzie brytyjski aktor Robert Pattinson, znany m.in. z ról w serii „Zmierzch" i tej o Batmanie. Ostatni film z Danielem Craigiem w roli agenta 007 miał premierę w 2021 r.

©℗



DOUG MILLS / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

POWYŻEJ: Putin, Xi i Trump w Shenzhen, 19 listopada 2026 r.

CHIŃSKI DYRYGENT

Widmo nowej Jałty zdominowało globalne dyskusje po szczycie w Shenzhen. Jednak spotkanie Trump-Putin-Xi okazało się w dużej mierze pozbawione treści. Do podziału świata nie doszło, był za to starannie reżyserowany spektakl.

JAKUB JAKÓBOWSKI

Pełna zaniepokojenia, a momentami wręcz histeryczna debata na temat spotkania USA, Rosji i Chin w Shenzhen mówi sporo o nas samych i naszych strachach. Nie mówię tu jedynie o Polsce, lecz w zasadzie o wszystkich amerykańskich sojusznikach. Europa z niepokojem spoglądała na każdy szczegół urywkowej rozmowy Putina z Trumpem w Chinach, zwołując równocześnie w Berlinie szczyt dotyczący rozstrzygnięć wojny na Ukrainie.

Z kolei partnerzy Waszyngtonu w Azji bali się porozumień ponad ich głowami w sprawie Korei Pół-

eprasa.pl 7fab5216f4



Chiny zarabiają na losie Ukrainy

WOJNA ▪ Choć Chiny wspierają rosyjski wysiłek wojenny, nie zaniedbują okazji, by zarobić, traktując także Ukrainę jak rynek zbytu. Według ukraińskich mediów, odwołujących się do danych ukraińskiej służby celnej, podmioty z Ukrainy importują na coraz większą skalę chińskie komponenty do produkcji dronów i urządzenia niezbędne dla remontów infrastruktury energetycznej, niszczonej przez Rosjan.

Od stycznia do października 2026 r. import transformatorów i innych urządzeń ze sfery energetyki wyniósł 1,28 mld dolarów (wzrost o 46 proc. wobec 2025 r.), w tym za 1,1 mld z Chin. Szef DTEK (odpowiednik Tauronu) tłumaczył, że ograniczone moce producentów z Europy zmuszają Ukrainę do kupowania w Chinach.

Gdy idzie o komponenty, które można użyć do produkcji dronów, a także o urządzenia do magazynowania energii (baterie do dronów, stacje zasilania), w ciągu 9 miesięcy 2026 r. cały ten import wzrósł do 12,9 mld dolarów (wobec 4,5 mld w 2025 r.), z czego 9,7 mld przypada na Chiny. Dostarczają one 94 proc. silników do dronów i 93 proc. światłowodów. ©℗ WP

nocnej czy też koncesji w sprawie Tajwanu. Obawy te podsycał oczywiście ultratransakcyjny i brutalny styl polityki Trumpa wobec sojuszników z ostatniego roku, a także jego ewidentna mięta do silnych liderów. Obaw o „deal ponad naszymi głowami" było więc sporo.

GÓRA RODZI MYSZ | Okazało się jednak, że nowej Jałty – powtórki z tamtego spotkania Stalina, Roosevelta i Churchilla w lutym 1945 r. na Krymie, podczas którego zapadły decyzje o podziale Europy, oddające także Polskę na pół wieku w strefę wpływów Moskwy – nie było. W Shenzhen góra urodziła mysz.

Oczywiście, można powiedzieć, że już samo spotkanie „trzech przyjaciół" to niebezpieczny precedens, do tego kompletnie niepotrzebnie wywyższający Putina i Moskwę, wyraźnie odstającą potencjałem od Waszyngtonu i Pekinu.

Jeśli jednak spojrzeć na ustalenia i treść tego spotkania, to pozostało z niego kilka okrągłych sformułowań i wspólny atak na Międzynarodowy Trybunał Karny, z którym Trump ma na pieńku. Wspólny mianownik strategicznych interesów Moskwy, Pekinu i Waszyngtonu okazał się niezwykle mały. Do Jałty, której ówcześnie trzej protagoniści militarnie kontrolowali niemal cały świat, spotkaniu w Shenzhen też było oczywiście daleko.

TROCHĘ TEATRU | To, że głównym uzyskiem ze spotkania stało się zdjęcie – z centralnie usytuowanym Xi Jinpingiem w otoczeniu Putina i Trumpa – nie jest przypadkiem. W Shenzhen nie rozstrzygnięto ani losów wojny na Ukrainie, ani przyszłości układów o rozbrojeniu atomowym. Chińczycy zwyczajnie nie byli zainteresowani wciąganiem ich w kwestie, które budowałyby tylko dodatkową presję ze strony Waszyngtonu i groziły im wciągnięciem w rozliczne gierki Moskwy. Zresztą Pekin wcześniej długo opierał się organizacji trójstronnego spotkania.

Ostatecznie najważniejszy okazał się teatr: z Xi Jinpingiem jako centralną postacią, dyrygentem nowego „koncertu mocarstw", rozjemcy Moskwy i Waszyngtonu. Szczęśliwie dla nas – pozbawiony głębszej treści, która mogłaby wpłynąć na losy Europy.

STRATEGIA PEKINU | Jeśli chodzi jednak o rozgrywkę w Azji, główny obszar zainteresowania Chin, efekty okazały się dużo bardziej wymierne. Przypomnijmy, co uciekło niemal całkowicie w polskiej debacie: w futurystycznym Shenzhen odbył się szczyt APEC.

To kluczowe spotkanie polityczno-gospodarcze w Azji, które zgromadziło ponad 30 liderów całego regionu Pacyfiku. Podczas gdy uwagę USA i Zachodu przykuła obawa przed nową Jałtą, Chińczycy sprawnie wykorzystali to wydarzenie do dalszego nadwerężania amerykańskiej sieci sojuszy na Pacyfiku. Co istotne, w tej grze coraz częściej rolę chińskiego pomocnika pełni Moskwa (organizująca w czasie trwania szczytu wojskowe prowokacje wobec Tajwanu i Japonii).

Strategię Pekinu można określić następująco: przytulić Trumpa w ciepłych objęciach tak mocno, by nie mógł się poruszać, a następnie rozgrywać kluczowe relacje w Azji na niekorzyść USA. Nie inaczej było i tym razem. Trump otrzymał iście cesarskie przyjęcie, powitanie na płycie lotniska przez samego Xi Jinpinga, koncyliacyjne spotkanie dwustronne, a potem schlebiający jego ego „jałtański" trójstronny szczyt z Putinem. Jak zwykle, miłe słowa podszyto zawoalowaną groźbą wobec USA: jeśli Stany posuną się za daleko w sprawie Tajwanu, cały domek z kart momentalnie się posypie.

SCENA I KULISY | Gdy więc Trump skupiony był na supermocarstwowej agendzie i podziwianiu technologicznego splendoru Shenzhen, Chińczycy niestrudzenie pracowali. Spotkanie Xi Jinpinga z prezydentem Korei Południowej, Lee Jae-myungiem, przyniosło przełom w rozmowach o pogłębieniu umowy o wolnym handlu – w momencie, gdy relacje Waszyngtonu z Seulem gwałtownie się pogarszają.

Z kolei Japonia – pogrążona w politycznym i gospodarczym konflikcie z Pekinem, a także doświadczająca zgodnego militarnego nękania ze strony Chin i Rosji – nie doczekała się od Trumpa wyrazów wsparcia. Pani premier Sanae Takaichi doznała wręcz w Shenzhen kilku dyplomatycznych afrontów. Chiny pracowały też intensywnie nad stabilizacją relacji z Australią, a to w czasie spotkania Xi z premierem Anthonym Albanesem.

„Koncertu mocarstw" w Shenzhen ostatecznie nie było. Za to stało się ono sceną dla wielkiego politycznego teatru. Za jego kulisami Pekin systematycznie prowadził swoją grę o dominację w Azji. ©

Autor jest wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie, gdzie kieruje także Zespołem Chińskim.

eprasa.pl 7fab5216f4



Z biedą sam na sam

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To nie będzie komentarz polityczny: w każdym razie nie w sensie, w jakim słowo „polityka" weszło do polskiej głowy – jako gonitwa o władzę, w której los Kowalskiego bywa częściej narzędziem emocjonalnego szantażu niż sprawą do załatwienia.

Biedańsk, jak „Szlachetna Paczka" nazywa w swoim corocznym raporcie wyobrażone miasto skrajnie ubogich Polaków, to nie jest metropolia, w której rządy dałoby się łatwo obsadzić – Tuskiem, Kaczyńskim albo kimś trzecim. Liczba 2 mln Polaków, przekładająca się na wskaźnik 5,3 proc., o których mowa w nowej edycji raportu, utrzymuje się na podobnym poziomie od dekady – bez względu na polityczne rozdania.

Tym razem autorzy, poza wskaźnikami samej biedy z 2025 r., prezentują też wyniki nowych badań – nastawienia Polaków do ubóstwa. Wynika z nich m.in., że aż 72 proc. z nas obawia się o swoje finansowe bezpieczeństwo, a 29 proc. zdarza się martwić o to choć raz w tygodniu. Wyniki badania przypominają też, że obawa przed biedą może być sprzężona z samotnością: 19 proc. z nas nie ma nikogo, kto pomógłby jej lub jemu w finansowym kryzysie, a 39 proc. „nie ma pewności lub wprost deklaruje, że nie znalazłoby osoby gotowej pożyczyć im 1000 zł".

Czyją winą jest fakt, że w 20. gospodarce świata co dwudziesty mieszkaniec żyje w stanie nędzy zagrażającej jego życiu lub zdrowiu? Czasy początków III RP i kompulsywnego odmieniania frazy „wyuczona bezradność" mamy szczęśliwie za sobą. Skoro więc nie sami ubodzy, to może winni są wspomniani Tusk z Kaczyńskim? Na pierwszy rzut oka to strzał kulą w płot: prawica wprowadziła rewolucyjny program 500 plus, który w pierwszych latach działania ograniczył nawet wyraźnie skrajną biedę, a Koalicja Obywatelska projekt ten – w wersji 800 – kontynuowała i kontynuuje.

Ale to właśnie świadczenie rodzinne okazuje się być po latach największym alibi dla bezczynności państwa wobec ubóstwa. Na pomoc społeczną wydajemy – w skali budżetu – grosze, a progi uprawniające do pomocy państwa waloryzujemy tak rzadko, że tysiące skrajnie biednych Polaków nie mogą nawet liczyć na zasiłek.

Być może jednak bardziej od winy powinna nas zainteresować przyszłość? Choć nic nie wskazuje na to, by wskaźniki polskiej biedy miały się zwiększyć – zmienia się, i to na gorsze, jej kontekst. Demograficzna zapaść i słabnące międzypokoleniowe więzi nie zwiększą zasobu ludzi gotowych pomóc nam w finansowej biedzie. Polskie państwo będzie musiało znaleźć na to swój pomysł – „alibi 800 plus" na niewiele już się zda. ©℗



ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

Przed Wigilią dla bezdomnych, ubogich i potrzebujących, zorganizowaną przez Caritas. Kraków, 24 grudnia 2020 r.



Atak na Autopay

AGATA KAŹMIERSKA
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

O cyberataku na Autopay wciąż wiadomo niewiele. Jeden z największych polskich operatorów płatności online (oferuje rozwiązania m.in. do płacenia rachunków, zakupów czy płatności za autostrady) wykrył włamanie do swoich systemów 11 listopada. Spółka podała, że napastnik mógł uzyskać dostęp do adresów mailowych, numerów telefonów, adresów IP oraz danych kart płatniczych. Nie podano, ilu jest poszkodowanych.

Choć ostatnio regularnie pojawiają się doniesienia o cyberatakach i wyciekach danych Polaków, ten przypadek jest szczególny i może zapowiadać serię, jakiej jeszcze u nas nie było. Autopay informuje bowiem, że atak „nosił cechy automatyzacji silnie wspieranej przez AI", i że ten model „może zostać powtórzony wobec innych".

Dla speców od cyberbezpieczeństwa sztuczna inteligencja jest – w takim kontekście – niczym puszka Pandory. Co zmienia? Głównie szybkość i skalę ataków. Dobrze obrazuje to kampania opisana niedawno przez firmę GreyNoise, zajmująca się bezpieczeństwem w sieci. Uruchomione przez jednego napastnika setki agentów AI w cztery godziny opracowały narzędzia do ataku i doprowadziły do włamania na pierwszy serwer. Gdy zaczęły kampanię na masową skalę, w ciągu 26 sekund przełamały zabezpieczenia kolejnych 11 organizacji. Ostatecznie uzyskały nieautoryzowany dostęp do systemów co najmniej 395 podmiotów w 48 krajach.

To dopiero początek problemów, bo do nieszczęść wyskakujących z tej „puszki" można dorzucić m.in. to, że w początkowej fazie atak pozostaje niezauważony. W przypadku Autopay – jak podaje serwis Sekurak, powołując się na przedstawiciela spółki – sprawca korzystał z prawidłowych danych uwierzytelniających i zwykłych narzędzi administracyjnych. Kolejne operacje wyglądały więc jak rutynowa praca informatyka.

Do tego AI coraz sprawniej zmienia dostępne publicznie informacje o lukach w zabezpieczeniach w narzędzia do włamań. Kilka dni temu Google Threat Intelligence Group opisał system o nazwie exploit_agent. Wykorzystywał on modele AI do automatycznej analizy poprawek bezpieczeństwa, publikowanych przez producentów oprogramowania. Porównywał kod przed aktualizacją i po niej, ustalał, jaką lukę usunięto, sam pisał program pozwalający ją wykorzystać i uruchamiał atak. Wszystko bez angażowania człowieka na kolejnych etapach. Choć więc samo wykorzystywanie przez hakerów informacji o poprawkach nie jest czymś nowym, to nowe jest tempo, w jakim można użyć tych informacji.

Bezpieczeństwo w sieci zawsze było wyścigiem. Sztuczna inteligencja nie zmienia zasad gry, lecz podnosi poprzeczkę. Przede wszystkim dla obrońców. ©

eprasa.pl 7fab5216f4

Rekordy z przeszłością



EDUARDO MUNOZ / REUTERS / FORUM

Obraz Vincenta van Gogha „Châtaigniers en fleurs” podczas pokazu dla mediów przed aukcją w Sotheby’s. Nowy Jork, 6 listopada 2026 r.

RYNEK SZTUKI ▪ Wieczór 18 listopada br. w nowojorskim Sotheby’s zakończył się wynikiem 777,8 mln dolarów i był najlepszy w historii tego domu aukcyjnego. „Châtaigniers en fleurs” („Kwitnące kasztanowce”) Vincenta van Gogha osiągnęły 190,4 mln, co również było rekordem, wyższym o ponad 70 mln, jakie za obraz tego artysty zapłacono w 2022 r. W całym minionym tygodniu Sotheby’s osiągnął sprzedaż na poziomie 1,3 mld dolarów – co także jest najwyższym wynikiem w historii domu. Nie gorzej poszło Christie’s. Na kluczowej aukcji uzyskano 627 mln dolarów, a obraz „Betonte Ecken” Wassilya Kandinsky’ego poszedł za 85,8 mln (poprzedni rekord tego artysty wynosił 44,8 mln). W obu domach wystawiono w minionym tygodniu dzieła o łącznej wartości 2,8 mld dolarów.

Odbywające się dwa razy w roku aukcje w Nowym Jorku są uznawane za barometr międzynarodowego rynku sztuki. Osiągnięte w ostatnim tygodniu wyniki pokazują, że obecny rok był bardzo dobry, choć sygnały, że rynek aukcyjny rośnie, mieliśmy już rok temu.

Wyniki pokazują, że wciąż największym zainteresowaniem cieszą się „klasycy nowoczesności”: żaden z 10 najdroższej sprzedanych od 2025 r. obrazów nie powstał przed rokiem 1880. Uwagę przykuwa też twórczość powstająca współcześnie, chociaż jej ceny aż tak gwałtownie nie rosną.

Wydarzeniem minionego tygodnia w Sotheby’s była też sprzedaż innych dzieł z kolekcji Carlosa Pedra Blaquiera i Nelly Arriety de Blaquier. Znajdowały się w niej – poza van Goghiem – także inne obrazy wyjątkowej, muzealnej klasy, nabyte w większości w latach 70. ubiegłego stulecia. Pochodzący z niej „Arlequin” Paula Cézanne’a sprzedano za 111 mln (za 12 wystawionych na aukcji dzieł zapłacono łącznie 412 mln dolarów).

Niewiele brakowało, by nie doszło do rekordowej sprzedaży „Châtaigniers en fleurs” – swoje roszczenia do dzieła van Gogha zgłosili spadkobiercy Samuela Fischera, którego prestiżowe wydawnictwo S. Fischer Verlag zostało po dojściu nazistów do władzy poddane „aryzacji”. Fischer zmarł w 1934 r., a jego rodzina przed opuszczeniem Niemiec musiała sprzedać majątek. Ostatecznie, dzień przed aukcją, Sotheby’s ogłosił, że spadkobiercy i obecni właściciele osiągnęli porozumienie.

Nie jest to jedyna kontrowersja związana z kolekcją Blaquier-Arrieta, nad którą ciążą i inne duchy przeszłości. Jej współtwórca Carlos Pedro Blaquier jest oskarżany o współudział w zbrodniach junty wojskowej, która w latach 1976-1983 rządziła Argentyną. W lipcu 1976 r., wykorzystując samochody należące do jego przedsiębiorstwa, porwano ok. 400 działaczy politycznych i związkowców. Los 55 z nich pozostaje nieznany. W 2012 r. postawiono Blaquierowi zarzuty, ale nie doczekał procesu. O tej ponurej historii nie można zapominać, zachwycając się wspaniałością zgromadzonej przez niego kolekcji.

© PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 7fab5216f4

TEMAT TYGODNIKA

PRZEMĘCZENIE KRAJOWE BRUTTO

Kiedy mówimy o spektakularnym wzroście gospodarczym Polski, zapominamy często o jego rewersie. Tymczasem, gdyby istniał wskaźnik Deficytu Energii do Pracy i Rozwoju per capita, bylibyśmy jednym z europejskich liderów.

SŁAWOMIR SOCHAJ

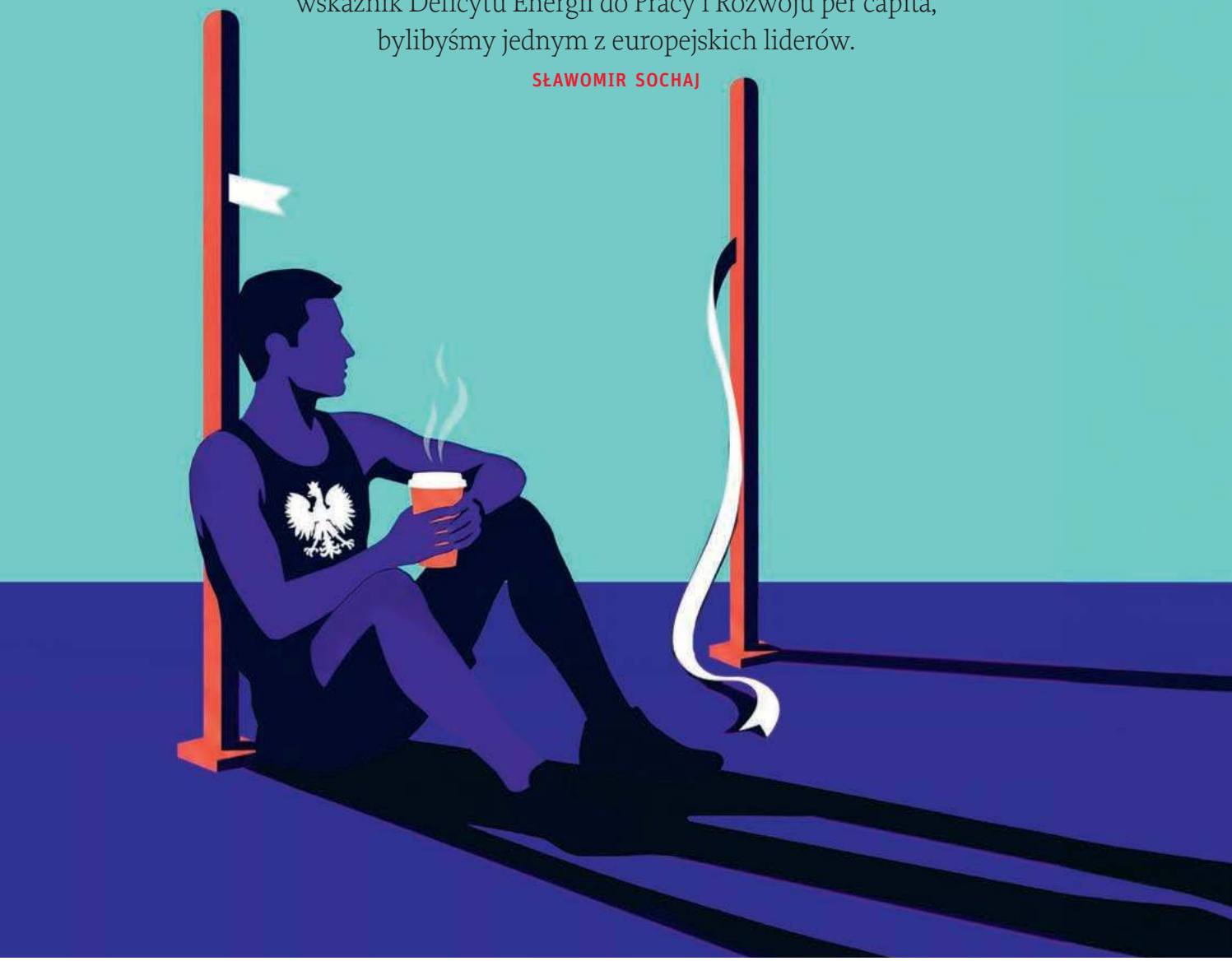

eprasa.pl 7fab5216f4

Chroniczne zmęczenie Polaków ma wiele twarzy. Pierwsza przynależy do pracownika, który zmaga się z nim po cichu, nie uskarżając się w pracy na rozładowane baterie. Druga uaktywnia się w sferze prywatnej, gdzie, z dala od spojrzenia przełożonego, trzeźwo i otwarcie oceniamy skalę swojego przepracowania. Trzecia to twarz przedstawiciela klasy średniej, który ukrywa wyczerpanie za oznakami statusu. Jest jeszcze czwarta twarz – dwudziestolatka, nad którym, choć sam nie zdążył jeszcze zmęczyć się pracą, unosi się już cień przepracowanych rodziców.

Koniunkcja zmęczenia

Wyczerpanie to stan permanentnego przeciążenia fizycznego lub psychicznego, które nie mija pomimo odpoczynku. Pojawia się wtedy, kiedy przez długi czas „jedziemy na oparach". Jeśli udałoby się je zmierzyć tak, jak mierzy się PKB, zauważylibyśmy pewnie wiele podobieństw między obydwoma wskaźnikami. Z dużym prawdopodobieństwem okazałoby się, że chroniczne zmęczenie ma tendencję do kumulacji, a jego wzrost jest niższy w krajach zamożnych niż w tych na dorobku. Co więcej, zauważylibyśmy najprawdopodobniej korelację między wykresem wzrostu gospodarczego a wykresem deficytu energii. Szczególnie w takich krajach jak nasz, gdzie wzrost wynika w dużej mierze z pracowitości, a nie np. z odkrycia bogatych złóż naturalnych.

O spektakularnym wzroście polskiego PKB po 1989 r. mówi się często, że nastąpiło w ciągu jednego pokolenia. To trochę tak, jakby jedno pokolenie budowało PRL między rokiem 1945 a 1982. W tym uproszczeniu jest jednak ziarno prawdy, bo istotnie skok od pozycji jednego z najbiedniejszych państw Europy do pierwszej dwudziestki największych gospodarek świata dokonał się w zadziwiająco krótkim czasie i pokolenie wchodzące na rynek w latach 90. może czuć się jednocześnie jego świadkiem i podmiotem.

Tak szybki skok nie mógł się dokonać bez kosztów społecznych. Najczęściej wspomina się w tym kontekście o zapaści demograficznej, która jest nie tylko głęboka, ale też stosunkowo łatwa do zmierzenia. Większy problem jest ze zmęczeniem, które w pewnych badaniach wydaje się omijać Polskę, a w innych – nasilać w stopniu większym niż w innych krajach europejskich.

Analizy tego zjawiska nie ułatwia fakt, że w samym środku transformacji spadła na nas rewolucja cyfrowa. Żeby zdać sobie sprawę ze skali obydwu zjawisk, warto zauważyć, że wydarzenia po 1989 r. były rewolucją społeczną, której skalę porównać można tylko do „Prześnionej rewolucji" z lat 1939-1956, a podłączenie naszego życia do globalnej sieci – najbardziej dynamicznym przewrotem technologicznym w historii świata. Powitanie w tym samym czasie kapitalizmu i internetu, a później smartfona, miało w sobie coś z koniunkcji ciał niebieskich. Z jednej strony pozwoliło Polsce uruchomić dwa silniki rozwoju, z drugiej złożyło się na niespotykane spiętrzenie przemęczenia.

Oddzielenie wpływu obydwu rewolucji na nasze zdrowie i samopoczucie jest niezwykle trudne. Jeśli chcemy w nadwiślańskim wyczerpaniu znaleźć lokalny koloryt, jesteśmy zdani na porównania z sąsiadami, tropienie polskich kodów kulturowych, które sięgają głęboko w historię, i wsłuchanie się w popkulturę. Sporo powie nam o nim także nasze miejsce na geopolitycznej mapie świata, kilkaset kilometrów od linii frontu największej europejskiej wojny od 1945 roku.

Liderzy wyczerpania

Badania pokazujące zmęczenie Polaków na tle innych narodowości mogą zaskakiwać skrajnie różnymi wynikami. Decydujące okazuje się to, czy pytamy o zmęczenie w pracy, czy zmęczenie chroniczne. Wydawałoby się, że obydwa są ze sobą powiązane, ale niekoniecznie widać to w statystykach.

Fundacja Eurofound spytała mieszkańców Unii Europejskiej, jak często czują się wyczerpani fizycznie w swojej pracy. „Zawsze" lub „przeważnie" odpowiedziało 19 proc. polskich respondentów. Na to samo pytanie dotyczące zmęczenia psychicznego podobnie odpowiedziało 12 proc. pytanych. W tej pierwszej kategorii zajęliśmy w Europie drugie miejsce, ustępując jedynie najbardziej wypoczętym Holendrom, w drugiej – siódme. Dla porównania: zmęczenie fizyczne w pracy zadeklarowało 32 proc. Czechów i aż 37 proc. Węgrów.

Zupełnie inne wyniki pokazuje raport Europejskiej Agencji Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy (EU-OSHA), która badała ogólne zmęczenie związane z pracą w ostatnim roku poprzedzającym badanie. W tym rankingu, z wynikiem 59 proc., jesteśmy europejskim liderem przepracowania, przy czym średnia dla EU wynosi 37 proc. Najmniej na zmęczenie uskarżają się Norwegowie (20 proc.); dla nas szczególnie alarmujące jest to, że blado wypadamy w porównaniu z sąsiadami – Czechami (40 proc.) czy Litwą (44 proc.). Ten sam raport pokazuje, że polscy pracownicy szczególnie często skarżą się na problemy związane z kośćmi, stawami lub mięśniami – także tu jesteśmy liderem z wynikiem 39 proc. Jeśli chodzi o ból głowy i zmęczenie oczu, z wynikiem 47 proc. ustępujemy jedynie Rumunom. W kategorii „stres, depresja i niepokój" jest tylko nieco lepiej (41 proc.) – tu przed nami są dwa kraje: Grecy i Finowie.

Skąd w takim razie tak różny wynik badań Eurofoundu? Pewne światło na tę rozbieżność może rzucić odpowiedź polskich pracowników na inne pytanie, jakie zadała EU-OSHA. Brzmiało ono tak: „Czy czułbyś/abyś się swobodnie, rozmawiając z przełożonym o swoim zdrowiu psychicznym". Polska ma tu drugi od końca wynik w Europie. Niewiele ponad 1/3 nadwiślańskich respondentów odpowiedziało twierdząco. Okazuje się, że liczne oznaki zmęczenia nie zmieniają naszej kultury pracy, w której zdrowie i dobrostan pracowników są marginalizowane.

Ten wniosek rzuca inne światło na raport Eurofoundu, który dotyczy zmęczenia w miejscu pracy, a więc tam, gdzie musimy się do tej kultury dostosować. Ta specyficzna sytuacja sprawia, że trzymamy fason, wiedząc dobrze, że uskarżanie się nie będzie mile widziane.

Między pracą a autonomią

Ten mechanizm ujawnia zjawisko mocno wpisane w polski model pracowitości, charakterystyczny dla społeczeństw postagrarnych. Chodzi o napięcie między ciężką, intensywną i możliwą do kumulowania w krótkich odcinkach czasowych pracą a potrzebą poszerzania swojej autonomii. Żeby to dobrze wytłumaczyć, cofnijmy się do czasów pańszczyzny i oddajmy głos podmiotowi lirycznemu ludowej pieśni „Chłopek ci ja, chłopek" z przełomu XVIII i XIX wieku. ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ *Chłopek ci ja, chłopek*
W polu dobrze orzę:
Wszystko mi się dobrze dzieje,
Chwała Tobie Boże.
Pana się nie boję ani ekonoma,
Odrobiłem swą pańszczyznę,
będę robił doma
(lub: Odrobiłem pańskie,
mogę siedzieć doma)

Niezależnie od tego, która wersja piosenki była popularniejsza – ta z siedzeniem w domu czy pracą w swoim gospodarstwie, fragment ten ilustruje wąski margines autonomii, który istniał w pańszczyźnie, i który chłop mógł poszerzyć, uporawszy się wcześniej z pracą dla pana. Jego wyrazem było wiele zachowań, gestów i mikrostrategii, których stawką było poczucie godności, zachowanie resztek energii pomimo niewolniczej pracy oraz byt jego rodziny.

Jeśli do refleksji nad kondycją polskich chłopów czasów pańszczyzny wykorzystamy badania XX-wiecznych socjologów zajmujących się społecznościami wiejskimi, na przykład Jamesa C. Scotta, dojdziemy do wniosku, że nad folwarkiem musiał unosić się duch ciągłego oporu, objawiający się w sabotażu, spowalnianiu pracy, kiedy nikt nie patrzył, celowym zmniejszaniu wydajności albo szybkim odpracowywaniu pańszczyzny kosztem jakości. Jeśli dodamy do tego fakt, że chłopska rodzina po uporaniu się z zadaniami na rzecz pana, ciągle miała bardzo ograniczoną, ale jednak istniejącą przestrzeń czasową na pracę dla siebie, okaże się, że klasa ta, nawet w tym mrocznym okresie, zachowała resztki ekonomicznej podmiotowości. Nie była to jednak podmiotowość rozumiana w duchu liberalnym, co zresztą nie zmieniło się nawet po uwłaszczeniu. Wówczas intensywność pracy wciąż była wysoka, bo jej horyzont wyznaczało biologiczne przetrwanie rodziny, nierzadko licznej, a jednocześnie po zapewnieniu tego celu chłop myślał bardziej o odpoczynku niż o pomnażaniu kapitału. W takiej społeczności tworzył się model pracowitości, której celem jest nie kumulacja zasobów w rozumieniu liberalnym, ale równowaga między wyczerpującą pracą a stopniem zaspokojenia potrzeb bytowych.

Późne echa tych kodów kulturowych możemy dostrzec także dzisiaj. Ich ślady widać w mocno ugruntowanym przekonaniu, że praca jest dla nas, a nie my dla pracy. Jesteśmy w stanie pracować bardziej intensywnie niż inne nacje, o ile – choćby iluzorycznie – oznacza to poszerzenie autonomii i zwiększenie jakości życia prywatnego. Częściej niż inni wyrażamy też sceptycyzm wobec kultury korporacyjnej, o czym wie każdy, kto przepracował trochę czasu w wielonarodowych zespołach. Liczy się nie gadanie, ale sprawne działanie, które pozwala odhaczać zadania.

Napięcie między pracą a autonomią sprawia, że w kwestii godzin spędzonych w pracy jesteśmy jednym z europejskich prymusów, ale w domu możemy łatwo przeistoczyć się w najbardziej zagorzałych krytyków „kultury zapierdolu" i bez najmniejszych oporów przyznać się do chronicznego przemęczenia. Sprawia też, że pracując intensywnie przez kilka dekad, oczekujemy gratyfikacji, jaką jest utrzymanie jednego z najniższych wieków emerytalnych w Europie. Ta ostatnia kwestia, która potrafi w Polsce doprowadzić do zmiany władzy, najlepiej pokazuje żywotność kodów kulturowych, w ramach których intensywna praca i jednoczesna wobec niej awersja żyją w zaskakującej harmonii.

Od przebodźcowania do egoizmu

Jednym z emblematów polskiego rozwoju jest cyfryzacja, która rzuca się w oczy wielu obcokrajowcom odwiedzającym Polskę i coraz częściej napawa Polaków dumą. Jednocześnie badania pokazują wysoki poziom przemęczenia i przebodźcowania nad Wisłą, wywołany przez urządzenia cyfrowe.

Przed trzema laty głośno było o raporcie, który pokazywał, że 32 proc. Polaków nie potrafi usiedzieć bezczynnie w ciszy przez co najmniej 30 minut, a trzy czwarte deklaruje nieustanną styczność z mediami społecznościowymi lub tradycyjnymi. Dane z tego roku pokazują, że prawie połowa z nas spędza online poza pracą co najmniej 4 godziny dziennie, 45 proc. Polaków deklaruje zmęczenie nadmiarem informacji pochodzących

REKLAMA



eprasa.pl 7fab5216f4

z urządzeń cyfrowych, a 47 proc. uważa, że spędza przed nimi za dużo czasu.

Cyfrowe przebodźcowanie uderza głównie w najmłodszych Polaków. Według danych OECD z 2025 r. – 41 proc. polskich uczniów zauważyło częste rozpraszanie rówieśników przez urządzenia cyfrowe w czasie lekcji, podczas gdy średnia dla krajów OECD wyniosła 28 proc. Ten sam raport pokazał, że zaledwie 18 proc. polskich uczniów chodziło do szkół, w których obowiązywał zakaz używania telefonów na terenie szkoły, w porównaniu z 49 proc. w państwach OECD.

Wyjątkowo wysoki poziom zmęczenia informacją u młodzieży jest kolejnym, odłożonym w czasie efektem wytężonego wysiłku czasów transformacji. Dzisiejsi przepracowani pięćdziesięcio- i czterdziestolatkowie łatwo wpadają w pętle dopaminowe ze smartfonem w ręku, co często nie umyka uwadze ich dzieci. Z drugiej strony, mają mniej czasu, by zapewnić swoim latorośloms rozrywki offline lub po prostu pobyć z nimi z dala od ekranów.

Problem uzależnienia cyfrowego wykracza daleko poza sferę stylu życia i cyfryzacji – ma wpływ na demografię i wybory polityczne. Wiele badań pokazuje bowiem, że grupa szczególnie narażona na cyfrowe uzależnienie, czyli młodzi mężczyźni, to jednocześnie grupa, która coraz trudniej nawiązuje relacje, dłużej mieszka z rodzicami i coraz chętniej głosuje na partie radykalnej prawicy. Nawet jeśli cyfrowe przebodźcowanie nie jest źródłem wszystkich tych zjawisk, pasuje do nich doskonale jak jeden z elementów układanki. Peter Handke w swoim „Eseju o zmęczeniu" pisze o „zmęczeniu poróżniającym", które prowadzi do egoizmu, „wypala duszę", a w konsekwencji niszczy bliskość oraz wspólnotę, a nawet prowadzi do przemocy.

Ciekawy wkład w dyskusję o wpływie zmęczenia informacyjnego na naszą kondycję wniósł niedawno Szczepan Twardoch, który przyznał się do spadku swojej koncentracji. Podkreślił jednak, że obwinianie samych siebie o to, że więcej czasu poświęcamy na scrollowanie telefonu niż czytanie Arystotelesa, jest bez sensu. Pretensje powinniśmy mieć bardziej do ludzi, którzy „pasożytują na naszej uwadze i wyobraźni", tworząc dla zysku algorytmy wykorzystujące cykle dopaminowe. Już 16 lat temu niemiecko-koreański filozof Byung-Chul Han w głośnym eseju „Społeczeństwo zmęczenia" pisał o regresie, jaki funduje naszej cywilizacji nadmiar informacji. Współczesną płytkość uwagi porównał do czujności dzikiego zwierzęcia, zauważył też, że troskę o dobre życie zastępuje paradygmat przetrwania właściwy dla stanu natury, a nie dojrzałych cywilizacji.

Jeśli zestawimy diagnozy Handkego, Byung-Chul Hana i Twardocha, otrzymamy zaskakująco aktualny i zwarty trójkąt, którego wierzchołki wyznaczają zmęczenie, zyski technofeudałów i prymat dzikiego indywidualizmu nad wspólnotą.

Ciągły stres wywołany globalnym przyspieszeniem trzeciej dekady XXI wieku dokłada kolejnych punktów procentowych do deficytu naszej energii.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Nie mam siły tańczyć ani chlać

Transformacja i rewolucja cyfrowa to jednak nie wszystko. Na wyczerpanie Polaków wpływ miała także pandemia i wybuch wojny za naszą wschodnią granicą. Ciągły, długotrwały stres wywołany globalnym przyspieszeniem trzeciej dekady XXI wieku nie przestaje dokładać kolejnych punktów procentowych do deficytu naszej energii. Temat zmęczenia pojawia się nawet tam, gdzie do głosu powinna dochodzić przede wszystkim etyka lub polityka. „Polacy są zmęczeni przedłużającą się wojną" – słyszy się nieraz i właśnie zmęczeniem informacjami ze wschodu, które docierają do nas piąty rok z rzędu, można tłumaczyć malejące poparcie dla pomocy Ukrainie i Ukraińcom. Doskonale rozumie to Kreml, który wie, że nawet największe poświęcenie etyczne napotyka w pewnym momencie na fizyczną lub emocjonalną barierę, a upływający czas sprzyja znieczuleniu podszytemu przemęczeniem.

Relacje między zmęczeniem a etyką eksploruje też popkultura. Polski serial „Sortownia" (2023) dobrze pokazuje, jak przepracowanie lekarzy pracujących na SOR-ach prowadzi do segregacji pacjentów na tych, którym się pomaga, i tych, którzy mogą poczekać. W ogóle przemęczenie, wyczerpanie i znużenie życiem pnie się na listach tematów najchętniej poruszanych przez twórców. Mechanizmy tych zjawisk i sposoby na radzenie sobie z nimi są też dyskutowane przez podkasterów, coachów biznesu, psychoterapeutów, ekspertów od treningu fizycznego i instagramowych psychologów. Wyczerpanie emocjonalne, wyczerpanie duchowe, wypalenie, „zmęczenie socjalne", „ambicja vs. granica wyczerpania", „cienka granica między wyczerpaniem a sukcesem", „wojna na wyczerpanie", „miłość i wyczerpanie", „wyczerpanie dopaminowe", „wired but tired" (zmęczony, ale pobudzony) – to tylko niektóre z haseł, na które można się natknąć w sieci po kilku sekundach poszukiwań. Furorę robią też memy obrazujące nasze zmęczenie albo absurdalnie wąską przestrzeń na rozwój osobisty, kiedy przygnieceni jesteśmy codziennymi obowiązkami.

Fala wyczerpania dotarła też do polskiej muzyki. Już na rok przed pandemią Taco Hemingway rapował: „W piątki leżę w wannie / Nie mam siły tańczyć ani chlać / Napijcie się za mnie / Nie chce mi się ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ płakać ani śmiać". W kolejnych latach motywy znużenia, wyczerpania lub zmęczenia codziennością, sukcesem czy dorosłością pojawiały się między innymi w utworach Kwiatu Jabłoni, Dawida Podsiadły, Quebonafide czy Vito Bambino. Ten ostatni w pełnym goryczy utworze „Widzimisie" (2023) śpiewał: „Bo ja tu ledwo stoję na nogach / Mego T-shirtu lepkość się Wam nie spodoba (...) Tylko daj mi sekundę, przerwy są coraz krótsze, tempo pracy zabójcze / I zaczynają się kłótnie, kto był wcześniej kto później".

Paradoks szczęśliwości

Co ciekawe, ci sami Polacy, którzy narzekają na chroniczne zmęczenie i w „popkulturze wyczerpania" odnajdują bliskie sobie emocje, uważają się za jeden z najszczęśliwszych narodów świata. Żeby to wyjaśnić, trzeba wprowadzić na scenę bardzo przydatną kategorię: klasę średnią. Przynależność do niej deklaruje aż 63 proc., a według niektórych badań nawet 77 proc. z nas. Nic dziwnego, że określamy się jako stosunkowo szczęśliwi, co przeczy przekonaniu o naszym genetycznym malkontenctwie. W tym roku ogólne zadowolenie z życia zadeklarowało w badaniach CBOS aż 81 proc. Polaków. W porównaniu z zeszłym rokiem do rekordowego poziomu wzrosło też zadowolenie z sytuacji finansowej, które dziś deklaruje blisko co drugi Polak. Aż 71 proc. wyraża także satysfakcję z – uwaga! – przebiegu pracy zawodowej. Według raportu The World Happiness pod względem zadowolenia zajmujemy wysokie, 26. miejsce na świecie. Bardziej zadowoleni są Niemcy, Słoweńcy i Czesi, ale za plecami mamy m.in. Francję, Hiszpanię czy Włochy, nie mówiąc o Węgrzech (74. pozycja).

> „Może i jestem wyczerpany, ale mam to, to i to oraz widziałem to, to i tamto" – tak może kalkulować współczesny przedstawiciel klasy średniej.

Czy można znajdować się jednocześnie w zbiorze najbardziej wyczerpanych i zadowolonych Europejczyków? Tak, jeśli w grę wchodzi materialny status i przeświadczenie, że osiągnęliśmy go własnymi rękoma. Dążenie do zrównania się z poziomem życia zamożniejszych mieszkańców naszego kontynentu i posiadania tych samych materialnych dowodów zawodowego sukcesu było i pozostaje jedną z głównych motywacji zapracowanych Polaków. Dziś, kiedy na naszym życiu zaczynają pojawiać się rysy – wyczerpanie, a czasem też samotność – status jest tym zasobem, który decyduje o bilansie zysków i strat. „Może i jestem wyczerpany, rozpada mi się małżeństwo, ale mam to, to i to oraz widziałem to, to i tamto" – tak może kalkulować współczesny przedstawiciel klasy średniej. Zaraz za tym może pojawić się myśl, jak długą drogę przeszliśmy przez te kilka dekad i jak bardzo nasze życie różni się od życia naszych rodziców.

W tej kalkulacji zadowolenie z tego, co wypracowaliśmy przez ostatnie dekady, okazuje się bezcenne. Hannah Arendt zauważyła, że praca i konsumpcja są jak dwie strony tego samego medalu. Podobnie jest z polskim wyczerpaniem i zadowoleniem ze swojego statusu. To drugie napędza i usprawiedliwia pierwsze. Bez tego mechanizmu bylibyśmy najpewniej skazani na znacznie większy pesymizm. Z nim jesteśmy skazani na rozpoznanie jego fizycznych i psychicznych granic.

© SŁAWOMIR SOCHAJ

Autor jest dziennikarzem, z wykształcenia politologiem. Za książkę „Niedopolska. Nowe spojrzenie na Ziemie Odzyskane" (Filtry, 2024) nominowany m.in. do Nagrody Conrada oraz Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza. W październiku 2026 r. ukazał się w wydawnictwie Filtry jego esej „Ja nie miałem nic, ty nie miałaś nic. Jak Polska stała się nową ziemią obiecaną".

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Justyna Kowalczyk-Tekieli, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kiežun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 7fab5216f4



„TP" 45/2026

„Z" robi różnicę

Piszę po przeczytaniu wywiadu pt. „Mów do swojego dziecka" Moniki Ochędowskiej z neurologopedą Martą Korendo.

Całe moje życie zawodowe jest związane z dziećmi. Pracowałam we francuskich żłobkach, a obecnie zajmuję się małymi dziećmi z trudnościami w rozwoju. Rozwijam z pasją Fundację Czytam z Tobą. Jedną z naszych podstawowych idei jest zachęcanie do czytania z dzieckiem od najmłodszego wieku. Inspiracją do założenia Fundacji było dla nas francuskie stowarzyszenie A.C.C.E.S. Chciałabym zwrócić uwagę na słówko „z" w nazwie Fundacji. Czytamy nie dzieciom, a z dziećmi, to one są naszymi przewodnikami w czytaniu. Mówienie do małego dziecka to baza do rozwoju komunikacji. „Mówimy dużo o dzieciach, ale mało do dzieci" – to słowa Françoise Dolto, wybitnej francuskiej psychoanalityczki dziecięcej.

MAGDALENA

Świadkowie poszukiwani

W przyszłym roku przypada setna rocznica urodzin Güntera Särchena, człowieka, który sporą część życia poświęcił Polsce, angażując się na rzecz pojednania. Särchen (1927-2004), powołany pod koniec II wojny do Wehrmachtu, trafił do obozu jenieckiego. Tam zdecydował, że będzie angażować się na rzecz pokoju i pojednania. Poznał ewangelika Lothara Kreyssiga, który w 1958 r. założył Akcję Znaków Pokuty. W ramach Akcji młodzież niemiecka miała jechać do krajów, które były ofiarą niemieckiego barbarzyństwa, by pracą swych rąk prosić o przebaczenie.

Kreyssig i Särchen pojechali do Polski, by nawiązać kontakty i szukać możliwych miejsc pracy dla młodzieży. Pomogli im w tym ludzie ze „Znaku", „Więzi", „Tygodnika Powszechnego" i Klubów Inteligencji Katolickiej, a także ówczesny biskup Wojtyła. Wśród młodych ludzi z NRD, którzy od lat 60. przyjeżdżali do Polski, byłem także ja: w roku 1968 i 1970 pracowałem na terenie obozu na Majdanku, a w kolejnych latach jeździłem do Polski jako tłumacz (nauczyłem się polskiego) i opiekun grup.

Z obawy przed Stasi, tajną policją NRD, niewiele powstało pisemnych świadectw tej współpracy. Nie prowadzono archiwów, wszystko opierało się na osobistych ustaleniach. Wiele osób, które poznały wtedy w Polsce Särchena, dziś już nie żyje.

Z okazji setnej rocznicy jego urodzin chcemy wydać publikację o nim i początkach aktywności Znaków Pokuty. Szukamy wspomnień o Särchenie i działalności Akcji w Polsce. Będziemy wdzięczni, jeśli ktoś z Czytelników, mając takie wspomnienia, zechce się nimi podzielić. Można je przysłać pocztą na adres „Tygodnika" (na ręce Wojciecha Pięciaka) lub na adres mailowy: pieciak@tygodnikpowszechny.pl

ERICH BUSSE,
pastor ewangelicki
(do 1994 r. w Berlinie Wschodnim, dziś w Dreźnie)

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Czytaj co tydzień.
Noś na co dzień.

Prenumerata pocztowa „Tygodnika Powszechnego" – a do niej **płócienna torba z rysunkiem Bartosza Minkiewicza** w prezencie*.

Prenumerata pocztowa – cennik

Pół roku 26 numerów	**347 zł**
Rok 52 numery	**617 zł**
Rok + 4 wydania specjalne 52 numery	**717 zł**

Jak zamówić prenumeratę pocztową?

1. Wybierz wariant z cennika.
2. Wykonaj przelew na numer konta:
   49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
3. W tytule przelewu wpisz: **Prenumerata pocztowa** oraz swoje dane do wysyłki (imię, nazwisko, pełny adres).

* Wysyłka toreb w styczniu. Promocja ważna do wyczerpania zapasów.

Wolisz inną formę dostawy?
Prenumerata z dostawą do Paczkomatu InPost lub przez kuriera – zamów wyłącznie online.

Zamów online na
tygodnikpowszechny.pl/prenumerata

eprasa.pl 7fab5216f4

KRAJ

KTO SKOPAŁ POLSKI FUTBOL

Notoryczne klęski naszej reprezentacji są zwyczajnie nielogiczne na tle cywilizacyjnego postępu naszego kraju. Nikt w Europie z równie morderczą, autodestrukcyjną konsekwencją nie trwoni swojego potencjału.

RAFAŁ STEC



eprasa.pl 7fab5216f4

Zanim pochylimy się nad sprawami najważniejszymi wśród błahych, czyli wyrafinowanymi grami i zabawami z piłką, ustalmy, gdzie właściwie żyjemy. Wbrew pozorom to niełatwe zadanie, ponieważ od lat obserwujemy zderzenie skrajnie przeciwstawnych perspektyw: wewnętrznej i zewnętrznej.

Od wyszarpujących sobie władzę polityków słyszymy, że Polska grzęźnie w ruinie, dewastują ją kolejne zamachy stanu, zaprzedała się mrocznym siłom z Brukseli, podąża za wytycznymi z Kremla – i w efekcie dzieli nas tylko kroczek od ostatecznego krachu.

Ilekroć jednak wychyniemy za granicę, rozbrzmiewa symfonia komplementów. Zazdrościliśmy tempa rozwoju Czechom – jako pragmatykom najbliższym Zachodowi wśród krajów regionu – a dzisiaj oni zazdroszczą nam i wręcz uwielbiają wpadać do nas na wakacje. Włosi zaś, znani z zamiłowania do piękna wirtuozi sztuki życia, zachwycają się schludnością polskich ulic.

To nie przypadek, z ekonomicznych diagramów wynika, że od ćwierćwiecza bogacimy się szybciej niż jakikolwiek członek Unii Europejskiej. Inne statystyki – i równocześnie subiektywne odczucia ludzi – przekonują, iż mieszkamy w kraju rozwiniętym i wyjątkowo bezpiecznym. Ba, władcy świata zapraszają nas na prestiżowe obrady G20.

Postęp mierzony drobiazgami

Jako szczęściarz, który w roli korespondenta z imprez sportowych przeczesuje kontynenty od początku XXI wieku, doskonale znam oba punkty widzenia i sam zebrałem przepastny materiał porównawczy. Szczególnie wymowne wydają mi się wspomnienia dwóch długich, oddzielonych o blisko dwie dekady podróży po Niemczech.

Kiedy zjeżdżałem je wzdłuż i wszerz w 2006 roku, przy okazji rozgrywanego tam mundialu, rozglądałem się trochę jak wyjęty z szałasu prowincjusz odkrywający zalety zaawansowanej cywilizacji – podziwiałem zwłaszcza patologicznie punktualną kolej, bo pociągi stały się moim mobilnym, komfortowym pod każdym względem biurem; między meczami napisałem w nich mnóstwo artykułów. Potem odwiedzałem naszych sąsiadów wielokrotnie, jednak rewolucyjną skalę dokonujących się zmian dotkliwie odczułem dopiero przed dwoma laty, gdy podczas mistrzostw Europy znów przemierzałem Niemcy przez bite półtora miesiąca.

Tym razem dopiero na etapie ćwierćfinałów zdołałem odbyć kolejową podróż zgodną z rozkładem jazdy. I nie znosiłem wizytować publicznych toalet, przyzwyczajony już do czystości polskich – proszę wybaczyć uproszczenie, ale ten drobiazg również stanowi miarę postępu. W trakcie całego turnieju huczało mi w głowie, że urządziliśmy sobie kraj przyjemniej niż oni, unijni wszechliderzy.

Error w algorytmie

Szkicuję dynamikę szerszych zmian społeczno-ekonomicznych tuż po kolejnych niepowodzeniach polskich piłkarzy – właśnie z trudem uniknęli zesłania na pogranicze trzeciej ligi europejskiej, na pułap barażowych batalii z Wyspami Owczymi, Cyprem czy Mołdawią. Ich problemy są zadziwiające, jeśli spojrzymy na futbolową hierarchię na naszym kontynencie, która łudząco przypomina tabele bardziej uniwersalne, opisujące stan całych społeczeństw. Sukces boiskowy ewidentnie koreluje z liczebnością populacji pomnożoną przez siłę gospodarczą, do której trzeba dorzucić jeszcze współczynnik najtrudniej policzalny, mianowicie namiętność do ganiania za piłką (oraz do patrzenia, jak inni ganiają).

Zależność wyraźnie widać zarówno w rankingu FIFA, klasyfikującym reprezentacje narodowe, jak i rankingu UEFA, podsumowującym rywalizację drużyn klubowych. Ścisłą czołówkę niezmiennie tworzą przedstawiciele kwintetu zachodnioeuropejskich potęg – Anglia, Francja, Hiszpania, Niemcy i Włochy – wokół których krążą skromniejsze ludnościowo Holandia, Belgia i Portugalia. Zdarzają się przesunięcia, kryzysy faworytów lub sensacyjne, ukochane przez fanów wzloty maleństw (podkradająca mundialowe medale Chorwacja), ale na dłuższym dystansie jest stabilnie.

Nawet gdy mocarstwo dotknie realna zapaść, jak w szokująco jaskrawym przypadku Italii, to pomimo trwania wieków ciemnych reprezentacja kraju umie zaskoczyć zdobyciem złota na mistrzostwach kontynentu (2021); Inter Mediolan – dwukrotnie wtargnąć do finału Ligi Mistrzów (2023, 2025); Atalanta Bergamo – triumfować w Lidze Europy (2024). Da się wytrzymać, prawda?

Z powszechnie obowiązującego algorytmu (wykluczamy z niego Rosję, zacofaną krainę należącą raczej do Azji, z około jedną piątą mieszkańców pozbawionych domowej toalety) nie korzysta właściwie tylko Polska. Duża, zamożna, przedsiębiorcza, rozwinięta infrastrukturalnie. Zamiast wpychać się do wspomnianego kwintetu potentatów, nasz futbol pełza daleko od czołowej dziesiątki, czasami wręcz chybocząc na progu trzeciej. Truchlejemy na widok preferujących przecież hokej Szwedów czy Czechów, nie bylibyśmy faworytami meczów z ciągnącą się w unijnym ogonie Grecją (kryterium: PKB na głowę obywatela), o przewadze Chorwacji czy Szwajcarii dla psychicznego dobrostanu lepiej nie rozmyślać.

Podróż w innym kierunku

Jeszcze raz: nikt w Europie z porównywalnie morderczą, autodestrukcyjną konsekwencją nie trwoni swego potencjału. Olbrzymiego, zawierającego wszelkie składniki niezbędne do wygrywania meczów raczej częściej niż rzadziej. Nie chodzi nawet o to, że polscy piłkarze nie paradują w elicie – oni nawet w jej stronę nie zmierzają. Nie obserwujemy ani zalążka trendu pozwalającego dostrzec podróżowanie w kierunku, który całe społeczeństwo, w innych dziedzinach życia, dawno obrało.

I dzięki któremu odkryłem w Niemczech, ile epok upłynęło w latach 2006-2024.

Sukcesu we współczesnym futbolu nie wypluwa bęben maszyny losującej, lecz umiejętne korzystanie ze znanego zestawu zasobów – trzeba mieć gdzie grać, za co grać i kim grać. Nie potrzeba żadnej tajemnej technologii ani rzadkich pierwiastków, bez których nie sposób skonstruować arsenału nuklearnego, detektorów fal grawitacyjnych czy Wielkiego Zderzacza Hadronów. Wszystkimi zasobami dysponujemy lub powinniśmy dysponować, bo nas stać. Odkąd przystąpiliśmy do Unii Europejskiej, również nasz futbol zaczął się modernizować. Wyrugowaliśmy z boisk horrendalne stężenie korupcji, które mogło dławić rozwój, promując osobników zdeprawowanych kosztem kompetentnych. ↦

Piłkarze reprezentacji Polski w trakcie przegranego meczu z Rumunią. Bukareszt, 14 listopada 2026 r.

GRZEGORZ WAJDA / REPORTER

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ Nie tylko w metropoliach powstały efektowne stadiony, których zazdrości nam prawie cały kontynent. Dzieciaki wbiegły na tysiące orlików, a samorządy hojnie – aż do przesady – sponsorują drużyny ligowe na wszystkich poziomach. Najpopularniejsze kluby zostały stopniowo przejęte przez biznesmenów z dorobkiem, aż dotarliśmy do dnia, w którym w szerokiej czołówce ligi nie uświadczysz już kombinacji totalnej prowizorki, pustawych trybun, grożącego bankructwem zadłużenia etc.

Polacy zbzikowali na punkcie futbolu. Coraz tłumniej odwiedzają stadiony, i to nie tylko na poziomie ekstraklasy. Padają rekordy frekwencyjne, telewizje płacą coraz więcej za transmisje i pokazują nawet rozgrywki trzecioligowe. Każdy trener ma dostęp do zagranicznych metodologii, podanych w piśmie i w formie wideo. Piłkarzy otaczają dietetycy, sprzęt monitorujący organizm, software analizujący grę.

Na dodatek PZPN uskładał znaczne rezerwy finansowe, organizuje programy szkoleniowe, ogłosił nawet hucznie Narodowy Model Gry. A wszechogarniającą sielankę hojnie finansują i spółki Skarbu Państwa, i sektor prywatny, i pojedynczy klient, czyli kibic.

W cieniu siatkarzy

Dlatego właśnie przewlekła klęskowość polskiego futbolu z każdym rokiem wygląda na coraz bardziej nielogiczną. Skoro nie brakuje nam niczego, na czym pracują seryjni zwycięzcy z innych krajów, to jedyną rozsądnie brzmiącą przyczyną porażek mogłoby być uznanie, że kulejemy koncepcyjnie i intelektualnie. A przecież rzuciliśmy kolejowe wyzwanie Niemcom, wynaleźliśmy chwalone międzynarodowo aplikację mObywatel i technologię przelewania pieniędzy BLIK; niedawno podziwialiśmy perfekcyjną reakcję policji i przypadkowych świadków na tragiczne wydarzenia w Krakowie. Polska na wielu poziomach działa przyzwoicie.

W tym samym czasie oklaskujemy triumfy sportowców uprawiających inną niż futbol dyscyplinę, w której Polacy zdobywają medale rutynowo i niemal od niechcenia, i która spotężniała na wzorzec dla całego świata.

To opowieść budująca, acz złożona. Ilekroć nasi siatkarze wzlecą na podium (czytaj: zawsze i wszędzie, już tam właściwie zamieszkali) – kibicowskiemu aplauzowi towarzyszy marudne mędrkowanie o „grze, która prawie nikogo na świecie nie obchodzi", więc „wygrywanie to żadna sztuka". Rymuje się to zawodzenie ze stereotypem zakompleksionego, wiecznie skrzywionego polskiego malkontenta (Amerykanów raczej nie martwi, że niewiele nacji wymachuje kijem baseballowym), ale wypada przyznać sporo racji wszystkim, którzy twierdzą, że nie ma sensu porównywać piłki uderzanej rękami do piłki kopanej. W globalną siatkówkę nie inwestuje się miliardów, w większości państw uprawia się ją półprofesjonalnie lub wręcz amatorsko.

Nasze środowisko futbolowe

stać na wszystko, co pozwala świetnie prosperować siatkówce. Powinniśmy być przynajmniej tam, gdzie bawią się Belgowie, Holendrzy czy Chorwaci.

Nawet w niszy trzeba jednak spełniać określone warunki, by zwyciężać na masową skalę. A ponieważ siatkarze też uprawiają sport drużynowy, polegają na schemacie identycznym jak ten gwarantujący teoretycznie sukces piłkarzom – szaleje za nimi liczna publiczność, popularność dyscypliny przyciąga do treningów młodzież, krążą w niej spore pieniądze, edukację w ośrodku szkoleniowym w Spale wspierają maszyny wystrzeliwujące piłkę i inne wymyślne gadżety oraz oprogramowanie analityczne. Nad rozwijaniem ciała i mentalności czuwają zaś psychologowie, specjaliści od regeneracji, żywienia i przygotowania fizycznego.

To zawsze, niezależnie od dyscypliny, ten sam model. Potrzeba sporej puli genów (w przekładzie na polski: tłumu dzieciaków chętnych do zabawy), trafnego identyfikowania talentów, współpracy między różnymi poziomami systemu, szlifowania techniki, stopniowego wdrażania do logiki gry zespołowej, rozwiązywania zagadnień taktycznych.

Polska siatkówka oplotła tą siecią szkoły podstawowe, licea i technika, a najzdolniejszych spośród wyłowionych młodych wysyła do wspomnianej Spały, gdzie pamięta się nawet o tym, by przyszłych profesjonalistów uczyć języka włoskiego. Bo w siatkówce to odpowiednik angielskiego.

Stać ich na wszystko

Racjonalny, wydajny system może przyjmować różne kształty, podobnie zresztą jak w futbolu, w którym Francuzi postanowili swego czasu skonstruować wszystko wokół słynnego centrum w Clairefontaine, Hiszpanie w większym stopniu stawiają na akademie przy klubach (nie tylko Barcelony i Realu Madryt), a Niemcy preferują rozwiązania hybrydowe – zintegrowali szkółki prowadzone przy drużynach ligowych z nadzorowanymi przez krajową federację. Wszędzie pilnuje się, by ćwiczono w stosunkowo ujednolicony sposób, dlatego w piłce nożnej na wysokim poziomie powoli znikają style nierozerwalnie scalone z konkretną nacją.

Polski sport, wyjąwszy osobność siatkówki i może jeszcze skoków narciarskich, systemowego myślenia unika, bazując na improwizacji i nadziei, że jakoś to będzie. Dlatego rządzi przypadek, który czasami podaruje nam Roberta Lewandowskiego, Roberta Kubicę, Justynę Kowalczyk czy Klaudię Zwolińską, a czasami ozłoci na igrzyskach w dyscyplinie młodziutkiej, jeszcze biednie obsadzonej – jak przed dwoma laty w Paryżu, gdzie jedyne mistrzostwo zdobyła wdrapująca się na sztuczną ścianę Aleksandra Mirosław. Nawet rozkwit tenisa odzwierciedla przede wszystkim wzrost zamożności kraju, którego obywateli coraz częściej stać na kosztowne prywatne inicjatywy.

Nasze środowisko futbolowe stać na wszystko, co pozwala świetnie prosperować siatkówce. I choć maksymalne wykorzystanie potencjału nie gwarantowałoby kolekcjonowania trofeów z powodu bardzo silnej konkurencji – to na mapie Europy ulokowałoby Polaków przynajmniej tam, gdzie bawią się Belgowie, Holendrzy czy Chorwaci. W sprzyjających okolicznościach w strefie medalowej, a w ewentualnym starciu z przeciwnościami losu ciut niżej. Słynne wyjście z grupy nie byłoby już marzeniem, lecz celem minimum.

Kilka własnych hipotez

Wciąż pozostaje zagadką, dlaczego na piłkarskich boiskach otrzymujemy aż tak marniutki zwrot z tak obfitych inwesty-

eprasa.pl 7fab5216f4

cji – zarówno finansowych, jak i emocjonalnych. I nie spotkałem nikogo, kto potrafiłby ją rozwikłać. W niniejszym wywodzie nie epatuję nazwiskami z premedytacją, świadomy jałowości jazgotliwych debat po porażkach, które sprowadzają się do ustalania, jakiego gracza skreślić na zawsze, jakiemu młodzieńcowi „dać szansę", jak zmodyfikować taktykę na kolejny mecz, na kogo wymienić obecnego trenera, kiedy obalić prezesa lub dyrektora, ile milionów przeznaczyć na następny transfer. Eksperci grzęzną w personaliach i doraźności, nie wykłócają się o idee, generalia.

Nie podam nazwisk, nie sformułuję konstruktywnej konkluzji. Mogę podrzucić kilka własnych hipotez – polski futbol deprawują zbyt łatwo wyłudzane publiczne datki, środowisko toczy programowy antyintelektualizm, a kopiowaniu zagranicznych wzorców marketingowych nie towarzyszy import *know-how* sportowego (reprezentację siatkarzy nieprzerwanie od 21 lat prowadzą obcokrajowcy!).

To wszystko ulotne wrażenia publicysty, refleksje niepoparte rzetelnymi badaniami, które wymagałyby szeroko zakrojonej operacji. Nie ulega tylko wątpliwości, że miałkość naszej piłki jest już inna niż wczoraj lub przedwczoraj. Zdezaktualizowały się bowiem dawne okoliczności łagodzące, straciliśmy prawo do jakichkolwiek wymówek opartych na wskazywaniu deficytów politycznych, ekonomicznych czy infrastrukturalnych.

W teorii polska piłka jest zbyt duża, żeby nieustannie upadać. W praktyce cieszymy się byle czym, a klęski oswoiliśmy jako stan naturalny, choć od zachodnioeuropejskich imperiów futbolowych różni nas co najwyżej brak rzeszy imigrantów, którzy bywają ponadprzeciętnie zmotywowani, by społeczny awans wypocić poprzez sport – ich fundamentalny wpływ na wyniki widzimy w składach prawie wszystkich mocarnych reprezentacji.

Ale to już zupełnie inna historia. Dopiero do Polski nadciąga i niewykluczone, że również sprowokuje reakcje bardziej histeryczne niż merytoryczne. Taki już chyba nasz urok, że nie tylko piłce nożnej niechętnie przyglądamy się przez szkiełko i okiem.

© RAFAŁ STEC



STOKKETE / ADOBE STOCK

Nie czuję, że kupuję

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Kilkanaście lat temu zadłużanie się kojarzone było z poważną decyzją finansową. Dziś, w czasach Black Weeks, dług coraz częściej staje się niewidzialną częścią naszej codziennej konsumpcji. Do czasu.

Zaczęło się niewinnie, od kilku rzeczy za parę stówek, które zamówiłam z opcją „kup teraz, zapłać później" – mówi z nerwowym uśmiechem 33-letnia Marta, copywriterka. Z odroczonych płatności zaczęła korzystać w pierwszej połowie 2021 r. Najpierw usłyszała o nich od obserwowanej na Instagramie influencerki, później od koleżanek z pracy. – Pracowałam wtedy na juniorskim stanowisku w marketingu, nie zarabiałam kokosów, więc wydawało mi się to wybawieniem. Mogłam kupować ubrania i kosmetyki, często na promocjach, nie płacąc za nie od razu – opowiada.

Z czasem zaczęła korzystać z tej formy zapłaty niemal przy każdych zakupach. Jednak kilkanaście pozornie niewielkich rat zaczęło się kumulować, do tego doszły kredyty konsumpcyjne. – W krytycznym momencie na spłatę zobowiązań wydawałam większość wypłaty – wspomina Marta, której w końcu udało się uporać z długami i dziś omija takie transakcje szerokim łukiem.

Poczuć się bogatym

Iga i Michał (imiona zmienione) są młodym małżeństwem. Oboje po trzydziestce, oboje nieźle zarabiający. Mieszkają na świeżo wybudowanym osiedlu ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ w Poznaniu, a na wymarzone mieszkanie kilka lat temu wzięli niemały kredyt hipoteczny. Od dłuższego czasu korzystają też z opcji odroczonych płatności.

– Dla mnie to szczególnie przydatne w zakupach odzieżowych – mówi Iga. – Zamawiam rzeczy w kilku rozmiarach, przymierzam je na spokojnie w domu i dopiero wtedy decyduję, co zostawiam.

Małżonkowie kupują w ten sposób nie tylko ubrania czy buty dla siebie i syna, ale także wyposażenie i akcesoria do domu oraz chemię gospodarczą. Opcja odroczonych płatności pozwala im przesunąć wydatek o 30 dni, co sprawdza się zwłaszcza wtedy, gdy oboje czekają na wynagrodzenie. Iga nie postrzega jednak tych zobowiązań jako długu. – Dla nas to po prostu pragmatyzm i wygoda. Kupujemy potrzebne rzeczy i, co ważne, spłacamy je jednorazowo. Nie rozkładamy płatności na raty w kolejnych miesiącach – dodaje Iga.

28-letnia Ola pracuje w branży *beauty*. Kocha modę, ale na co dzień stara się być świadomą konsumentką, dlatego ubrania najczęściej nabywa z drugiej ręki. W przeszłości, gdy nie miała stałej pracy, często korzystała z odroczonych płatności, dziś jednak bardzo je ogranicza i sięga po nie tylko przy większych zakupach. – Kiedy za ubrania czy buty płaci się od razu, z własnej kieszeni, zamawia się tylko to, co jest potrzebne. Opcja „kup teraz, zapłać później" daje złudne poczucie bogactwa, przez co łatwo „popłynąć"; kupić coś tylko dlatego, że jest modne, dorzucić niepotrzebny top za 30 złotych czy spodnie, bo akurat były w promocji – przyznaje.

Ćwierć miliarda transakcji

Odroczone płatności (z angielskiego BNPL – *Buy Now, Pay Later*) w Polsce zadebiutowały stosunkowo niedawno – bo w 2016 r., kiedy to na rodzimym rynku pojawiła się firma PayPo (która do dziś pozostaje liderem BNPL w Polsce). Na samym początku były one raczej niszowym i mało popularnym rozwiązaniem, przełom przyniósł dopiero 2020 r. Pandemia i związane z nią ograniczenia w handlu stacjonarnym przyspieszyły rozwój zakupów internetowych, a wraz z tym rosła popularność odroczonych płatności. Swoje zrobiła też szybko rosnąca inflacja i obawy przed kolejnymi wzrostami cen.

W ciągu dekady BNPL stało się jednym z najszybciej rosnących segmentów



ANDRZEJ ROMAŃSKI

DR JOANNA SZALACHA-JARMUŻEK:

Nasze potrzeby są wciąż kreowane przez viralowe trendy, nowe kolekcje ubrań oraz influencerów, którzy ciągle coś nam polecają. Trudno jest kupować wyłącznie to, czego rzeczywiście potrzebujemy.

kredytu konsumenckiego. Według najnowszych danych Biura Informacji Kredytowej z lipca 2026 r., z odroczonych płatności aktywnie korzysta dziś 1,8 mln polskich klientów, a wartość transakcji BNPL wyniosła w pierwszej połowie roku 8,6 mld zł (o 36,6 proc. więcej niż w tym samym okresie rok wcześniej). W całej historii tego rynku po odroczone płatności sięgnęło już 3,6 mln osób, które zrealizowały z ich użyciem 226 mln transakcji. W efekcie Polska – według danych gromadzonych przez globalną firmę technologiczną CRIF – jest jednym z europejskich liderów pod względem korzystania z tej usługi. Przyznaje się do tego 18 proc. naszych dorosłych obywateli, podczas gdy średnia dla takich krajów jak Niemcy czy Włochy to 11 proc.

Wedle opublikowanego w czerwcu 2026 r. „Raportu BIK: Płatności odroczone. Segmentacja i kluczowe zjawiska" – najczęściej korzystają z nich osoby raczej młode (w wieku od 18 do 44 lat), które stanowią aż 68,2 proc. klientów BNPL i w większości są kobietami (57,9 proc.). Z analizy BIK wynika również, że aż 41,5 proc. osób, które „zadebiutowały" na rynku kredytowym poprzez usługę BNPL, miało ledwie 18-24 lata.

Pojęcia takie jak kredyt, rata i odroczona płatność niemal automatycznie kojarzą się z niedostatkiem pieniędzy, jednak dr hab. Krzysztof Waliszewski, ekonomista z Katedry Pieniądza i Bankowości Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, który od kilku lat prowadzi wraz z zespołem badania nad odroczonymi płatnościami – poszerza pole widzenia tematu. – Sam fakt korzystania z BNPL nie oznacza jeszcze problemu finansowego. To jeden z kluczowych wniosków płynących z naszych analiz – mówi ekspert.

Jak się okazuje, główną motywacją do korzystania z BNPL nie jest brak pieniędzy, lecz wygoda, szybkość i minimalne formalności przy tego typu zakupach. Ważną rolę odgrywają też mechanizmy psychologiczne; jednym z nich jest tzw. ból płacenia, a raczej jego brak. Jak wyjaśnia dr hab. Robert Mackiewicz – pracujący na Wydziale Psychologii Uniwersytetu SWPS w Warszawie i specjalizujący się w psychologii ekonomicznej – wydawanie pieniędzy zawsze wiąże się z pewnym poczuciem straty i dyskomfortem.

– Badania jasno potwierdzają, że ten ból jest większy, gdy za dany towar lub usługę płacimy gotówką, a mniejszy, gdy korzystamy z karty płatniczej czy płatności za pomocą telefonu. A jeśli w momencie zakupu w ogóle nie wydajemy pieniędzy, staje się on niemal nieodczuwalny – uważa Mackiewicz.

Gdy zalewa nas dopamina

Odroczone zakupy oferują więc to, co pozornie nie ma prawa współistnieć: pozwalają nam cieszyć się zakupem bez płacenia za niego (oczywiście tylko z pozoru). Do tego dochodzi natychmiastowa gratyfikacja, czyli możliwość posiadania danego produktu dokładnie wtedy, gdy go zapragniemy. Zakup stymuluje w mózgu ośrodki odpowiadające za przyjemność i poczucie nagrody; daje wyrzut dopaminy, gwarantujący chwilowe poczucie satysfakcji, szczęścia i euforii. Do tego dochodzi duży, żeby nie powiedzieć przesadny, optymizm co do naszej przyszłości. – Często zakładamy, że za te 30 dni nasza sytuacja finansowa będzie lepsza, że poradzimy sobie z wydatkiem, że zupełnie go nie odczujemy – wyjaśnia psycholog z SWPS.

eprasa.pl 7fab5216f4

Z kolei dr hab. Krzysztof Waliszewski zwraca uwagę na mechanizmy bazujące na ekonomii behawioralnej, takie jak efekt ramowania i księgowanie mentalne. Pierwszy oznacza, że sposób przedstawienia danej informacji wpływa na to, jak ją odbieramy – „kup teraz, zapłać później" brzmi zupełnie inaczej niż „zaciągnij zobowiązanie".

Z kolei księgowanie mentalne polega na tym, że wydatki „przypisujemy" w głowie do różnych kategorii, w zależności od przeznaczenia. Jeśli płatność zostaje odroczona, łatwiej potraktować ją jako wydatek, który nie obciąża naszego budżetu „tu i teraz", więc nie musimy się nim przejmować. – Do tego dochodzi fakt, że komunikacja kierowana do klienta koncentruje się wyłącznie na korzyści, czyli na informacji „kup teraz", a przyszłe zobowiązanie jest zdecydowanie mniej wyeksponowane – dodaje ekonomista.

Warto również pamiętać, że system BNPL nie funkcjonuje w próżni, ale w kulturze rozbuchanego konsumpcjonizmu, która sprzyja zakupom z odroczoną płatnością, często zacierając granice między potrzebą a zachcianką.

– Istotna jest też rola mediów społecznościowych. To w nich tworzy się szereg presji konsumpcyjnych, one również skłaniają nas do ciągłego porównywania się z innymi – mówi dr Joanna Szalacha-Jarmużek, socjolożka z Katedry Socjologii Zmian Społecznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

W sytuacji, w której nasze zarobki nie pozwalają na sprostanie tej presji, szukamy innych sposobów, aby sobie z nią poradzić. Właśnie wtedy szczególnie atrakcyjne stają się opcje BNPL. – W czasach, gdy nasze potrzeby są wciąż kreowane przez viralowe trendy, przez nowe kolekcje ubrań i serie produktów, przez influencerów, którzy ciągle coś nam polecają, naprawdę trudno jest kupować wyłącznie to, czego rzeczywiście potrzebujemy – podsumowuje badaczka.

Będzie trudniej

Iga bez ogródek mówi, że gdyby odroczone zakupy wymagały od niej jakiegokolwiek kontaktu z bankiem czy oczekiwania na decyzję, zapewne nie korzystałaby z nich. Ola przyznaje, że gdy intensywnie korzystała z odroczonych płatności, miała poczucie, że są one czymś nieszkodliwym – były przecież dostępne od ręki na popularnych platformach zakupowych. Budziły zupełnie inne emocje niż karta kredytowa, która od zawsze jawiła jej się jako coś negatywnego, problematycznego i ryzykownego. Z kolei Marta przez długi czas nie miała pojęcia, że decydując się na liczne odroczone płatności, tak naprawdę pakuje się w nieustające długi.

1,8 mln
POLAKÓW aktywnie korzysta z odroczonych płatności.

226 mln
TRANSAKCJI BNPL przeprowadzono dotychczas w Polsce.

75 proc.
TRANSAKCJI realizowanych jest w terminie.

– Mimo tego, że z ekonomicznego punktu widzenia odroczone płatności są formą zobowiązania kredytowego, to faktycznie w oczach wielu konsumentów cały proces wygląda zupełnie inaczej – przyznaje dr hab. Krzysztof Waliszewski. Trudno się dziwić: nie musimy iść do banku, nie przechodzimy szczegółowej weryfikacji zdolności kredytowej, nie podpisujemy wielostronicowej umowy.

Opcja odroczonych płatności pojawia się w naszej świadomości obok karty, BLIK-a czy szybkiego przelewu. Po prostu klikamy w przycisk, weryfikacja następuje od ręki, finansowanie zakupu zapewnia dostawca usługi BNPL, a cała transakcja jest sfinalizowana w ciągu kilku sekund. Szybko i bezboleśnie. To zaś powoduje zatarcie psychologicznej granicy między zwykłą płatnością a kredytem. Jeśli dodatkowo zobowiązanie zostanie spłacone w terminie 30 dni, nie musimy spłacać odsetek. Tak jednak dzieje się tylko w 75 proc. przypadków (dane BIK), reszta transakcji przechodzi w system ratalny z odsetkami, więc tanio już nie jest.

Procedowana obecnie w Polsce unijna dyrektywa CCD2, która ma objąć BNPL regulacjami dotyczącymi kredytu konsumenckiego, wpłynie zarówno na postrzeganie, jak i na praktyczne korzystanie z odroczonych płatności. W praktyce ma to oznaczać m.in. większą przejrzystość informacji przedkontraktowych, obowiązkową ocenę zdolności kredytowej klienta oraz odpowiedzialne udzielanie finansowania, co zdaniem Waliszewskiego może przełożyć się na wzrost świadomości konsumenta. – Jeżeli przy wyborze BNPL klient otrzyma informację, że zaciąga kredyt i że kolejne takie zobowiązania się kumulują, może to ograniczyć efekt psychologicznego „odklejenia" zakupu od jego kosztu – uważa ekonomista.

BNPL zmienia nie tylko sposób, w jaki zaciągamy finansowe zobowiązania, ale także to, jak w ogóle myślimy o swych długach. Bo choć bycie zadłużonym od samych początków cywilizacji nie było łatwe w sensie etycznym i mogło nawet skończyć się niewolnictwem (pisze o tym amerykański antropolog David Graeber w książce „Dług. Pierwsze pięć tysięcy lat"), to dziś dług znormalizował się i stanowi „oswojony" element naszej codzienności.

– Nowe technologie ułatwiają proces zadłużania się i odpersonalizowują go, czyniąc pożyczanie czymś „lżejszym" moralnie – wyjaśnia dr Szalacha-Jarmużek, dodając, że łatwość dostępu do kredytów na klik, do systemu ratalnego oraz odroczonych płatności, zdjęło kulturowe odium bycia gorszym. – Pożyczenie tysiąca złotych nie oznacza już kontaktu z podejrzanymi „chwilówkami", obarczonymi negatywnymi skojarzeniami z biedą. Dziś robimy to kilkoma kliknięciami w kolorowej, przyjaznej użytkownikowi aplikacji, przez co pożyczka staje się częścią doświadczenia konsumpcyjnego, a nie mało komfortowym spotkaniem z oceniającym nas pracownikiem banku – tłumaczy socjolożka.

Cztery razy 100

Ola z lekkim zawstydzeniem przyznaje, że kiedyś w opcji odroczonej płatności kupiła karnet na festiwal muzyczny. Kwota była wysoka, więc rozłożyła ją ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ na raty i spłacała przez kilka miesięcy, bo 200 zł miesięcznie wydawało jej się czymś łatwiejszym do przełknięcia. Swojej decyzji nie żałuje. Co innego Marta, która niejednokrotnie spłacała raty za drogie skórzane buty czy płaszcze. – To nie było racjonalne – przyznaje dziś.

Odroczone płatności są tylko narzędziem w rękach konsumenta. Nie muszą być przejawem nadmiernego konsumpcjonizmu, jeśli są używane bez przesady, pod kontrolą i ze świadomością, na ile stać nas naprawdę, czego potrzebujemy do życia, a co jest tylko chwilową zachcianką, pojawiającą się niejednokrotnie pod wpływem marketingowej manipulacji.

Dr hab. Krzysztof Waliszewski zwraca uwagę, że konsument zupełnie inaczej postrzega cenę „400 zł", a inaczej informację „4 płatności po 100 zł", mimo że chodzi o tę samą kwotę. – Rozbicie ceny zmniejsza jej subiektywnie odczuwany ciężar, a możliwość odroczenia płatności wzmaga pokusę, więc decydujemy się na rzeczy i usługi, których nie wybralibyśmy, gdybyśmy musieli zapłacić za nie od razu – tłumaczy ekspert, powołując się na badania u dużego sprzedawcy, które wykazało zarówno wzrost częstotliwości zakupów, jak i wartości pojedynczej transakcji, po wprowadzeniu usług BNPL. – Dodatkowo najnowsze badania BIK wskazują, że część klientów, którzy początkowo planują wydatki bardzo świadomie, po kolejnych doświadczeniach z odroczonymi płatnościami zaczyna podejmować bardziej spontaniczne decyzje zakupowe – dodaje Waliszewski.

Transakcje BNPL zmieniły stosunek wielu Polek i Polaków do kupowania, do pozyskiwania własności. Jako społeczeństwo bogacimy się i stać nas na więcej dóbr, ale zdarza się, że tracimy rozsądek i zbytnio wierzymy, że w przyszłości nie będzie gorzej. Dodatkowo nowe, cyfrowe technologie zacierają granicę między własnymi pieniędzmi a tymi pożyczonymi. Kłopot w tym, że nie są one w stanie na dłuższą metę zaciemnić rzeczywistości i ukryć bardzo „analogowej" prawdy o granicach domowego budżetu. A ten nie jest z gumy.

©℗ MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

ADHD: półprawdy i wiara w mity

PAWEŁ KICMAN

POLEMIKA | Do gabinetów przychodzą osoby, które tracą pracę, nie mogą skończyć studiów, nie radzą sobie w kolejnych związkach, powodują wypadki. Przez lata leczono je na depresję, bo nikt nie rozpoznał, że zmagają się z ADHD.

Wywiad Dominiki Soszyńskiej z dr. Radosławem Stupakiem („TP" nr 46/2026) zamiast oddzielić mity o ADHD od rzeczywistości, wprowadza zamieszanie i straszy. Przyjrzyjmy się jego tezom w świetle aktualnej wiedzy naukowej i rozmów ze specjalistami, którzy zajmują się diagnozą, leczeniem i terapią ADHD.

Dokument „The Great ADHD Myth?"

Soszyńska i dr Stupak wychodzą od filmu „The Great ADHD Myth?", który ma według nich stanowić przełom w debacie dotyczącej medykalizacji ADHD. Pomijają jednak fakt, że ten dokument został skrytykowany nie tylko przez prezesa Royal College of Psychiatrists, prof. Subodha Dave'a, ale też przez... prof. Katyę Rubia, która w nim wystąpiła. „Moje wypowiedzi wybiórczo dobrano, przycięto i przedstawiono w oderwaniu od kontekstu, tak by pasowały do narracji mówiącej, że ADHD nie istnieje" – skomentowała Rubia w portalu Science Media Centre.

Film przedstawia historię chłopca, który kilka tygodni po odstawieniu leków stał się bardziej pogodny. Tego rodzaju dowody anegdotyczne działają na emocje i wyobraźnię, ale nie mogą być przekonujące: bez grupy kontrolnej, bez kontrolowania zmiennych zakłócających i przy pojedynczym przypadku stanowią jedynie chwyt narracyjny.

Kłopot w tym, że dr Stupak opowiada anegdoty i przedstawia wybrane badania z Wielkiej Brytanii i USA, a u nas sytuacja wygląda inaczej. Autorzy rekomendacji Sekcji Kształcenia Specjalizacyjnego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego z 2024 r. szacują, że ADHD może dotykać około miliona Polaków (opracowania dla innych krajów wskazują na występowanie tego zaburzenia u od jednej do kilku osób na każde sto). W 2024 r. w rejestrach NFZ występowało ponad 64 tys. osób z diagnozą ADHD (ponad połowa to dzieci do lat 12, a jedna czwarta – młodzież w wieku 13-17 lat). Ta liczba dynamicznie rośnie – jeszcze w 2022 r. było ich ok. 40 tys. Choć dane nie obejmują prywatnej diagnostyki, to i tak mo że nawet kilkaset tysięcy osób z ADHD nie uzyskało u nas rozpoznania.

„Konstrukt społeczny" i jego markery

Dr Stupak podkreśla, że ADHD nie posiada jednego markera biologicznego, po którym dałoby się go zdiagnozować, i snuje narrację, że jest to „konstrukt społeczny". To pierwsze się zgadza – markera rzeczywiście nie ma. Jednak nie oznacza to, że ADHD „nie istnieje" albo że w ogóle nie ma biologicznego podłoża.

– ADHD jest jednym z najlepiej przebadanych obszarów psychiatrii pod względem podłoża genetycznego – mówi dr n. med. Kajetana Foryciarz, psychiatrka i internistka, specjalistka medycyny rodzinnej, psychoterapeutka poznawczo-behawioralna, członkini Europejskiej Sieci ADHD Dorosłych, jedna z autorek wytycznych Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego dotyczących ADHD.

Wtóruje jej dr n. med. Tomasz M. Gondek, psychiatra, jeden z autorów

eprasa.pl 7fab5216f4



ADHD. Mity i rzeczywistość

Czy ADHD to zaburzenie rozwojowe, czy konstrukt społeczny? Czy stymulanty bardziej szkodzą pacjentom, niż pomagają?

Przeczytaj wywiad **Dominiki Soszyńskiej** z **Radosławem Stupakiem** **(„ADHD. Mity i rzeczywistość”, „TP” 46/2026)**

wspomnianych wcześniej rekomendacji Sekcji Kształcenia Specjalizacyjnego PTP, dotyczących diagnozy i leczenia dorosłych z ADHD: – ADHD jest stanem neurorozwojowym uwarunkowanym poligenicznie – mówi. – Spodziewamy się, że tych genów będą setki.

Na istotną komponentę genetyczną w występowaniu ADHD wskazują liczni naukowcy. W przeglądzie badań Faraone’a i Larssona z 2019 r. autorzy zauważają, że odziedziczalność to średnio 74 proc. w badaniach bliźniąt. Metaanaliza Demontis i zespołu (2023), przeprowadzona na grupie ponad 38 tysięcy osób z ADHD i grupie kontrolnej ponad 180 tysięcy osób bez takiej diagnozy, ujawniła z kolei 27 regionów genomu i 76 genów ryzyka rozwoju zespołu nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi.

Zresztą redukowanie zaburzeń – psychicznych, jak depresja czy schizofrenia, oraz rozwojowych, jak ADHD czy autyzm – do tego, czy da się je wykryć biologicznym testem, zupełnie pomija znaczenie i konsekwencje ich objawów. Migrena również nie ma markera biologicznego: – Czy w takim razie migrena jest konstruktem społecznym, bo każdego czasem boli głowa? Czy ludzie, którzy na nią cierpią, nie powinni dostawać leków? – pyta dr Foryciarz.

W sporze o to, czy ADHD jest sztuczną kategorią, opartą na ustalanych subiektywnie i ciągle poszerzanych kryteriach, nie chodzi przecież o to, czy kategorię ustalili ludzie, tylko czy pozwala ona dostrzec realne szkody i czy leczenie te szkody zmniejsza.

W przytaczanym przez Soszyńską i Stupaka filmie dokumentalnym pada też teza, że problemy, które można błędnie zdiagnozować jako ADHD, łączone są z nadmiarem ekranów, niezdrową żywnością, brakiem aktywności czy organizacją systemu edukacji. Tu faktycznie film ma trochę racji: brak snu, godziny przed ekranem czy przewlekły stres mogą dawać objawy podobne do ADHD. Tyle że diagności o tym wiedzą: właśnie po to istnieje diagnoza różnicowa.

Kryteria diagnozy ADHD

W wywiadzie pojawia się cytat z dr. Samiego Timimiego, według którego, przy współczesnych kryteriach, ADHD rozpoznamy „właściwie u każdego” nastoletniego chłopca. Dr Stupak zastrzega wprawdzie, że „być może jest to przesada”, ale później stwierdza, że diagnozy opierają się na tym, czy ktoś się często wierci lub komuś przerywa. Pyta również: „Jeśli ktoś nie lubi stać w kolejce, nie lubi odrabiać zadań domowych, nie lubi robić nudnych rzeczy – czy to jest problem medyczny, czy kwestia norm społecznych?”.

– Żaden poważny diagnosta, lekarz czy psycholog nie uzna, że ktoś ma ADHD tylko dlatego, że nie lubi stać w kolejkach albo odrabiać zadań – mówi dr Foryciarz. – ADHD to zespół konkretnych cech, obecnych od dzieciństwa i utrzymujących się co najmniej przez ostatnie pół roku, widocznych w różnych sferach życia i na tyle nasilonych, że wyraźnie utrudniają funkcjonowanie.

Nawiasem mówiąc, wbrew obiegowej opinii (której wywiad z dr. Stupakiem nie powiela) sama ruchliwość dziecka o niczym nie przesądza. – Dziecko może być niezwykle ruchliwe i nie mieć ADHD. Może też siedzieć spokojnie przez całą lekcję, a jednocześnie doświadczać poważnych trudności z utrzymaniem uwagi – zauważa dr Magdalena Markowska, psycholożka kliniczna związana m.in. z Wydziałem Medycznym Politechniki Bydgoskiej i Wydziałem Psychologii Uczelni Łazarskiego, specjalizująca się w zaburzeniach neurorozwojowych.

Na pytania dr. Stupaka są zresztą odpowiedzi. Dr Gondek tłumaczy, że u dzieci trzeba stwierdzić co najmniej sześć z dziewięciu objawów w danym obszarze, a u dorosłych pięć. Do tego objawy muszą być „istotnie częstsze albo istotnie bardziej nasilone niż u osoby w tym samym wieku i w tej samej sytuacji”. Muszą też występować w co najmniej dwóch obszarach życia, trwać długo, sięgać dzieciństwa i mieć realne konsekwencje.

– To nie jest tylko kwestia tego, czy pacjent powie „tak”, czy „nie”. My jako diagności decydujemy, czy ten objaw rzeczywiście pasuje do obrazu ADHD, czy ma jakieś lepsze wytłumaczenie – dodaje psychiatra. Podaje przykład: gdy dziecko oblewa sprawdziany, diagnosta pyta, czy nie radzi sobie tylko ono, czy cała klasa. – Jeśli wszyscy, to nie jest objaw ADHD, tylko wymagający nauczyciel.

A dlaczego miałby to być problem? Bo do gabinetu nie przychodzą ludzie, którzy nie lubią kolejek.

– Przychodzą osoby, które tracą pracę, które nie mogą skończyć studiów, którym rozpadały się kolejne związki, które powodowały wypadki drogowe, traciły pieniądze i przez lata były leczone na depresję, bo nikt nie rozpoznał, co leży u jej podłoża – mówi dr Foryciarz.

– Gdyby przy obecnych kryteriach diagnostycznych niemal każdy nastoletni chłopiec spełniał kryteria ADHD, mielibyśmy do czynienia z zupełnie inną skalą rozpowszechnienia tego zaburzenia – dodaje dr Markowska. Tymczasem międzynarodowy konsensus szacuje, że ADHD dotyczy 5,9 proc. młodzieży. W dużym amerykańskim badaniu ABCD, w którym ściśle zastosowano kryteria DSM-5, było to nieco mniej niż 4 proc. dzieci w wieku 9-10 lat.

Konsekwencje i zagrożenia

Najwięcej emocji budzi jednak ta część wywiadu, która dotyczy leczenia – i to ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ nie tylko dlatego, że dziennikarka rozmawia z psychologiem, a nie lekarzem (ale za to współpracownikiem International Institute for Psychiatric Drug Withdrawal). Już w zapowiedzi tekstu pada pytanie o konsekwencje tego, że „w rozwijające się, dojrzewające mózgi dzieci ingerujemy stymulantami w sposób chroniczny, przez wiele lat". Soszyńska dodaje, że ADHD leczy się „często pochodnymi amfetaminy, czyli narkotyku".

Dr Gondek zauważa, że rozmówcy nie próbują podważać skuteczności leków. – Dlatego pojawia się tu coś innego: sugestia, że leczenie dzieci od najmłodszych lat będzie powodowało jakieś poważne konsekwencje, a lekarze przepisują leki lekką ręką. A to nieprawdziwa konstrukcja.

Po pierwsze, krótkoterminową skuteczność leków potwierdza szeroka analiza 133 badań opublikowana w „Lancet Psychiatry" (najlepszym lekiem pierwszego wyboru u dzieci okazał się w niej metylofenidat). Po drugie, w przypadku dzieci medykamenty nie są wcale pierwszym krokiem.

– Na początku powinny być psychoedukacja rodziców, oddziaływania behawioralne, modyfikacje w domu czy szkole, a dopiero jeśli nie przynoszą poprawy, rozważa się leczenie – mówi dr Gondek.

– Diagnoza nie jest zobowiązaniem do rozpoczęcia farmakoterapii. Jest próbą zrozumienia trudności dziecka i ustalenia, jakiej pomocy rzeczywiście potrzebuje – dodaje dr Markowska.

Wspomniany metylofenidat to substancja różniąca się od amfetaminy działaniem, siłą i profilem bezpieczeństwa. W szwedzkim badaniu obejmującym blisko 150 tys. pacjentów dostało go 88 proc. osób rozpoczynających leczenie. Straszenie „narkotykiem" to zabieg retoryczny, a nie argument.

A jak z konsekwencjami leczenia? – My je znamy, bo są przebadane – mówi dr Gondek. – Jak przy każdym leku, mamy potencjalne efekty uboczne, ale mamy też badania na dużych populacjach, które pokazują realną poprawę życia.

I tak: opublikowane w 2025 r. w „BMJ" szwedzkie badanie 148 581 ludzi z ADHD wykazało, że u osób, które rozpoczęły leczenie, zachowania samobójcze były rzadsze o 17 proc., nadużywanie substancji o 15 proc., wypadki komunikacyjne o 12 proc., a przestępstwa o 13 proc. Rok wcześniej w „JAMA" opisano, że leczenie wiąże się z o około 20 proc. niższą śmiertelnością ogólną i o 25 proc. niższą śmiertelnością z przyczyn nienaturalnych, takich jak urazy, zatrucia czy samobójstwa. Inne szwedzkie badanie, Changa i zespołu z 2016 r., wykazało, że u osób leczonych rzadziej rozwija się depresja. A stawka jest naprawdę wysoka, bo według brytyjskiego badania z 2025 r. dorośli z rozpoznanym ADHD żyją średnio o blisko 7 (mężczyźni) i 9 lat (kobiety) krócej.

Dyskusja jest potrzebna, ale wywiad, z którym polemizuję, do niej nie zaprasza. Przenosi on brytyjski spór o nadrozpoznawalność na nasz rodzimy grunt, **gdzie problemem jest rozpoznawalność zbyt rzadka.**

O żadnej z tych liczb w wywiadzie nie ma ani słowa. Mocno wybrzmiewa za to pytanie, czym przyjmowanie leku różni się od „wciągnięcia kreski amfetaminy przed pracą".

– Takie porównanie jest krzywdzące dla pacjentów, a przy tym farmakologicznie chybione. Lek w dawce terapeutycznej, często o przedłużonym uwalnianiu, działa zupełnie inaczej niż narkotyk przyjęty donosowo – komentuje dr Foryciarz. Przypomina też, że cel leczenia jest zupełnie inny, niż sugeruje wywiad: – Celem nie jest podkręcanie wydajności w pracy czy poprawa ocen na świadectwach, bo my nie leczymy świadectw, tylko żywych ludzi. Chodzi o zmniejszenie cierpienia i zapewnienie ludziom możliwości korzystania ze swoich funkcji wykonawczych na poziomie zbliżonym do osób bez ADHD.

Co piąty nadużywa stymulantów?

Soszyńska przywołuje terapeutę uzależnień Alastaira Mordeya, który spotyka coraz więcej osób uzależnionych od przepisanych stymulantów. Dr Stupak sugeruje, że statystyki ich nie liczą, bo lek jest na receptę. – Wyznaczniki uzależnienia są szersze niż to, że się przyjmuje substancję regularnie: utrata kontroli nad przyjmowaniem, przyjmowanie pomimo szkód – tłumaczy dr Foryciarz. – U osoby z precyzyjnie rozpoznanym ADHD sytuacja ma się raczej odwrotnie, bo te osoby lepiej funkcjonują i mają mniej szkód życiowych.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że nadużywanie leków się zdarza. Według przeglądu badań z 2025 r. 22,6 proc. leczonych nadużywało przepisanego stymulantu. Jednak jak zauważa dr Gondek, brano tu pod uwagę także te osoby, które stosowały lek w wyższych dawkach niż przepisane, ale wciąż w granicach dawek przebadanych, a „przewinieniem" było niestosowanie się do dawki zaleconej. Stąd te odsetki mogą nie odpowiadać częstości faktycznego szkodliwego używania stymulantów.

– Czy są osoby, które próbują nadużywać leków na ADHD? Tak, oczywiście – mówi dr Foryciarz. – Dlatego my, lekarze, mamy obowiązek czuwać, żeby pacjent regularnie zgłaszał się na wizyty kontrolne. Przed rozpoczęciem leczenia pytamy o uzależnienia, wybieramy preparaty o długim działaniu, które trudniej nadużyć, a przepisy ograniczają ilość leku, jaką można przepisać naraz.

W wywiadzie padają też barwne określenia „medyczny speed" i „medyczna gandzia": według dr. Stupaka pacjent po stymulancie źle śpi, więc dostaje jeszcze leki nasenne, uspokajające i marihuanę medyczną. – Taki schemat nigdy nie powinien mieć miejsca – komentuje lekarka. – Jeżeli lek na ADHD wywołuje działania niepożądane, trzeba się zastanowić, czy zmodyfikować dawkę, czy zmienić preparat. Leki na ADHD mają formy krótko- i długodziałające, a dawkę dobiera się indywidualnie.

Ta sama reguła dotyczy chłopca z brytyjskiego filmu, który na lekach wycofywał się z kontaktów. – Wycofanie, przygnębienie czy wytłumienie emocjonalne to działania niepożądane. Nie znam tego dziecka, ale takie objawy często oznaczają zbyt dużą dawkę albo źle dobrany preparat. Wtedy koryguje się leczenie, ale nie rezygnuje z niego – zauważa dr Foryciarz. – Celem leczenia jest to, żeby człowiek czuł się bardziej, a nie mniej sobą.

Czy to znaczy, że leczenie jest wolne od ryzyka? Nie, i tu również krytycy mają

eprasa.pl 7fab5216f4

częściowo rację. Długotrwałe przyjmowanie stymulantów wiąże się z niewielkim wzrostem ryzyka chorób sercowo-naczyniowych (według danych o ok. 4 proc. na każdy rok leczenia). Amfetamina częściej niż metylofenidat wiąże się z epizodami psychotycznymi, choć to rzadkie zdarzenia (ok. 1 na 660 młodych ludzi), a przy metylofenidacie badania nie wykazały wzrostu tego ryzyka. Te wszystkie zagrożenia są znane, więc da się je kontrolować.

Ale warto też pamiętać, że leki to nie wszystko.

– Oddziaływania o udokumentowanej skuteczności to psychoedukacja i psychoterapia, przede wszystkim poznawczo-behawioralna, pomagająca odbudować poczucie własnej wartości i poradzić sobie z codziennością – mówi dr Foryciarz.

Mary Solanto, współtwórczyni jednego z pierwszych programów takiej terapii, przywołuje w „World Psychiatry" metaanalizę, według której terapia wyraźnie wzmacnia działanie leków. Inne badania pokazują, że zmniejsza też lęk i objawy depresji oraz poprawia samoocenę. – Jak człowiek zaczyna sobie radzić z tym, że przestaje zawalać terminy, lepiej organizuje sobie życie, potrafi rozważnie jeździć samochodem i nie niszczy sobie relacji impulsywnymi zachowaniami, to zaczyna lepiej się czuć sam ze sobą – uzupełnia lekarka.

– Sama psychoedukacja po diagnozie, nawet bez włączenia leków, może istotnie zmniejszyć nasilenie objawów. Wiemy wtedy, jak sobie radzić, skąd się biorą objawy, jak nad tym pracować – mówi dr Gondek. Najlepsze efekty daje połączenie metod. – Mamy korzyści, jeśli chodzi o regulację emocji, zachowania impulsywne, budowanie i utrzymywanie relacji przez dłuższy czas. To możliwe dzięki terapii i dzięki leczeniu farmakologicznemu.

Dyskusja tak – ale rzetelna

Nie twierdzę, że o leczeniu ADHD nie można dyskutować. Zdarzają się diagnozy stawiane zbyt pobieżnie, nie da się podważyć pewnych skutków ubocznych farmakoterapii, są kwestie wymagające dalszych badań.

Dr Gondek wspomina, że choć nieprawdziwym jest stwierdzenie, że medykamenty na ADHD powodują psychozę, mogą – szczególnie w źle dobranych dawkach – ujawniać predyspozycję do niej. Dr Foryciarz zauważa, że leczone osoby niekiedy wpadają w pułapkę produktywności, kiedy nagle mają zasoby, żeby pracować więcej. – Zadaniem dla lekarzy i terapeutów jest wychwycić ten moment – mówi. – Osoba z ADHD nie musi nagle wszystkiego nadrabiać. Leczenie ma dać jej szansę, żeby żyć w bardziej naturalny, wyrównany sposób.

Dyskusja jest więc potrzebna, ale wywiad, z którym polemizuję, do niej nie zaprasza. Brytyjski spór o nadrozpoznawalność przenosi na rodzimy grunt, w którym większym problemem jest rozpoznawalność zbyt rzadka. Dostajemy szereg półprawd i wyciąganie cytatów pod z góry założoną tezę.

– Najlepszą odpowiedzią na ryzyko nadrozpoznawalności ADHD nie jest podważanie jego istnienia, lecz podnoszenie jakości diagnostyki – zauważa dr Markowska. Rodzicom radzi, żeby pytali diagnostę, na jakiej podstawie postawił rozpoznanie i jakie inne przyczyny trudności brał pod uwagę. Przypomina też, że mają prawo do drugiej opinii. Co ciekawe, w tym samym kierunku idzie przywoływany w wywiadzie Allen Frances, który domaga się staranniejszej diagnozy, a nie odrzucenia leczenia.

Najbardziej niepokoi mnie jednak to, jakie konsekwencje rozmowa z dr. Stupakiem może mieć dla osób z ADHD i ich rodziców: lęk, poczucie winy, rezygnacja z leczenia? Oczywiście każdy ma prawo decydować o swoim zdrowiu: odstawienie leków jest możliwe, a ostateczna decyzja należy do pacjenta. Ale eksperci, z którymi rozmawiałem, apelują, by robić to w porozumieniu z lekarzem.

Zbudowana na anegdotach wizja ADHD jako konstruktu społecznego, którego leczenie to narkotyzowanie, sposób na wydajność w pracy albo „eksperyment społeczny", nie tylko rozmija się z rzetelną wiedzą. Gubi też to, co najważniejsze. Badania naukowe to tylko i aż średnie, odsetki i statystyki, ale za każdą z tych liczb stoją prawdziwi ludzie i ich prawdziwe cierpienie – nawet jeśli nie ma na nie biomarkera.

© PAWEŁ KICMAN

REKLAMA



WIĘŹ

Wojciech Zalewski
Na przekór wszystkiemu
O nadziei na radykalną wolność

Pisząc o historii pojęcia nadziei, Wojciech Zalewski nie uprawia archiwistyki filozoficznej, ale mierzy się z najbardziej aktualnymi pytaniami: Czy można i warto żyć pomimo tragizmu wpisanego w ludzką egzystencję? Czym jest sens i cel w świecie, w którym dawno już wygasły „wielkie narracje"? Czy chrześcijaństwo ma coś do zaoferowania współczesnemu człowiekowi? – TOMASZ STAWISZYŃSKI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 7fab5216f4

Cyberataki w Polsce

Firmy muszą być lepiej przygotowane na cyberzagrożenia

Polska należy do najczęściej atakowanych krajów, a mimo to cyberubezpieczenia wciąż są mało popularne. Theo Kokkalas, prezes zarządu ERGO International AG, i Artur Borowiński, prezes zarządu ERGO Hestii, mówią o tym, jak budować cyberodporność polskich przedsiębiorstw.



Artur Borowiński, prezes zarządu Grupy ERGO Hestia

Jacek Taran: Zacznijmy od definicji, czym jest cyberubezpieczenie?
Artur Borowiński: To kompleksowy pakiet ochrony firmy, który w razie ataku zapewnia dostęp do specjalistów z zakresu cyberbezpieczeństwa. Polisa pokrywa również szkody finansowe związane z cyberatakiem, m.in. koszty przywrócenia systemów i odzyskania danych, a także pomoc w negocjacjach z cyberprzestępcami oraz koszty przerwy w działalności i utraconych zysków.

Czy firmy nie skupiają się zbyt często tylko na bezpośrednich stratach po cyberataku, nie dostrzegając kosztów przestoju, odbudowy systemów czy odszkodowań?
AB: Tak, ale to nie wszystko. Niewiele firm zdaje sobie sprawę, że incydent trzeba zgłosić m.in. do CERT-u, Ministerstwa Cyfryzacji czy, w przypadku utraty danych osobowych, do UODO. W ramach polisy pokrywamy koszty związane z takimi zgłoszeniami i formalnościami, a także np. działania PR pomagające zarządzić informacją o incydencie.
Theo Kokkalas: Straty firmy w wyniku cyberataku mogą obejmować bardzo szeroki zakres konsekwencji – oprócz przerwy w działalności oraz kosztów informatyki śledczej i odzyskania danych dochodzą konsekwencje regulacyjne związane z ochroną danych, ryzyko utraty reputacji czy odpowiedzialność osób zarządzających.

Czy w zakres tej usługi wchodzi też audyt bezpieczeństwa firmy?
AB: Polisa nie jest substytutem zabezpieczeń klienta. To trochę jak z mieszkaniem – czym innym są zamki i zabezpieczone okna, a czym innym polisa. Firma powinna mieć podstawowe zabezpieczenia, szkolić pracowników i robić kopie zapasowe.

Niedawny wyciek danych firmy MyDr dotknął potencjalnie milionów Polaków. Czy ten przypadek mówi nam coś o ogólnym poziomie cyberbezpieczeństwa polskich firm?
AB: Polska jest jednym z najczęściej atakowanych krajów na świecie. Im więcej ataków, tym więcej takich historii jak MyDr. Pokazuje to, że nasze zabezpieczenia nie są jeszcze idealne, choć trudno oczekiwać, by ktokolwiek był w 100 proc. zabezpieczony.
TK: Jeśli spojrzymy na globalne liczby, warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt. Według szacunków Munich Re pod koniec 2028 roku koszt cyberataków może sięgnąć około 14 bilionów dolarów. Cyberryzyko jest więc jednym z największych globalnych zagrożeń. Świadomość rośnie, a mimo to poziom ubezpieczenia pozostaje niski – na świecie wynosi około 5 proc., podczas gdy w przypadku katastrof naturalnych, jak trzęsienia ziemi czy powodzie, to około 30 proc.
AB: Z danych z całego rynku wynika, że wartość tego segmentu to zaledwie 70–100 mln zł. Biorąc pod uwagę, że cały polski rynek ubezpieczeń to około 90 mld zł, to niewiele. Udział Polski w światowym rynku ubezpieczeń ryzyk cybernetycznych wynosi zaledwie 0,13 proc.

Z raportu ERGO Hestii wynika, że 93 proc. menedżerów uważa swoje firmy za niewystarczająco chronione, a jednocześnie wielu przedsiębiorców zakłada, że atak ich nie spotka. Skąd ten dysonans?
AB: Wciąż brakuje świadomości. Polska bardzo szybko się cyfryzuje – mamy mObywatela, rozliczamy podatki z domu, a ubezpieczyciele mają rozbudowane bazy danych do sprawdzania statusów polis czy szkód. Warstwa bezpieczeństwa wciąż jednak nie jest na odpowiednim poziomie. MŚP stanowią 99 proc. polskich firm i odpowiadają za około połowę PKB, więc jeśli Polska ma być odporna, musi być odporna cyfrowo – a cyberubezpieczenia są jednym z elementów tej odporności.
TK: Głównym błędem menadżerów MŚP jest przekonanie, że skoro ich firmy są mniejsze, nie stanowią celu ataków. Tymczasem cyberprzestępcy szukają właśnie MŚP, bo wiedzą, że są słabiej chronione niż duże firmy. MŚP mają mniej zasobów na zapobieganie atakom i odbudowę po incydencie, a poważny atak może szybko zagrozić ich dalszemu funkcjonowaniu. Rozwój technologiczny sprawia przy tym, że ataki są coraz skuteczniejsze i szybsze.

Co powinien zrobić zarząd firmy w pierwszych chwilach po ataku?
AB: Jeśli firma ma polisę, powinna jak najszybciej skontaktować się z ubezpieczycielem – im szybciej zgłosi problem, tym większa szansa na ograniczenie strat. Wówczas natychmiast rozpoczynamy współpracę ze specjalistami, którzy zdiagnozują zagrożenie i podejmą działania naprawcze.

Mówimy o świadomości zagrożeń i ryzyka. Czy wśród polskich MŚP rzeczywiście widzicie jej wzrost?
TK: Widzimy oczywiście, że rynek ubezpieczeń rozwija się dość szybko. Prognozujemy, że w latach 2020–2030 średnioroczne tempo wzrostu składek wyniesie około 15 proc., co oznacza łączny wolumen składek na poziomie blisko 30 mld euro w 2030 roku, napędzany głównie przez rynki USA i Europy.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 7fab5216f4





MATERIAŁ PROMOCYJNY X3

Theo Kokkalas, prezes zarządu ERGO International AG

AB: Aon, jeden z największych brokerów na świecie, szacuje, że w Polsce ubezpieczonych jest około 1 proc. firm, głównie dużych. Wśród małych i średnich przedsiębiorstw cyberubezpieczenia są wciąż rzadkością, a każdy, kto prowadzi firmę i chce ją rozwijać, musi zwrócić uwagę na ryzyko związane z obecnością w sieci.

Czy przepisy nadążają za wyzwaniami związanymi z cyberbezpieczeństwem?
AB: Nie mamy wpływu na proces legislacyjny, ale mamy wpływ na bezpieczeństwo naszych firm. Przedsiębiorcy nie powinni czekać na przepisy. Ryzyko jest zbyt duże. Przykładem jest ochrona danych osobowych – praktycznie każda firma przetwarzająca PESEL czy dane klienta jest narażona na ryzyko wycieku. Nasze polisy zapewniają wsparcie w takiej sytuacji, ponieważ niewiele firm wie, jak właściwie zareagować po ataku.
TK: Dotyczy to nie tylko Polski, ale całego rynku. Cyberubezpieczenie nie jest w stanie pokryć wszystkich rodzajów ryzyka, dlatego potrzebujemy też wsparcia dostawców i rządów, przede wszystkim w budowaniu świadomości.

Gdzie powinien przebiegać próg między odpowiedzialnością firm a rolą państwa?
AB: Ważne jest, żeby rząd i powołane do tego służby z całą stanowczością ścigały cyberprzestępców. Równie istotne jest budowanie świadomości, że dane są dziś ogromnym aktywem każdej firmy i trzeba je odpowiednio chronić.
TK: Głównym powodem jest z jednej strony rosnąca zależność od technologii, szczególnie wraz z rozwojem AI, a z drugiej – coraz większe możliwości cyberprzestępców. Cyberprzestępczość rozwija się w szybkim tempie, częściowo za sprawą sztucznej inteligencji. Ataki mogą pochodzić z dowolnego miejsca na świecie, a przestępcy często są o krok przed nami.
AB: Polska jest jednym z najbezpieczniejszych krajów w Europie, ale jeśli chodzi o cyberzagrożenia, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Ta warstwa powinna być mocniej chroniona przez państwo, m.in. przez rozwój wyspecjalizowanych służb.

Czy jedno słabe ogniwo, jak w przypadku MyDr, może sprawić, że zabezpieczenia pozostałych firm w systemie okażą się nieskuteczne?
AB: Należy budować odporność rozumianą jako cały system – od małych firm, przez średnie, aż po największe przedsiębiorstwa. Błędem jest przekonanie: „jestem mały, więc nikt mnie nie zaatakuje" – w rzeczywistości przestępcy wybierają firmy najsłabiej zabezpieczone, niezależnie od skali.
TK: Cyberochrona jest złożoną kwestią. Nie chodzi tylko o narzędzia, ale też o szkolenie pracowników, zabezpieczanie własnych aplikacji i ryzyko związane z usługami świadczonymi przez podmioty zewnętrzne. Większa cyberodporność wymaga kompleksowej strategii, bo ryzyko rośnie, a otoczenie staje się coraz bardziej skomplikowane.
AB: Szkolenia są bardzo ważne, bo pracownicy świadomi zagrożeń są ostrożniejsi też prywatnie. MŚP to często firmy rodzinne, więc rosnąca świadomość przekłada się na zachowania poza pracą, a w efekcie cały kraj staje się bardziej odporny.

Skoro regulacji jest już dużo, jakiego wsparcia oczekujecie od państwa?
AB: Państwo powinno zapewniać najwyższe standardy bezpieczeństwa polskiej infrastruktury informatycznej – od mObywatela, przez bankowość i ubezpieczenia, po wszystkie masowo wykorzystywane serwisy – oraz sprawny system wykrywania i namierzania ataków. Trzeba też budować świadomość, że w wyniku cyberataku można stracić dorobek całego życia, także ten intelektualny.
TK: Jako firmy ubezpieczeniowe zwiększamy świadomość ryzyka przez kanały sprzedaży, publikacje i edukację, ale państwa muszą być przygotowane na poważne, systemowe zdarzenia i inwestować w rozwiązania zapobiegające masowym atakom oraz w ściganie przestępców poza granicami kraju. Tego problemu nie da się rozwiązać wyłącznie w sektorze prywatnym.

Gdybyśmy mieli podsumować naszą rozmowę, jakie są najważniejsze kwestie?
AB: Trzeba mieć przede wszystkim plan A, czyli być odpowiednio zabezpieczonym – to ważne zarówno dla firmy, jak i dla życia prywatnego. Warto też mieć plan B, plan działania na wypadek ataku. W tym pomaga ubezpieczenie – już na etapie minimalnego audytu firma ubezpieczeniowa może wskazać, co warto poprawić.
TK: Kluczowa jest świadomość, że każdy jest narażony na to ryzyko. MŚP są szczególnie narażone: mają mniej zasobów na zapobieganie atakom i odbudowę po incydencie, a poważny atak może szybko zagrozić ich dalszemu funkcjonowaniu. Ubezpieczenie jest jednym z filarów ograniczania ryzyka i ma chronić przed tym, czego nie jesteśmy w stanie kontrolować – jako firma czy osoba prywatna. Właśnie po to istnieją ubezpieczenia: żeby pomóc nam zarządzać ryzykiem. ©℗

eprasa.pl 7fab5216f4

OLGA

Drenda:
Mrożek 2.0



Bardzo ciekawi mnie stopień, w jakim współczesna rzeczywistość jest kształtowana przez momentami coraz dziwniejsze i bardziej piętrowe, wymyślne, a zarazem osobliwie akceptowane formy mijania się z prawdą. Prawdopodobnie najpopularniejszy film dokumentalny tego roku dotyczy właśnie granic wiarygodności i sposobów jej symulowania – znak czasów. Najciekawsze we współczesnym kłamstwie są brnące daleko kombinacje, z których koniec końców chyba nie ma specjalnej korzyści, a mimo to ktoś i tak nie rezygnuje, jakby przestał zauważać, że jego czyny nie mają już sensu. A może i nie miały sensu od początku, biorąc pod uwagę rachunek włożonego wysiłku do nieosiągniętych korzyści.

Śledzę z zainteresowaniem procesy dotyczące wprowadzania klientów w błąd przez duże firmy, zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzi czynnik etyczny. Powstają wówczas kampanie komunikujące, że dany gigant rynkowy poczuwa się do odpowiedzialności za dobro potrzebujących albo środowisko. Jakiś czas później okazuje się – w niektórych głośnych przypadkach – że z deklaracji nic nie wynika i że to było tylko takie ładne gadanie. Są to działania wyjątkowo oślizłe, ponieważ uderzają w słuszne motywacje klientów: chcą komuś pomóc, mają odruch gospodarności i odpowiedzialności, chcą zrobić coś pożytecznego.

Gdzie jest niezwykłe narzędzie do krojenia kapusty, gdy go potrzebujemy



OLGA DRENDA

Zdumiewa jednak rozbudowane zaplecze tych przedsięwzięć. Gdy ujawniane są szczegóły niezwykle zawiłych działań zmierzających do tego, żeby nie przekazać jakichś małych z punktu widzenia pseudofilantropa złotówek, i ile trzeba się nad tym nagłowić i nakombinować, żeby ukryć stosowny mały druczek, na myśl ciśnie się pytanie: „czy warto?".

Oto znany producent kawy obiecywał polskiemu klientowi, że zakupione kapsułki zostaną zrecyklingowane. W rzeczywistości „zapomniał" dopowiedzieć drugiej połowy zdania: „pod warunkiem, że wyrzucisz je na terenie Niemiec lub Austrii". Albo pewna firma kuriersko-spedycyjna obiecuje nadawcom paczek, że ich wydatki będą wspierać ochronę pszczół. Szumna ta ochrona polegała na ustawieniu pięciu uli koło jednego biura. Koniec końców firmy musiały ponieść karę. Po podliczeniu grzywien, kosztów pracy działu promocji i prawdopodobnie także wytężonego wysiłku grona prawników nad skonstruowaniem odpowiednio zawiłych regulaminów, korzyści z przygody z filantropią okazały się raczej wątłe i bardziej opłacałoby się zainwestować w prawdziwy recykling albo ufundowanie zapasu przyjaznych pszczołom roślin i środków ochrony dla działkowiczów z całego województwa.

Wygrała mądrość ludowa, która mówi, że chytry dwa razy traci. I absolutnie nie chodzi tu jedynie o reklamę i marketing. Te zawsze mnie interesowały – uważam je za w pełni poważne i godne zainteresowania dziedziny, w których powstaje wiele pomysłów inspirujących generalną kulturę. Mimo szczerego zainteresowania i sympatii pamiętam jednak, że koniec końców chodzi o nakłonienie klienta do zakupu czegoś, czego zwyczajnie by nie kupił albo czego nawet niespecjalnie potrzebuje. W pewnym stopniu zawsze musi korzystać z tych samych sposobów, co jego praszczur, sprzedawca niezwykłego narzędzia do krojenia kapusty i maści leczącej wszelkie dolegliwości z „Jarmarku cudów", filmu Jerzego Hoffmana.

Gorzej, gdy sami wierzymy w baśń o własnej zaradności. Ostatnie lata przyniosły mi kilka rozstań z urządzeniami AGD, które miały wszystko robić niemalże same. Pozorna ta wygoda okazała się okupiona koniecznością nieustannego rozkładania, czyszczenia i mycia poszczególnych elementów, co zawsze zachęcało mnie do powrotu do sprzętów starych i topornych. Mniej wygodnych, ale robiących, co trzeba, i cześć. Poczułam się nieco jak firmy ładujące kłęby pary w zupełnie zbędny gwizdek tylko po to, żeby w końcu i tak stracić. Zawiłe labirynty mylących informacji i niedopowiedzianych drobnych druczków, piętrowe wysiłki, które prowadzą właściwie donikąd i nie wiadomo po co, uniwersum działań daremnych – tak wygląda rewers świata zorientowanego na optymalizację wszelkich działań i załatwienie sprawy przy pomocy dwóch klików, nie trzech. Ale może jest w tym jakaś pociecha: ostatecznie wychodzi na to, że do współczesności wciąż pasuje przymiotnik „mrożkowski", więc można zawsze poczytać sobie Mrożka. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 7fab5216f4

TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK Trzeciego Wieku

DODATEK SPECJALNY
„TP" 48/2026



Co w nas gra

EWELINA LEBIDA

O tym, co muzyka robi z pamięcią, emocjami i ciałem, rozmawiano podczas konferencji zorganizowanej w ramach „Tygodnika Trzeciego Wieku".

JAKUB STARZYK

Jolanta Kogut, kulturoznawczyni, animatorka kultury i wykładowczyni akademicka, podczas konferencji „Co w nas gra?", zorganizowanej w ramach „Tygodnika Trzeciego Wieku" w krakowskim Forcie Borek. Kraków, 19 listopada 2026 r.

Rozmowa o muzyce szybko staje się rozmową o własnym życiu. Nie trzeba znać nut ani historii kompozycji, żeby odczuwać jej wpływ. Warto jednak zrobić coś więcej, niż tylko ją słyszeć: zacząć naprawdę słuchać.

W pierwszym wystąpieniu Jolanta Kogut, kulturoznawczyni, animatorka kultury i wykładowczyni akademicka, zaprosiła gości do przyjrzenia się własnym wspomnieniom. Każdy z nas ma przecież swoją ścieżkę dźwiękową – utwory, które nieodłącznie kojarzą się z konkretnymi ludźmi, miejscami i wydarzeniami.

Nie ma też lepszych i gorszych sposobów przeżywania muzyki. Słuchanie klasycznych melodii nie daje nikomu szczególnego pierwszeństwa przed miłośnikiem popu. Jolanta Kogut przywołała także przykład dokumentu „Alive Inside: A Story of Music and Memory" z 2014 r. Zobaczyliśmy fragment filmu opowiadającego o pracy Dana Cohena, który dobierał osobom z demencją indywidualne zestawy ulubionych nagrań. Pod wpływem znanych im utworów niektórzy zaczynali śpiewać, rozmawiać, odzyskiwać kontakt z otoczeniem. To przypomnienie, że dźwięki potrafią docierać do miejsc, do których inne formy komunikacji nie mają już dostępu.

Drugi panel przesunął uwagę z pamięci na ciało i wspólnotę. Michał Kuźmiński, dziennikarz „Tygodnika Powszechnego" i pisarz, który od dziesięciu lat śpiewa w chórze, przekonywał, że muzyka nie należy wyłącznie do profesjonalistów. Jest w nas – choć nie zawsze pozwalamy sobie z niej korzystać. Rytm towarzyszy nam od początku: oddychamy, bije nasze serce. Mimo to często wstydzimy się śpiewać pełnym głosem, nawet w kościele. Powtarzamy sobie, że nie mamy słuchu, że są inni, którzy potrafią lepiej. Tymczasem, jak wskazywał Kuźmiński, wielu muzykologów przekonuje, że nie ma czegoś takiego jak brak słuchu – jest tylko słuch niekształcony, nad którym można pracować.

Kolejnym punktem spotkania był panel „Jak słuchać muzyki?", prowadzony przez poetę, dziennikarza radiowego i podróżnika Bartłomieja Majzla. Było to zaproszenie do uważniejszego odbioru dźwięków. Jednym z tematów okazała się cisza. Paradoksalnie to właśnie ona pozwala melodii wybrzmieć. Nie wszystko, co istotne, znajduje się w nutach – wiele dzieje się pomiędzy nimi. Cisza otwiera przestrzeń na emocje, nostalgię i tajemnicę, których nie da się łatwo nazwać.

Spotkanie zwieńczył recital Marty Bizoń, aktorki Teatru Ludowego w Krakowie. A przybyli goście mogli pozostać w artystycznym świecie nieco dłużej. W Forcie 52 „Borek" działa Analogowa Biblioteka Polskiej Piosenki, prowadzona w ramach połączonych struktur Centrum Kultury Podgórza i Biblioteki Polskiej Piosenki. Można tu skorzystać z czytelni, strefy odsłuchowej płyt analogowych oraz zbiorów poświęconych historii polskiej piosenki (znajdziemy tu m.in. rękopisy Marka Grechuty).

A czym właściwie jest dla nas muzyka? Zapytani o to uczestnicy odpowiadali: ucieczką od rzeczywistości, tłem życia, odprężeniem, relaksem, ale też pobudzeniem i poprawą nastroju. Padło także znamienne stwierdzenie: „tego nie da się opowiedzieć słowami, to się czuje". ©℗

eprasa.pl 7fab5216f4



JAKUB STARZYK

Recital Marty Bizoń, aktorki Teatru Ludowego w Krakowie podczas konferencji „Co w nas gra?", zorganizowanej w ramach „Tygodnika Trzeciego Wieku" w krakowskim Forcie Borek. Kraków, 19 listopada 2026 r.

Głód muzyki

BARTŁOMIEJ MAJZEL, DZIENNIKARZ MUZYCZNY:

Otwartość na to, co nowe, odmładza, daje nową energię i siły witalne. To nie kwestia wieku, ale postawy. Dziecięca ciekawość świata jest możliwa także w wieku osiemdziesięciu lat.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak słuchać muzyki, żeby ją usłyszeć? Mam wrażenie, że dzisiaj jest to coraz trudniejsze.

BARTŁOMIEJ MAJZEL: Wydaje mi się, że na początku najważniejsza jest cisza. Muzyka nie jest zapisana tylko w nutach, ale również w ciszy między nimi. Cisza nadaje jej strukturę, buduje napięcie, pozwala wybrzmieć emocjom. Paul Simon śpiewał przecież „The Sound of Silence" – utwór o brzmieniu ciszy.

Aktywne słuchanie zaczyna się daleko poza muzyką: w spotkaniu z drugim człowiekiem. Żeby kogoś usłyszeć, trzeba się na niego otworzyć. Podobnie z odgłosami świata: śpiewem ptaków, trzaskiem gałęzi, szumem wiatru. Chodzi o postawę, w której zamiast słyszeć wyłącznie własne „ja", zaczynam słyszeć „ty" albo otaczający mnie świat. Od tego zaczynają się nasze kompetencje do słuchania muzyki.

Czy potrzebna jest do tego wiedza muzyczna?

Nie jest konieczna, żeby czerpać radość z muzyki lub ją głęboko przeżywać. Komuś może wystarczyć samo obcowanie z nią: daje mu szczęście, dodaje skrzydeł. Ale możemy też pójść dalej, w stronę słuchania świadomego. Przypomina ono odkrywanie kolejnych warstw utworu czy całej płyty.

Często zaczynamy intuicyjnie: albo czuję dreszcze, albo nie. Przy kolejnych przesłuchaniach możemy skupić się na tekście, melodii, rytmie, interpretacji czy aranżacji. Poznawać konteksty kulturowe, nawiązania, dowiadywać się czegoś o zespole lub kompozytorze. Utwór oddziałuje na wielu poziomach, więc jest wiele sposobów, żeby się do niego zbliżyć.

A doświadczenie życiowe? Dlaczego ta sama piosenka, usłyszana czterdzieści lat później, może zabrzmieć zupełnie inaczej?

Muzyka jest nośnikiem pamięci. Wywołuje obrazy, odsyła do konkretnych sytuacji i wspomnień. Utwór usłyszany po latach może przywołać czas, który minął, ludzi, którzy zniknęli, przeszłość, która rozsypała się w pył. Ta wartość muzyki będącej mostem, którym można wrócić w przeszłość, jest bardzo istotna.

Nie dotyczy to wyłącznie ludzi starszych, także naszego pokolenia. Może dla bardzo młodych ludzi muzyka jeszcze nie miewa tego wymiaru nostalgicznego. Ważne wydaje mi się wchodzenie z muzyką w relację, która nas angażuje. Wówczas, gdy powraca do nas po latach, staje się dawno niewidzianym bliskim, którego odwiedziny sprawiają nam radość, a jednocześnie powodują bolesne odczucie umykających lat i nostalgię.

Mam wrażenie, że dawniej muzyka częściej była wspólnym doświadczeniem pokoleniowym. Ile jest racji w przekonaniu, że kiedyś słuchało się jej lepiej, a ile sentymentalizmu?

Muzyka była przeżyciem pokoleniowym, bo była zarzewiem buntu. Niosła wartości, wokół których zbierali się ludzie, którzy dawali się im ponieść i chcieli o nie walczyć. Współczesna formuła funkcjonowania muzyki w świecie odbiera muzyce podmiotowość. Kiedyś słuchało się jej całościowo: płyta była spójną, rozbudowaną opowieścią. Dziś platformy podsuwają nam pojedyncze utwory, wybierają je za nas, kawałkują muzykę. Staje się ona bardziej okruchem niż opowieścią.

Sztuczna inteligencja zlepia dziś muzykę z różnych istniejących dźwięków i fraz. To eksperyment, produkt pozbawiony podmiotowości i autorstwa. Nie wierzę, że to się przyjmie i zyska popularność. Słuchacze wciąż szukają w muzyce osoby, człowieka, twórcy, o którym mogą się czegoś dowiedzieć, aby poczuć z nim bliskość. To się nie zmienia.

Ja słucham muzyki dokładnie tak jak dwadzieścia lat temu. Jestem wciąż „głod-

eprasa.pl 7fab5216f4

nym słuchaczem". Ten głód pcha mnie do ciągłych poszukiwań tego, co nowe, nieodkryte i nieoswojone.

Mamy dostęp do muzyki z całego świata. Jak nie zagubić się w nadmiarze? Co poradziłbyś komuś, kto chce odkrywać nowe rzeczy ale nie zajmuje się muzyką zawodowo?

To podobna sytuacja jak z książkami. Fantastycznie, że mamy taki wybór, trudno jednak w tym zalewie rzeczy słabych i błahych wyłowić te wybitne i ważne. Ale to także niezwykła przygoda. Policzyłem, że w tym roku przesłuchałem ponad trzysta nowych płyt.

To ma jednak swoją cenę. Kiedy kupowało się trzy, cztery płyty w miesiącu, bo na więcej nie było nas stać, wałkowało się je w nieskończoność i znało każdy dźwięk. Dzisiaj mamy gigantyczny wybór, za który płacimy często utratą możliwości wejścia w bliską relację z nową muzyką. Ostatnio zacząłem selekcjonować najlepsze albumy, których – jak za dawnych lat – słucham po wielokroć. Wciąż też oczywiście wracam do staroci.

Każdy musi jednak znaleźć własną drogę słuchania i selekcji. Trzeba mieć intuicję, zapał i wielką otwartość oraz ciekawość tego, co nieznane.

Takim przewodnikiem może być radio? W przeciwieństwie do algorytmu po drugiej stronie głośnika jest człowiek.

Prowadziłem audycję „Karawana" przez szesnaście lat i bardzo mi tego medium brakuje. Udało się nawiązać fantastyczne relacje ze słuchaczami, którzy stworzyli wokół tej audycji swoistą społeczność. Radio pozwala otworzyć przestrzeń tajemnicy, a sama muzyka także jest przestrzenią rzeczy niespodziewanych. Połączenie słowa z muzyką daje wyjątkową możliwość prowadzenia rozmowy ze słuchaczem. Ale ja zawsze w radiu szukałem nade wszystko niezwykłości. Czarów.

Współczesnym stacjom brakuje wyrazistych i charyzmatycznych głosów, wychodzących poza dobrą dykcję i proste komunikaty. Mimo to wierzę w radio i jego przyszłość. Potrzeba intymnej rozmowy o muzyce przetrwa, podobnie jak potrzeba czytania dłuższych, pogłębionych tekstów. Nawet jeżeli te przestrzenie będą się kurczyły, pozostaną ważne.



JAKUB STARZYK

BARTŁOMIEJ MAJZEL – poeta, dziennikarz radiowy i podróżnik. Współtwórca grupy poetyckiej Na Dziko i organizator wydarzeń artystycznych. Przez szesnaście lat prowadził autorską audycję muzyczną „Karawana". Na zdjęciu podczas konferencji „Co w nas gra?", zorganizowanej w ramach „Tygodnika Trzeciego Wieku" w krakowskim Forcie Borek. Kraków, 19 listopada 2026 r.

Co właściwie byśmy stracili, gdyby w naszym życiu zabrakło muzyki?

Piotr Kaczkowski mówił, że świat bez muzyki byłby monofoniczny. Dzięki niej staje się wielowymiarowy, polifoniczny. Muzyka uczy, jak otwierać się na wyobraźnię. Podpowiada, jak słuchać i jak słyszeć. Poszerza kompetencje kulturowe.

Mnie muzyka nauczyła mówić „nie", sprzeciwiać się i buntować. Być sobą i iść pod prąd. Była przecież często gestem buntu, rebelii i odmowy. W dzisiejszym grzecznym i wypolerowanym artystycznym świecie często o tym zapominamy. Platon twierdził, że muzyka daje duszę wszechświatowi... Być może więc bez muzyki utracilibyśmy duszę, czucie, wrażliwość?

Co jest ciekawego w późnej twórczości takich artystów jak Dylan? Jak muzycy potrafią się starzeć?

To, że pozostają twórczy, jest dowodem ich żywotności, konsekwencji, ale też wartości, które niosła ich sztuka. Popatrzmy na ten rok: mamy nową, całkiem dobrą płytę Rolling Stonesów. Mamy nowy album Paula McCartneya, moim zdaniem jego najlepszą solową płytę od dawna. Są nowe płyty Kim Gordon i grupy Gong. Jest fantastyczny Neil Young. Ci artyści, poruszając się w obrębie własnego języka, wypracowanego przez lata, wciąż są w stanie tworzyć nowe, intrygujące rzeczy.

A słuchacz? Czy można być za starym na muzyczne odkrycia?

Ależ skąd! Sięganie po rzeczy, które się nam z czymś kojarzą, jest fantastyczne i wzbogaca życie wielu starszych osób. Natomiast otwartość na to, co nowe, odmładza, daje nową energię i siły witalne. Nieustanny głód życia jest istotny zarówno dla twórców, jak i odbiorców. To nie kwestia wieku, ale postawy.

Sztuka pozostaje żywotna, kiedy jest gorąca, kiedy ewoluuje, kiedy nie skupiamy się wyłącznie na tym, co było. Przeszłość to nasz fundament, ale to otwartość sprawia, że nasze życie jest pełniejsze. Dziecięca ciekawość świata jest możliwa także w wieku osiemdziesięciu lat. Mam takie przykłady we własnej rodzinie.

Jaka muzyka stawia Ci największy opór?

Największą przyjemność odczuwam, gdy staję przed ścianą w moim pokoju pokrytą tysiącami płyt i zastanawiam się, czego teraz posłucham. Najwspanialsza jest różnorodność muzycznych języków! Po Billu Callahanie mogę sięgnąć po operę Monteverdiego, a po niej po bluesowego Joe Bonamassę. Potem na przykład Dry Cleaning albo Courtney Barnett. I tak dalej... Można w nieskończoność wciąż wyciągać skarby z tak wielu szuflad. Opór? Techno. Nie jestem w stanie. Nie czuję hip-hopu, ale czasem go słucham i mnie wciąż intryguje. Próbuję go zrozumieć i poczuć. Czasem udaje mi się, kiedy syn chodzi po kuchni i rapuje. Muzyka jest rozmową...

Jeżeli czegoś nie rozumiem, staram się nie odrzucać od razu. Wyciągam rękę. Ważna jest dla mnie ciekawość przestrzeni, które dotąd były mi niedostępne, obce artystycznie czy estetycznie. Chcę przynajmniej do nich zajrzeć. Jeśli mi się nie spodoba, wycofam się. Ale najpierw spróbuję.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

eprasa.pl 7fab5216f4

Audika

Dbaj o słuch – Twój mózg będzie Ci za to wdzięczny

Choć dźwięki odbieramy uszami, to właśnie mózg je przetwarza i nadaje im znaczenie. Zdrowy słuch to zdrowe funkcjonowanie mózgu. Kiedy jednak pojawia się ubytek słuchu, mózg traci dostęp do wielu ważnych bodźców. To może prowadzić do poważnych konsekwencji nie tylko dla mózgu, ale i ogólnego stanu naszego zdrowia.

Co nasz mózg robi z dźwiękami?

Mózg przetwarza informacje o dźwiękach przez całą dobę, 7 dni w tygodniu. Każdy dźwięk z uszu trafia do ośrodka słuchu w mózgu, gdzie znajdują się dwa ważne obszary – orientacji i koncentracji. Ściśle współpracują ze sobą, żeby wspierać proces rozumienia otaczających nas dźwięków. Następnie dźwięk jest przetwarzany przez pozostałe ośrodki mózgu, w tym ośrodek pamięci i części mózgu odpowiedzialne za emocje – dopiero wtedy rozumiemy, co naprawdę słyszymy.

Aby funkcjonować prawidłowo, mózg powinien odbierać dźwięki w pełnym zakresie. Ubytek słuchu powoduje, że do mózgu dociera jednak tylko część informacji, a to po prostu za mało. Dla naszego mózgu powoduje to bardzo duże obciążenie. Tracą na tym inne jego funkcje, np. zdolność zapamiętywania.

Kiedy mózgowi brakuje bodźców...

...odbija się to na całym zdrowiu. U osób niedosłyszących znacząco zwiększa się ryzyko wystąpienia:

1. **Izolacji społecznej i depresji.** Osoby z ubytkiem słuchu mogą zacząć unikać spotkań towarzyskich, ponieważ mają problem z porozumiewaniem się i z aktywnym uczestniczeniem w rozmowach. Wycofanie z kontaktów społecznych może natomiast powodować uczucie samotności, prowadzić do izolacji społecznej i depresji.

2. **Demencji.** Raport Lancet Commission z 2024 roku wskazuje, że niedosłuch jest jednym z 14 modyfikowalnych czynników ryzyka demencji, a 45% przypadków można potencjalnie zapobiec lub opóźnić poprzez ograniczenie wpływu tych czynników. Szacuje się, że występowanie niedosłuchu wiąże się z około 40% wyższym ryzykiem rozwoju demencji[1].

3. **Zaburzeń równowagi.** Nieleczony ubytek słuchu może wpływać na zmysł równowagi, trzykrotnie zwiększając ryzyko urazów wynikających z upadków[2].

Kwadrans dla słuchu

Jednym z najważniejszych działań w trosce o mózg jest regularne przeprowadzanie badania słuchu. Może je wykonać specjalista protetyk słuchu lub lekarz laryngolog. Wizyta u protetyka jest bezpłatna, a gabinety są łatwo dostępne. Centra Słuchu Audika znajdują się w całej Polsce – w dużych miastach, ale i w mniejszych miejscowościach.

Podstawowe badanie słuchu trwa zaledwie 15 minut. Nie jest potrzebne skierowanie, wystarczy umówić się na wizytę telefonicznie lub osobiście w wybranym gabinecie.

[1] *Livingston G, Huntley J, Liu KY, et al. Dementia prevention, intervention, and care: 2024 report of the Lancet standing Commission. The Lancet. 2024;404(10452):572–628. doi:10.1016/S0140-6736(24)01296-0.*

[2] *A.V. Lubetzky et al., Auditory Input and Postural Control in Adults: A Narrative Review, JAMA Otolaryngol Head Neck Surg. 2020,146(5): 480-487.*

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 7fab5216f4



MACIEJ BALMUT

Seniorzy związani z Centrum Kultury Podgórza prezentują swoje umiejętności podczas plenerowego występu w rytmie country

Dom kultury na całe życie

MICHAŁ SOWIŃSKI

Można tu naprawić ulubiony sweter, stanąć na scenie albo zaśpiewać z sąsiadami. Centrum Kultury Podgórza daje mieszkańcom w każdym wieku miejsce na rozwijanie pasji, spotkania i wspólne działanie.

Finalistki drugiej edycji Miss Kultury 60+ tańczyły tango, improwizowały i prezentowały stroje własnego projektu. Na scenie Centrum Kultury Podgórza – Ośrodek Ruczaj wystąpiło dziesięć seniorek z Małopolski, a w programie znalazł się nawet taniec wiedźmy. Wrześniowy wieczór zakończyła międzypokoleniowa potańcówka z DJ Wiką, podczas której uczestniczki konkursu bawiły się razem z publicznością.

Konkurs zorganizowało Centrum Kultury Podgórza, które przez cały rok zaprasza seniorów na zajęcia, spotkania i wydarzenia artystyczne. Można tu rozwijać zainteresowania, zdobywać nowe umiejętności i dzielić się nimi z innymi. Zajęcia bywają też początkiem pracy nad wspólnym koncertem czy przedstawieniem, a dla uczestników – okazją, by samemu stanąć na profesjonalnej scenie.

– To manifest odwagi i twórczej energii. Skutecznie przełamujemy stereotypy związane z wiekiem. Seniorki prezentują na profesjonalnej scenie swoje pasje, talenty, zainteresowania i charyzmę – mówi o Miss Kultury 60+ Anna Grabowska, dyrektor Centrum Kultury Podgórza.

Do domu kultury przychodzi się w różnym wieku i z różnych powodów. Można tu po raz pierwszy zetknąć się ze sztuką albo wrócić do zainteresowań, na które wcześniej brakowało czasu. Dla wielu osób równie ważna jest okazja do wyjścia z domu i regularnych spotkań z ludźmi. CKP stara się odpowiadać na te potrzeby, łącząc w swoim programie naukę, twórczość i wspólne spędzanie czasu.

Po sąsiedzku

Centrum Kultury Podgórza działa od 1984 r. Dziś prowadzi 19 filii w sześciu prawobrzeżnych dzielnicach Krakowa. Wśród nich są ośrodki, teatr i kluby osiedlowe w Płaszowie, Tyńcu, Swoszowicach czy Woli Duchackiej. Każda placówka ma własną publiczność, a jej program odpowiada na potrzeby najbliższej okolicy.

Na regularne zajęcia łatwiej znaleźć czas, gdy odbywają się niedaleko domu. Wyjście na warsztaty czy próbę zespołu można wtedy pogodzić z pracą ↦

eprasa.pl 7fab5216f4



MACIEJ BALMUT

Dziedziniec Fortu Borek, jednej z filii Centrum Kultury Podgórza, zamienia się w kino pod gołym niebem.

↦ i obowiązkami rodzinnymi. Dla osób, którym trudniej poruszać się po mieście, odległość może wręcz przesądzać o możliwości udziału. Sieć lokalnych placówek pozwala więc docierać także do tych mieszkańców, dla których dłuższa wyprawa na zajęcia byłaby kłopotliwa.

– Stereotyp centrum kultury jako zakurzonej świetlicy dawno przestał odpowiadać rzeczywistości. Dziś samorządowa instytucja kultury powinna być tzw. trzecim miejscem, czyli otwartą i bezpieczną przestrzenią tuż obok domu, która przeciwdziała samotności i buduje poczucie wspólnoty między mieszkańcami. Każdy, kto przychodzi do dzisiejszego centrum kultury, nie jest gościem czy klientem, ale uczestnikiem i współtwórcą – podkreśla Anna Grabowska.

Ważne staje się wówczas również to, co dzieje się przy okazji zajęć i wydarzeń: rozmowy po koncercie, znajomości zawierane podczas warsztatów, odkrywanie wspólnych zainteresowań. Z takich spotkań mogą rodzić się pomysły na kolejne działania. Centrum kultury pomaga je rozwijać, oddając mieszkańcom część decyzji o tym, co znajdzie się w jego programie.

Mieszkańcy układają program

Do projektu „(RE)START SĄSIEDZTWA" mieszkańcy Starego Podgórza, Zabłocia i Płaszowa zgłosili 24 pomysły na lokalne działania. Wspólnie z CKP zrealizowali cztery z nich: „Podgórze w literaturze", „Po sąsiedzku. Róbmy razem fajne rzeczy", „Tajemniczy Ogród pełen zmysłów" oraz „Pracownię drugiego obiegu".

Każda z tych inicjatyw była okazją do rozwijania zainteresowań i poznawania sąsiadów. „Pracownia drugiego obiegu" obejmowała siedem spotkań poświęconych naprawianiu i przerabianiu tkanin oraz ubrań. Można było przynieść sweter, koc czy poszewkę i nauczyć się cerowania, haftowania lub wykorzystywania materiałów z odzysku. Zaproszono zarówno początkujących, jak i osoby, które chciały podzielić się swoim doświadczeniem. W każdej grupie przewidziano miejsca dla najwyżej sześciu osób, żeby starczyło czasu na spokojną pracę i rozmowę.

Z kolei w ramach inicjatywy „Po sąsiedzku. Róbmy razem fajne rzeczy" można było wziąć udział w kąpieli leśnej w Lasku Mogilskim zakończonej ogniskiem, poćwiczyć jogę i zjeść wspólne śniadanie nad Bagrami albo zrobić biżuterię i breloki z materiałów pochodzących z recyklingu. Spotkania odbywały się więc także poza siedzibami CKP, w miejscach, gdzie mieszkańcy na co dzień wypoczywają.

– Słuchamy mieszkańców i z nimi współtworzymy program poprzez inicjatywy lokalne czy projekty z Budżetu Obywatelskiego. Zmianę myślenia o domu kultury z instytucji „oferującej usługę" na miejsce współtworzone przez ludzi najlepiej obrazuje nasz projekt „(RE) START SĄSIEDZTWA". Wspólnie wyszliśmy z kulturą w przestrzeń dzielnicy – do ogrodów, lasu, lokalnych księgarni czy nad Bagry – wyjaśnia Karolina Opatowicz, koordynatorka ds. dostępności w Centrum Kultury Podgórza.

Centrum pomagało pomysłodawcom przygotować i zrealizować ich propozycje. Dzięki temu mieszkańcy mogli wykorzystać własne umiejętności i zainteresowania, by zaprosić sąsiadów do wspólnego działania.

Na co dzień w filiach CKP odbywają się zajęcia dla wszystkich grup wiekowych. Z dziećmi do trzeciego roku życia można przyjść do Klubów Rodziców. Starsze dzieci, młodzież i dorośli mają do wyboru między innymi taniec, muzykę, plastykę, teatr czy naukę języków. Można też zająć się rękodziełem, ćwiczyć śpiew albo dołączyć do zespołu artystycznego.

– Mieszkańcy wracają do Centrum Kultury Podgórza i zostają z nami na lata z trzech głównych powodów: bliskości, sprawczości oraz ciągłości międzypokoleniowej i relacji. Dzięki naszej sieci kultura jest dostępna po sąsiedzku, w odległości krótkiego spaceru. Najpierw rodzice przychodzą z niemowlętami do Klubów Rodziców, później przyprowadzają dzieci na warsztaty i zajęcia. Sami chodzą na koncerty i spektakle, a na emeryturze wracają do Klubów Seniora – tak dyrektor Anna Grabowska opisuje wieloletnie związki z Centrum Kultury Podgórza z mieszkańcami.

Jedni korzystają z pojedynczych wydarzeń, inni zapisują się na cotygodniowe zajęcia lub angażują w pracę zespołu. Według danych CKP w 2025 r. w 46 grupach artystycznych rozwijało swoje umiejętności 499 osób – dzieci, młodzieży, dorosłych i seniorów. Regularne ćwiczenia i próby pozwalają doskonalić warsztat, a wspólne przygotowania prowadzą do występów przed publicznością.

Nowe przestrzenie

Nowa siedziba Centrum Kultury Podgórza – Ośrodka Ruczaj przy ul. Jana Kantego Przyzby 10A służy mieszkańcom od października 2025 r. Ta szybko rozbudowująca się część Krakowa zyskała salę widowiskową na blisko 300 miejsc, z profesjonalną sceną i zapleczem technicznym. W budynku znalazły się również pracownie muzyczne, taneczne, plastyczne i ceramiczne, sale edukacyjne oraz kawiarnia. Mieści się tu także siedziba Rady i Zarządu Dzielnicy VIII Dębniki.

eprasa.pl 7fab5216f4

Ośrodek może dzięki temu prowadzić kameralne zajęcia i organizować duże wydarzenia. Gościł już koncerty, monodramy i festiwale. Realizowano tu również projekty edukacyjne oraz wydarzenia dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami.

– Ostatnie lata przyniosły wiele zmian, zarówno infrastrukturalnych, jak i programowych. Za nami otwarcie nowoczesnego Ośrodka Ruczaj w dynamicznie rozbudowującej się dzielnicy, której brakowało dużego centrum życia społecznego i kulturalnego. Dzięki tym zmianom mieszkańcy prawobrzeżnego Krakowa nie muszą już jeździć do ścisłego centrum, by obcować z kulturą – mogą uczestniczyć w dużych koncertach, festiwalach czy spektaklach teatralnych blisko domu. Jednocześnie zyskaliśmy przestrzeń na działania unikatowe w skali kraju – zaznacza Anna Grabowska.

Nowe możliwości przyniosła też rewitalizacja Fortu Borek przy ul. Fortecznej. Od 2022 r. w zabytkowych wnętrzach odbywają się koncerty, przedstawienia, spotkania i warsztaty. Podczas oprowadzań można poznać historię fortu. Stałą scenę znalazł tu Teatr ITAN, kierowany przez aktora i reżysera Artura Dziurmana i współtworzony przez artystów niewidomych oraz słabowidzących. Dzięki współpracy z Centrum zespół może regularnie wystawiać spektakle, korzystając z zaplecza technicznego i wsparcia organizacyjnego.

Na Dębnikach od 2014 r. działa z kolei Teatr Praska 52. Występują tu między innymi Krakowska Scena Klasyczna, Należyci i Trupa Komedianty. Repertuar obejmuje utwory klasyczne i współczesne, a szczególne miejsce zajmują w nim komedie. Kameralna sala pozwala widzom z bliska przyglądać się pracy aktorów.

Przedstawienia dla całych rodzin przygotowują Agnieszka Cianciara-Fröhlich i Jonathan Fröhlich, twórcy cyklu „Gino i Suzi". Wykorzystują pantomimę i teatr ruchu, czerpią też z kina niemego oraz komedii burleskowej. W „Składzie spraw niezwyczajnych" zabierają widzów do antykwariatu, gdzie skrupulatnego właściciela odwiedza dociekliwa klientka. Historię tego spotkania opowiadają ruchem i gestem, budując humor czytelny dla dzieci i dorosłych.

W styczniu 2026 r. do CKP dołączył Ośrodek Kultury Biblioteka Polskiej Piosenki, działający dziś jako Strefa Polskiej Piosenki. Gromadzeniu i udostępnianiu zbiorów towarzyszą tu działania edukacyjne, dzięki którym można poznawać historię utworów, a także samemu je wykonywać. Strefa Polskiej Piosenki połączyła archiwizację dziedzictwa muzycznego z jego żywym przeżywaniem.

Okazją do wspólnego muzykowania są Krakowskie Lekcje Śpiewania, organizowane we współpracy z Fundacją Teatr Camelot. Artyści Teatru Loch Camelot prowadzą śpiew, a uczestnicy korzystają z rozdawanych śpiewników. Dołączyć można bez przygotowania wokalnego. Znane piosenki stają się wspólnym repertuarem ludzi z różnych pokoleń, choć każdemu mogą przypominać inne chwile i wydarzenia.

Uczestniczyć na własnych warunkach

Udział w zajęciach czy spektaklu bywa trudny z powodów, które innym łatwo przeoczyć. Informacja na stronie może być niezrozumiała, sala trudna do odnalezienia, a głos prowadzącego – słabo słyszalny. CKP stara się usuwać te przeszkody, uwzględniając potrzeby odbiorców zarówno przy przygotowywaniu informacji, jak i organizowaniu wydarzeń.

– Dostępność to integralna część i fundament naszej codzienności – podkreśla Karolina Opatowicz.

W ramach projektu „CKP bez barier" placówki wyposażono w urządzenia wspomagające słyszenie, w tym przenośne systemy z pętlami indukcyjnymi. Osobom niewidomym i słabowidzącym w odnalezieniu właściwego miejsca pomaga nawigacja głosowa Intonavi. Komunikatory MÓWik ułatwiają porozumiewanie się za pomocą symboli i komunikatów głosowych. Na stronie internetowej można skorzystać z tłumacza polskiego języka migowego online Migam, a część materiałów przygotowywana jest w tekście łatwym do czytania i rozumienia, oznaczanym skrótem ETR.

Takie rozwiązania wykorzystano między innymi podczas Dni Komedii dell'Arte. Spacer sensoryczny pozwalał widzom poznać scenografię jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia. Spektaklowi towarzyszyły audiodeskrypcja, tłumaczenie na polski język migowy i napisy na żywo. Można było również skorzystać z pętli indukcyjnej.

– W projektach takich jak „Teatr bez barier" czy dostępne odsłony Dni Komedii dell'Arte osoby ze szczególnymi potrzebami nie tylko korzystają ze spacerów sensorycznych i audiodeskrypcji, ale same współtworzą scenografię i wychodzą na scenę – podkreślają przedstawiciele Centrum.

Uczestnicy „Teatru bez barier" ćwiczyli ruch sceniczny, pracę z głosem, improwizację i opowiadanie historii. Przygotowywali także kostiumy, rekwizyty i scenografię. Program zajęć powstał po rozmowach z nimi i ich opiekunami. Podczas listopadowego finału w Forcie Borek grupa z Warsztatu Terapii Zajęciowej oraz Środowiskowy Dom Samopomocy w Konarach pokazali własną interpretację „Moralności pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej, a Radosna Gromada z Nowego Bieżanowa wystąpiła w przedstawieniu „Rejs w nieznane, czyli dolce vita". W poznaniu obu spektakli pomagały publiczności krótkie wprowadzenia i ilustrowane materiały ETR.

O tym, jak często można korzystać z oferty, decyduje również cena biletu. Osobom po sześćdziesiątym roku życia CKP proponuje autorską Kartę Seniora. Pozwala ona kupować bilety na koncerty, spektakle i inne wydarzenia na preferencyjnych warunkach we wszystkich filiach. Ma zachęcać do regularnych wizyt i korzystania z różnych propozycji Centrum. Można przyjść na jeden koncert albo zapisać się na zajęcia i wracać co tydzień – do wspólnej pracy i ludzi, których już się tutaj zna. © MICHAŁ SOWIŃSKI

Autor tekstu jest dziennikarzem Radia Kraków

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 48/2026
REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara

ORGANIZATOR: CENTRUM KULTURY PODGÓRZA

WSPÓŁORGANIZATOR TYGODNIK POWSZECHNY

eprasa.pl 7fab5216f4







REKLAMA

35 lat tradycji
TOUROPERATOR ARION Senior

WYCIECZKI BEZ NOCNYCH PRZEJAZDÓW
RENOMOWANE BIURO PODRÓŻY

SUPER PROMOCJA!
NA HASŁO
„TYGODNIK POWSZECHNY"
GWARANCJA NIEZMIENNOŚCI CENY

tel. 12 632 01 50, kom. 781 892 523, pon - pt 09:30 - 16:30 email: arion@arion.pl www.arionsenior.pl
Kraków, ul. Karmelicka 32 Klientom spoza Krakowa oferujemy noclegi w hotelu w Krakowie - przed i po wycieczce

SKANDYNAWIA



SZWECJA - FINLANDIA - 6 dni

Ekskluzywne promy hotelowe przez Bałtyk:
Sztokholm - Turku: VIKING LINE
Helsinki - Sztokholm: SILJA LINE
Gdynia - Karlskrona - Gdynia: STENA LINE

KARLSKRONA - SIGTUNA - SZTOKHOLM MUZEUM STATKU VASA - MUZEUM ABBA - TURKU - HELSINKI - KARLSKRONA

14.06 - 19.06 / 15.08 - 20.08 Cena od 4.650 zł

W cenie: przejazd autobusem lux, opłaty drogowe, 4 przeprawy promowe, 5 noclegów (4 noclegi na promach, 1 w hotelu 4*), 5 śniadań, 5 obiadokolacji (4 x All Inclusive + 1 x serwowana), wieczorny show muzyczny na promie, w czasie rejsu Helsinki - Sztokholm, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź, Gdynia

SZWECJA - DANIA - 5 dni

Prom STENA Line przez Bałtyk: Gdynia - Karlskrona i mostem – tunelem Oresund z Kopenhagi do Malmo

KALMAR - MALMÖ - KOPENHAGA - ZAMEK KRONBORG - REZERWAT ŁOSI - KARLSKRONA - GDYNIA

01.05 - 05.05 / 15.06 - 19.06 / 23.08 - 27.08.
Cena od 3.340 zł

W cenie: przejazd autobusem, przeprawy promowe, 4 noclegi (2 x prom, 2 x hotel 4*), 2 x kolacja All Inclusive + 2 x serwowane, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP, Vat
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź, Gdynia



NORWEGIA - KRAINA FIORDÓW - 7 dni

KARLSKRONA - OSLO - SOGNEFJORD – DOLINA AURLANDSDALEN - FLÅM - rejs po fiordzie NÆRØYFJORD - LAERDAL – BORGUND - GEIRANGER – GEIRANGERFJORD - DROGA TROLLi i ORŁÓW - KARLSKRONA - GDYNIA

01.07 - 07.07 / 08.07 - 14.07 Cena: 7.740 zł
+ 450 zł rejs po Fiordzie NÆRØYFJORD

W cenie: przejazd autokarem, przeprawy promowe, 6 noclegów (2 noce w kabinach na statku, 2 x hotel), 2 posiłki dziennie (bufet), opieka pilota, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG,TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź, Gdynia.

FRANCJA

NORMANDIA - SZAMPANIA - 8 dni

GIVERNY - ROUEN - FECAMP - ETRETAT - CABOURG - CAEN - plaża OMAHA plaża JUNO - MONT-SAINT-MICHEL - PARYŻ (rejs po Sekwanie) - EPERNAY (degustacja) - REIMS + Muzea: Claude'a Moneta, Arsena Lupina i Marcela Prousta

16.05 - 23.05 / 02.09 - 09.09 Cena od 5.350 zł

W cenie: przejazd autokarem, 7 noclegów w hotelach**/***, 2 posiłki dziennie, rejs statkiem, pilot w jęz. polskim, ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica

LAZUROWE WYBRZEŻE - 8 dni

PROWANSJA: NICEA - CANNES - MONACO - KANION VERDUN - MARSYLIA - ARLES - AVINION - CASSIS - PN CALANQUES - SAN REMO

25.06 - 02.07 / 12.09 – 19.09 Cena od: 5.190 zł

W cenie: przejazd autobusem, 7 noclegów w hotelach**/***, 2 posiłki dziennie, rejs statkiem, opieka pilota w jęz. pol., ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

PARYŻ - WERSAL - ZAMKI LOARY - 7 dni

REIMS - PARYŻ - WERSAL - CHAMBORD – CHENONCEAUX - MONTRESOR - CLOS LUCE - BLOIS

17.04 - 23.04 / 02.10 - 08.10 Cena od 4.490 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach**/***, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica



ALZACJA - Szlak Winny - 6 dni

STRASBURG - Zamek HAUT-KOENIGSBURG - COLMAR - EGUISHEIM - ROUTE des VINS
Strasburg Dzielnica Rady Europy i rejs statkiem po Renie

09.06 - 14.06 / 21.09 - 26.09 Cena: 3.730 zł

W cenie: przejazd autobusem lux, opłaty drogowe, 5 noclegów w hotelach**/***, 5 śniadań, 5 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica

WIEDEŃ - PLENEROWY KONCERT FILHARMONIKÓW WIEDEŃSKICH

w ogrodach Pałacu Schonbrunn

WIEDEŃ - Stare Miasto - HEILIGENKREUZ - MAYERLING - SCHALLABURG

11.06 - 13.06 Cena 1.630 zł

W cenie: przejazd autobusem, 2 noclegi w hotelu 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory.

HOLANDIA



OGRODY TULIPANÓW KEUKENHOF i słynna PARADA KWIATÓW

AMSTERDAM - ROTTERDAM - HAGA - GOUDA - SKANSEN WIATRAKÓW, GIEŁDA KWIATOWA FLORAHOLLAND, RIJKSMUZEUM, REJS STATKIEM PO KANAŁACH W AMSTERDAMIE, ROTTERDAM - PANORAMA PORTU I MIASTA Z EUROMASZTU, PARK MINIATUR „MADURODAM", OGRODY KWIATOWE

14.04 - 18.04 Cena 3.590 zł z „Paradą Kwiatów"
21.04 - 25.04 / 28.04 - 02.05 Cena od 3.490 zł

W cenie: przejazd, 4 noclegi w hotelach 3* , 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW + bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica

CHORWACJA



CHORWACJA - DALMACJA - 9/10 dni

DUBROWNIK, DEGUSTACJA WIN, DEGUSTACJA OSTRYG W STON TROGIR I SPLIT, Wyspy: KORCULA i HVAR,

Hotel BELLA VISTA** w Drveniku**
21.05 - 30.05 Cena od 4.120 zł + 130 zł za rejs

Hotel ALEMARIS* w Baska Voda**
31.08 - 08.09 Cena: 4.770 zł + 150 zł za rejs

W cenie: noclegi tranzytowe na trasie przejazdu autobusem, noclegi, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

CHORWACJA - PÓŁWYSEP ISTRIA:

VRSAR - 10 dni

Zwiedzanie fakultatywne: POREC - ROVINJ - PULA - TRIEST Miramare
Luksusowy RESORT Wypoczynkowy BELVEDERE**
21.09 - 30.09 Cena od 3.950 zł

RABAC - 9 dni

Luksusowy Resort MASLINICA ** balkony na morze**
11.09. - 19.09. Cena: 4.280 zł

W cenie: przejazd, noclegi, 2 posiłki dziennie - bufet, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP i VAT.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

eprasa.pl 7fab5216f4

TOUROPERATOR ARION BIURO PODRÓŻY 35 lat 1992 - 2027

31-128 Kraków,
ul. Karmelicka 32
I piętro w budynku ZNP
tel. 12-632-01-50

Podróże bez nocnych przejazdów

REKLAMA

POCIĄGIEM PRZEZ ALPY



4 KRAJE W 5 DNI

CZECHY: Czeski Krumlov;
AUSTRIA: Salzburg, Zell Am See i rejs po Jez. Zeller See;
SZWAJCARIA: Chur + trasa widokowa w Alpach;
WŁOCHY: Tirano, Jez. Garda, Sirmione, Werona

od 3.190 zł + 510 zł bilet na Bernina Ex.

18.05 – 22.05	29.06 – 03.07	31.08 – 04.09
01.06 – 05.06	03.08 – 07.08	13.09 – 17.09
15.06 – 19.06	17.08 – 21.08	10.10 – 14.10
22.06 – 26.06	24.08 – 28.08	

W cenie: przejazd, 4 noclegi w hotelach 3* i 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

SZWAJCARIA

LODOWCOWY „GLACIER EXPRESS"

SZWAJCARIA - LIECHTENSTEIN - CHUR - St. MORITZ - ZERMATT - GÓRA PILATUS - LUCERNA - VADUZ

03.10 - 08.10 Cena: 4.680 zł + 1380 zł za bilet na GLACIER EXPRESS (bilet + obiad z deserem) + 350 zł za kolejki na Górę Pilatus (obie strony)

W cenie: przejazd autobusem lux, 5 noclegów w hotelach***, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory.

AUSTRIA - SZWAJCARIA - 8 dni + przejazd pociągiem „BERNINA EX"

CZESKI KRUMLOV - SALZBURG - POCIĄG „BERNINA EXPRESS" – JEZ. GENEWSKIE: ZAMEK CHATEAU DE CHILLON, VEVEY, MONTREAUX, EVIAN, GENEWA - ZURYCH - WODOSPAD RHEIFALL - STEIN N/RENEM - WYSPA KWIATÓW MAINAU NA JEZ. BODEŃSKIM - DOLINA WACHAU - MELK - MORAWY: LEDNICE

15.05 - 22.05 / 06.07 - 13.07 / 01.09 - 08.09 / 02.08 - 09.08
Cena: od 4.890 zł + 510 zł bilet na Bernina Ex.

W cenie: przejazd, 7 noclegów w hotelach 3* i 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

BAŁKANY

BAŁKANY-CZARNOGÓRA - 10 dni

Most Durdevica - BOKA KOTORSKA - KOTOR – NJEGUSI - CETNJE - Jez. Szkoderskie - KANION rzeki MORACA - PODGORICA - STARY BAR - BUDVA

Wycieczki fakultatywne:
ALBANIA zwiedzanie: Twierdza, Meczet i miasto Szkodra
BOŚNIA: St. Miasto, Monastyr, Cerkwie, Targ p/Platanami

01.06 - 10.06 Cena: 4.280 zł
19.09 - 28.09 Cena: 4.280 zł
30.09 - 09.10 Cena: 3.990 zł

W cenie: noclegi tranzytowe na trasie przejazdu autobusem, 9 noclegów w hotelach***/****, 9 śniadań, 9 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice

NIEMCY

PERŁY BAWARII - 7 dni

PASAWA - BURGHAUSEN RATYZBONA - NORYMBERGA - FUSSEN - ROTHENBURG OB. DER TAUBER HOHENSCHWANGAU - ETTAL - NEUSCHWEINSTEIN - LINDERHOF - OBERAMMERGAU - WIES - GARMISCH PARTENKIRCHEN - MONACHIUM - HERRENCHIEMSEE

25.06 - 01.07 / 09.08 - 15.08 / 09.10 - 15.10 Cena 4.090 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach 3* i 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW + bagaż, TFG, TFP, Vat
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

KRAJE BENELUXU - 6 dni

TREWIR - LUKSEMBURG - BRUKSELA - GANDAWA - BRUGIA - ANTWERPIA

25.05 - 30.05 / 08.08 - 13.08. Cena: od 3.780 zł

W cenie: przejazd, 5 noclegów w hotelach 3* , 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP i VAT.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica.

WYPOCZYNEK I WCZASY NAD BAŁTYKIEM

Z DOJAZDEM AUTOKAREM! BEZ NOCNYCH PRZEJAZDÓW

Kurorty nad Bałtykiem; ośrodki hotelowe w I-wszej linii brzegowej; za dopłatą dostępne pokoje 1 os.

MIELNO - 10 dni, 200 m od morza

Hotel Willa Aleksander z krytym basenem

24.06 - 03.07 / 04.07 - 13.07 / 12.08 - 21.08
Cena: od 3.460 zł

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: łazienka, czajnik, 2x bufet, obiady serwowane, ubezp. NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Wrocław, Poznań.

DZIWNÓWEK - 11 dni

150 m od morza

JANTAR Resort & Spa z krytym basenem

05.06 - 15.06 / 20.08 - 30.08
Cena: od 3.750 zł

W cenie: wycieczka do Świnoujścia i Międzyzdrojów, dzienny przejazd autokarem, pokoje z balkonem: łazienka, czajnik, 2x bufet, obiady serwowane, ubezp. NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Wrocław, Legnica, Poznań.

JAROSŁAWIEC - 11 dni

100 m od morza i słynna Plaża DUBAJ

Hotel Król Plaza Spa & Wellness****

W cenie: kryty basen, sauna, jacuzzi i grota solna

17.06 - 27.06 / 25.06 - 05.07 / 22.08 - 01.09
Cena: 3.980 zł, masaże + 350 zł (3 x 20')

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje z balkonem: łazienka, czajnik, 2x bufet, obiady serwowane, ubezp. NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Wrocław, Poznań.

ŁEBA OW „Chemar" - 11 dni

200 m od morza

16.06 - 26.06 / 17.08 - 27.08 Cena: 3.530 zł

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: z łazienką, balkonem, czajnikiem, posiłki: 2x bufet, obiady serwowane, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź.

WŁOCHY

TOSKANIA - 8 dni

CORTONA - SIENA - San Gimignano - degustacja wina w regionie Chianti - FLORENCJA - LUKKA - PIZA - La Spezia - Cinque Terre - Rappalo - PORTOFINO

06.05 - 13.05 od 3.890 zł
31.05 - 07.06 / 26.09 - 03.10 od 3.940 zł

W cenie: przejazd autobusem lux, 7 noclegów w hotelach***, 7 śniadań, 7 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

WŁOCHY PÓŁNOCNE - 7 dni

MERANO - TRYDENT - COMO - MEDIOLAN - BERGAMO - BRESCIA - WERONA - GRADO - PALMANOVA

05.05 - 11.05 / 18.09 - 24.09 Cena: od 3.830 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach 3* , 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. KL i NNW + bagaż, opłata TFG, TFP i VAT.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

SŁOWENIA - WŁOCHY - 6 dni

JEZIORO i ZAMEK BLED - WĄWÓZ VINTGAR - DOLINA BOHINJ - VOGEL LUBLANA - JASKINIA POSTOJNA - ZAMEK PREDJAMA - PIRAN - TRIEST - MIRAMARE

28.04 - 03.05 od 3.190 zł
28.05 - 02.06 od 3.440 zł
22.06 - 27.06 od 3.580 zł
26.09 - 01.10 od 3.370 zł

W cenie: przejazd autobusem, 5 noclegów w hotelach***, 5 śniadań, 5 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory.

KRAJOZNAWCZE WYCIECZKI W POLSCE

MAZURY - 5 dni

Kanał Elbląski i Rejs „Szlak Wielkich Jezior"- GRUNWALD -OSTRÓDA - FROMBORK - ELBLĄG - RESZEL - „Wilczy Szaniec" - św. LIPKA – WĘGORZEWO - GIŻYCKO - MIKOŁAJKI

22.06 - 26.06 / 01.09 - 05.09
Cena: 2.090 + 490 zł na bilety

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje z łazienką, posiłki: 2 x dziennie, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazd: Kraków (przed i po wycieczce zapewniamy nocleg w hotelu w Krakowie: 110 zł/noc.)

SUDETY - 4 dni

Pałace i zamki Dolnego Śląska: Zamki KSIĄŻ i Czocha - SIEDLĘCIN - KAPRACZ - ŚWIDNICA - ŚWIERADÓW - OPACTWO KRZESZÓW – PAŁAC KAMIENIEC ZĄBK. - CIEPLICE Zdrój

17.05 - 20.05 Cena: 1.340 zł
21.06 - 24.06 Cena: 1.395 zł
21.09 - 24.09 Cena: 1.395 zł
04.10 - 07.10 Cena: 1.395 zł
+ 340 zł na bilety

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: łazienka, balkonem, czajnik, posiłki: 2 x dziennie bufet, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice.

PODLASIE wielokulturowość - 4 dni

SUPRAŚL - Zamek TYKOCIN - BIAŁYSTOK - BOHONIKI - KRUSZYNIANY - Meczet - Muzeum IKON - GÓRA GRABARKA

14.09 - 17.09 Cena: 2.080 zł + 380 zł na bilety

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: łazienka, posiłki: 2 x dziennie, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z Krakowa (hotel przed i po wycieczce: 110 zł/noc.)

Dla Klientów spoza Krakowa oferujemy przed i po wycieczce nocleg w Krakowie w hotelu: 110 zł/os./noc i rano gwarantujemy wyjazd autokarem z tego hotelu. MIEJSCA W AUTOKARACH PRZYDZIELANE SĄ WG. KOLEJNOŚCI REZERWACJI.

TEL.: 12/ 632-01-50
www.arionsenior.pl

eprasa.pl 7fab5216f4



Życie nigdy nie traci tempa. To my czasem gubimy jego rytm.

Twoja witalność to nie tylko ruch i uśmiech. To rytmiczny stukot kijków na parkowej alejce. Szum wiatru podczas spaceru po mieście. Ciepły głos bliskiej osoby.

Kiedy słuch słabnie, pełne barw i dźwięków życie zaczyna przypominać niemy film. Zamiast czerpać z niego pełnymi garściami, tracisz rytm i dźwięki, które Cię napędzają.

Zadbaj o swój słuch już dzisiaj i umów się na **bezpłatne badanie słuchu** w najbliższym Centrum Słuchu Audika. **Bez skierowania i kolejek.**

MATERIAŁ PARTNERA

Infolinia: tel. 814 714 004
www.audika.pl/oddzialy

Audika

eprasa.pl 7fab5216f4



TOMASZ KIEŁKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE ŚFN



RADEK STRUZIK / MATERIAŁY PRASOWE ŚFN

Wiele inteligencji, jedno wielkie święto nauki. Nadchodzi 10. Śląski Festiwal Nauki Katowice

Czas zaznaczyć daty w kalendarzach! 5–7 grudnia 2026 r. spotkamy się podczas jubileuszowej, 10. edycji Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice. Przed nami trzy dni pełne wiedzy, inspiracji i spotkań z ludźmi, których nauka przyprawia o szybsze bicie serca. W tym roku będziemy przyglądać się jej przez pryzmat „INTELIGENCJI" – koniecznie w liczbie mnogiej!

Świętujemy po raz dziesiąty! Przed nami jubileuszowa, 10. edycja Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice – trzy dni spotkań, pytań i odkrywania nauki z różnych perspektyw. W dniach 5–7 grudnia 2026 r. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach ponownie zgromadzi naukowczynie, naukowców oraz wszystkich, którzy chcą wiedzieć więcej.

Nauka wyjdzie poza laboratoria i sale wykładowe, stając się przestrzenią rozmowy, doświadczeń, zabawy i wspólnego namysłu.

INTELIGENCJE – bo jedna to za mało

Hasłem przewodnim 10. Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice są „INTELIGENCJE". Liczba mnoga nie jest tu przypadkowa.

Przez długi czas inteligencję kojarzyliśmy przede wszystkim z człowiekiem: jego zdolnością do rozumowania, uczenia się, tworzenia i rozwiązywania problemów. Dziś coraz częściej odkrywamy jednak, że samo pojęcie inteligencji wymyka się prostym definicjom.

Podczas 10. ŚFN Katowice nie zabraknie oczywiście rozmów o sztucznej inteligencji, ale chcemy spojrzeć znacznie szerzej. Interesować będą nas inteligencje ludzkie i nieludzkie, indywidualne i zbiorowe, naturalne i tworzone przez człowieka. Będziemy pytać o ich możliwości i ograniczenia, o podobieństwa i różnice, a także o to, czego ich badanie może nauczyć nas o nas samych.

Światowy Finał FameLab International – po raz pierwszy w Polsce

Wydarzeniem specjalnym jubileuszowej edycji ŚFN Katowice będzie światowy finał FameLab International – jednego z najbardziej rozpoznawalnych konkursów w zakresie komunikacji naukowej na świecie.

W ubiegłym roku rolę gospodarza FameLab International pełnił CERN w Genewie. W tym roku najlepsi popularyzatorzy nauki z całego świata spotkają się w Katowicach, by pokazać, że nawet o skomplikowanych zagadnieniach można opowiadać ciekawie i przystępnie. Festiwalowa scena stanie się miejscem zmagań młodych, wybitnych talentów świata komunikacji naukowej, reprezentujących odmienne kraje, kultury i dziedziny nauki. Wszyscy staną przed tym samym wyzwaniem: w ciągu trzech minut przekonać członków jury i publiczność, że nauka nie musi być trudna ani niedostępna i że nawet największe problemy współczesnego świata można przedstawić w sposób jasny i rzeczowy.

FameLab cieszy się popularnością również w Polsce. W latach 2012–2021 za jego krajowe finały odpowiadała Fundacja British Council we współpracy z Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Po krótkiej przerwie konkurs powrócił na polską arenę naukową w 2024 r. z inicjatywy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach – lidera Europejskiego Miasta Nauki Katowice 2024.

Popularyzacja nauki w Polsce jest coraz ważniejsza

Podczas ŚFN Katowice odbędzie się podsumowanie Roku Popularyzacji Nauki, ustanowionego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Porozmawiamy o miejscu popularyzacji w ewaluacji jednostek naukowych, podsumujemy diagnozy stanu popularyzacji nauki w Polsce, a także porozmawiamy o EXPO jako narzędziu promocji i popularyzacji nauki. W programie m.in. dyskusje środowiska akademickiego:

- Miejsce popularyzacji w ewaluacji jednostek naukowych – co nas czeka?
- Trzy lustra popularyzacji – podsumowanie diagnoz stanu popularyzacji nauki w Polsce
- Expo jako narzędzie promocji i popularyzacji nauki – światowy wymiar polskiej popularyzacji nauki

Odbierz bezpłatną wejściówkę!

Pobierając bezpłatną wejściówkę, będziesz na bieżąco z najnowszymi wiadomościami o Festiwalu. Zarejestruj się przez formularz dostępny na stronie internetowej www.slaskifestiwalnauki.pl

Śląski Festiwal Nauki Katowice

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 7fab5216f4



Protest przed parlamentem stanu Alabama przeciw egzekucji Michaela Taylora, skazanego za zabójstwo; Montgomery, 2 listopada 2026 r. Taylor został stracony trzy dni później. Tego dnia w USA stracono łącznie trzech morderców.

EGZEKUCJA PO AMERYKAŃSKU

AUSTIN SARAT, PRAWNIK I POLITOLOG:

Uważam, że kara śmierci jest niezgodna z amerykańskimi wartościami, a że kocham mój kraj, nie chcę tych wartości niszczyć. Kara śmierci – niezależnie, czy ktoś ją popiera, czy nie – okazała się w USA zawodna.

MARTA ZDZIEBORSKA: Nie będzie transmisji z egzekucji Nidala Hasana, byłego majora armii USA, skazanego za dokonanie ataku terrorystycznego w bazie w Teksasie, w którym w 2009 r. zginęło kilkunastu żołnierzy. Administracja Donalda Trumpa najpierw chciała tej transmisji, ale ostatecznie ją odwołano. Przeciwni transmitowaniu rozstrzelania Hasana byli nawet zwolennicy ruchu MAGA. Jest Pan zaskoczony?

AUSTIN SARAT: Absolutnie nie. Już 90 lat temu, gdy odbyła się ostatnia legalna publiczna egzekucja, wśród Amerykanów narastało przekonanie, że przyzwoici ludzie nie powinni oglądać takich rzeczy. Dla wielu stało się jasne, że takie

eprasa.pl 7fab5216f4

egzekucje wcale nie mają wymiaru moralnego. Nie służą pokazaniu, że sprawca zbrodni został pociągnięty do odpowiedzialności, tylko mają być pokazem okrucieństwa. Dlatego zapowiedź transmisji egzekucji Hasana, z czego ekipa Trumpa ostatecznie się wycofała, wzbudziła takie emocje.

Także Pan krytykował te plany. Choć ćwierć wieku temu twierdził Pan, że egzekucja innego terrorysty, Timothy'ego McVeigha, powinna być transmitowana w telewizji, bo to służy informowaniu opinii publicznej. Dlaczego zrobił Pan zwrot o 180 stopni?

Najpierw wytłumaczę moje wcześniejsze stanowisko. Uważam, że przeprowadzenie egzekucji jest działaniem publicznym, tak samo jak uchwalenie ustawy przez parlament. Egzekucje odbywają się w imieniu amerykańskiego narodu, dlatego też powinny być transmitowane w telewizji.

Nie uważa Pan, że to właśnie pokaz okrucieństwa, który odziera z resztek intymności osobę skazaną?

W egzekucjach nie ma nic intymnego. Wszystkie odbywają się w obecności świadków: urzędników stanowych, dziennikarzy, członków rodziny skazanego i rodziny ofiary czy ofiar. Dlatego argument, że transmisja odziera skazanego z prywatności, jest nietrafiony.

Jest jednak różnica, czy egzekucję ogląda garstka osób, czy widzowie w telewizji.

Może się to pani nie podobać, ale takie jest moje stanowisko. Wynika ono z wiary w demokrację – wiary w to, że władze chcą transmitować egzekucję ze słusznych pobudek, czyli chęci edukowania społeczeństwa, a nie serwowania mu pokazu okrucieństwa.

W przypadku administracji Trumpa nie sądzę jednak, by transmisja egzekucji Nidala Hasana miała służyć temu pierwszemu. Już sama jej brutalna forma, przez rozstrzelanie, po raz kolejny pokazuje, że dla rządu Trumpa liczy się głównie pokaz siły. Podobnie działa on w polityce zagranicznej. Gdy jego administracja wzięła się za walkę z przemytem narkotyków z Ameryki Południowej, dała sobie mandat do bombardowania łodzi podejrzanych o przemyt.

Czy pomysł transmisji egzekucji Nidala Hasana miał zadowolić chrześcijańskich nacjonalistów, wpływowych w kręgach Trumpa? Niektórzy liderzy tego ruchu argumentują, że egzekucje opisane w Biblii miały charakter publiczny.

Proszę zauważyć, że tylko nieliczni radykalni chrześcijanie w USA publicznie poparli teraz pomysł transmisji na żywo. Reszta milczała w tej sprawie. Pierwotny plan transmisji egzekucji Hasana, jak i nieudana egzekucja Christy Pike [przeżyła mimo podania dwóch dawek trucizny – red.], to moralna niegodziwość.

Nie sądzę jednak, by te historie dobrze odzwierciedlały aktualną sytuację w USA. Kara śmierci traci, a nie zyskuje na znaczeniu. Nie tylko coraz mniej Amerykanów ją popiera, ale także drastycznie spadła liczba wydawanych wyroków śmierci. Jeszcze 30 lat temu było ich ok. 300 rocznie, a w 2025 r. tylko 23.

Zresztą wiele stanów, w których obowiązuje kara śmierci, nie wykonało ani jednej egzekucji od co najmniej 10 lat. W Kansas ostatnia odbyła się w 1965 r. Dziś kara śmierci sprowadza się do egzekucji wykonywanych w garstce stanów, a w zasadzie w ich wybranych hrabstwach.

Mimo to zniesienie kary śmierci może być tam trudne ze względów politycznych. Rządzący mogą mieć opory, by nie narazić się tej części mieszkańców, która popiera egzekucje.

Uważam, że znoszenie kary śmierci w kolejnych stanach będzie postępować, choć to proces wyboisty i powolny. Raz będą to dwa kroki w przód, a raz jeden w tył, tak jak w przypadku egzekucji wojskowej Nidala Hasana. Fakt, że ma być zabity przez rozstrzelanie, pokazuje słabość instytucji kary śmierci w USA.

Co ma Pan na myśli?

W większości krajów, w których obowiązywała kara śmierci, wybierano jedną metodę egzekucji i stosowano ją niezmiennie przez długi czas. W Stanach jest inaczej. Przez dekady próbowaliśmy znaleźć najbardziej bezpieczną, niezawodną i humanitarną metodę egzekucji. Dlatego plan, by zabić Hasana przez rozstrzelanie, jest odejściem od tej zasady.

Jeśli przyjrzymy się debatom na temat wprowadzenia różnych metod egzekucji, w tym ostatnio przez uduszenie azotem, to nie ma w USA polityka, który by powiedział: „Zastosujemy tę metodę, gdyż będzie ona brutalna, okrutna i sprawi skazanemu cierpienie". Amerykanie nie chcą postrzegać siebie jako sadystów. Stąd poszukiwanie optymalnej i niezawodnej metody egzekucji. Uważam jednak, że są to wysiłki skazane na niepowodzenie, co pokazuje najczęściej stosowana dziś metoda – przez podanie śmiertelnego zastrzyku.

Nawet 8 procent takich egzekucji kończy się komplikacjami. Przypomniała o tym historia wspomnianej Christy Pike. Zanim podano jej dwukrotnie śmiertelną dawkę, niemal godzinę mocowano się z założeniem jej wenflonu. W maju, także w stanie Tennessee, odwołano egzekucję innego więźnia, bo personel nie mógł znaleźć odpowiedniej żyły do wkłucia. A to przecież nie są Himalaje medycyny.

Gdybym zgłosił się w Stanach do lekarza, to dostosowałby on leczenie do moich potrzeb. Ile ważę, czy miałem kiedyś niepożądane reakcje na leki, czy mam problemy z żyłami? W przypadku egzekucji tak się nie dzieje. Nikt nie sprawdza masy ciała skazanego, by dobrać odpowiednią dawkę śmiertelnego leku.

Przecież to szaleństwo. I zupełne zaprzeczenie starań, by znaleźć najbardziej humanitarną metodę egzekucji.

Ta sama dawka leku dla wszystkich to jedna sprawa. Druga to problemy z wkłuciem się do żyły, co jest najczęstszą przyczyną komplikacji. Osoby podające śmiertelny zastrzyk nie są flebotomistami, którzy codziennie pobierają krew od pacjentów i mają doświadczenie z różnego rodzaju żyłami. Założenie wenflonu powierza się zwykle pracownikom więzienia. Sprawy nie ułatwiają też problemy zdrowotne skazanych. Często cierpią na otyłość, wielu w przeszłości zażywało narkotyki dożylnie, co mogło prowadzić do uszkodzenia żył.

Niedawno zszokowały mnie ustalenia niezależnego śledztwa w Arizonie. ↦

KIM CHANDLER / AP / EAST NEWS

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ **Okazuje się, że pracownicy jednego z więzień mieli wytyczne, by dobierając dawkę śmiertelnego leku, posiłkować się Wikipedią.**

Niestety jest wiele przykładów takich wytycznych, które nie gwarantują bezpiecznej i humanitarnej egzekucji. To nie tylko problem śmiertelnych zastrzyków. Tak samo było z krzesłem elektrycznym, nikt nie dostosowywał natężenia prądu do konkretnej osoby. Z kolei gdy kogoś wieszano, nikt nie zastanawiał się, ile waży ta osoba i czy np. pod wpływem jej ciężaru lina się zerwie. Były też przypadki, że zgon nie następował szybko w wyniku przerwania rdzenia kręgowego, lecz przez uduszenie. Albo lina odcinała głowę skazanemu.

Czy w przypadku śmiertelnych zastrzyków komplikacje wynikają też z braku dostępu do dobrej jakości preparatów? Firmy farmaceutyczne nie chcą ich sprzedawać więzieniom, więc muszą pozyskiwać te środki z mniej pewnych źródeł.

To też jeden z powodów komplikacji. Już w 2009 r. firmy farmaceutyczne zaczęły odmawiać sprzedaży substancji stosowanych do egzekucji. Ma w tym zasługę lobby przeciwników kary śmierci, w tym np. organizacja Reprieve. W efekcie za pojęciem „śmiertelny zastrzyk" kryją się dziś różne substancje. Np. w Tennessee podaje się pojedynczą dawkę pentobarbitalu. W innych stanach – np. midazolam czy fentanyl. W niektórych stanach protokoły egzekucji opierają się na podaniu dwóch lub trzech leków.



MARIA STENZEL

AUSTIN SARAT (ur. 1947) jest profesorem prawa i nauk politycznych w Amherst College w stanie Massachusetts (jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w USA). Uważany za czołowego amerykańskiego badacza kary śmierci, specjalizuje się w analizie jej społecznego, politycznego i kulturowego znaczenia w USA. Autor licznych książek na ten temat.

Rozmawiamy o mrocznych technikaliach, a trzeba zadać pytanie: jak to możliwe, że w XXI w. wciąż 50-60 proc. Amerykanów popiera karę śmierci dla morderców?

Ponad 50 lat temu sędzia Sądu Najwyższego Thurgood Marshall sformułował hipotezę, że poparcie społeczne dla kary śmierci wynika z nieznajomości związanych z nią realiów. To tak, jakby spytać Amerykanów, czy lubią lody waniliowe, choć nigdy ich nie próbowali. Najlepszym wskaźnikiem tego, co ludzie sądzą o karze śmierci, są werdykty wydawane przez ławy przysięgłych. Prokuratorom coraz trudniej doprowadzić do skazania kogoś na karę śmierci.

Kiedyś było jednak inaczej. Czy tak jak inni eksperci, łączy Pan poparcie dla egzekucji z historią rasizmu i linczów w USA?

To jedna z teorii. Wszyscy wciąż zastanawiają się, dlaczego USA nadal stosują karę śmierci. Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, trzeba cofnąć się o ponad 50 lat. Dlaczego gdy w 1972 r. Sąd Najwyższy zawiesił wykonywanie kary śmierci w całym kraju, Stany nie pozwoliły temu systemowi całkowicie umrzeć?

Mam nadzieję, że Pan mi to wyjaśni.

Od razu powiem, że nie miało to nic wspólnego z dyskryminacją rasową, religią czy amerykańską wyjątkowością. Politycy nie chcieli zniesienia kary śmierci, bo to były czasy twardej walki z przestępczością. Zamiast pogodzić się z tym, że Sąd Najwyższy zawiesił wykonywanie egzekucji, politycy krytykowali ten wer-

Kalifornia zamienia wyroki śmierci na kary więzienia

ŻADEN Z 548 SKAZANYCH na śmierć, którzy przebywają w więzieniach Kalifornii, nie zostanie stracony. Gavin Newsom, ustępujący gubernator tego stanu, podpisał 5 listopada dekret, zamieniający ich kary śmierci na dożywotnie więzienie bez możliwości warunkowego zwolnienia. „Zabijanie przez państwo jest sprzeczne z kalifornijskimi wartościami, podważa fundamenty naszego systemu prawnego i czyni nas mniejszymi" – napisał Newsom w liście do mieszkańców stanu, uzasadniając swoją decyzję.

GAVIN NEWSOM, który po dwóch kadencjach nie mógł ponownie kandydować w wyborach na gubernatora – miały one miejsce 3 listopada, równolegle z wyborami do Kongresu USA – pozostanie na stanowisku do stycznia 2027 r. Jest jednym z faworytów w walce o nominację Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich w 2028 r. O podjęcie takiej decyzji apelowały do niego organizacje sprzeciwiające się karze śmierci.

ZAMIANA KARY śmierci na karę więzienia musi jeszcze zostać zweryfikowana przez sądy. Wśród prawników nie ma zgody, czy może się to odbyć zbiorowo, czy też sądy muszą rozpatrywać każdy przypadek z osobna.

DECYZJA NEWSOMA jest istotna dla debaty w USA także dlatego, że co czwarty oczekujący na śmierć w więzieniach w USA został skazany właśnie w Kalifornii. Newsom wprowadził moratorium na egzekucje jeszcze w 2019 r. Wcześniej, licząc od 1976 r., w tym stanie wykonano wyroki śmierci tylko na 13 więźniach. Wciąż co roku kilka osób, zwykle morderców, otrzymuje tutaj wyrok śmierci. W Kalifornii, stanie zdominowanym przez środowiska liberalno-lewicowe i głosującym na Demokratów, nie było dotąd większości za zniesieniem tej kary.

TEGO SAMEGO DNIA, 5 listopada, w trzech innych stanach wykonano planowe egzekucje. Skazany w 2013 r. za zabójstwo dwojga dzieci 50-letni Jeffrey Weisheit został stracony w stanie Indiana. Z kolei stan Alabama wykonał egzekucję 54-letniego Michaela Taylora za zabójstwo dwóch osób podczas napadu rabunkowego. Natomiast na Florydzie stracono 64-letniego Jesse'ego Guardado, także skazanego za zabójstwo, które popełnił podczas napadu rabunkowego w 2004 r.

© AP / FAZ

eprasa.pl 7fab5216f4

dykt, mówiąc, że to zbyt łagodne podejście, i że oni zapewnią prawo i porządek. Proszę zobaczyć, że to zupełnie inny proces niż w Europie, gdzie znoszenie kary śmierci było inicjatywą elit.

Czy zawsze był Pan przeciwny egzekucjom?

Tak. Uważam, że kara śmierci jest niezgodna z amerykańskimi wartościami, a że kocham mój kraj, nie chcę tych wartości niszczyć. Kara śmierci – niezależnie od tego, czy ktoś ją popiera, czy nie – okazała się w USA zawodna. Bywa, że skazujemy niewinne osoby.

Czasem to, czy ktoś dostanie wyrok śmierci, zależy wyłącznie od rasy ofiary. Jeśli np. ofiarą zabójstwa jest biały Amerykanin, wtedy wzrasta prawdopodobieństwo, że sprawca otrzyma wyrok śmierci, bez względu na to, jaki on sam ma kolor skóry. Do tego dochodzi to, o czym rozmawialiśmy: że nasz system nie radzi sobie zbyt dobrze z wykonywaniem egzekucji.

Wszystkie te kwestie godzą w wartości, które szanuję: w zasadę rzetelnego procesu sądowego, w równe traktowanie przez prawo, w zakaz okrutnego traktowania. Dlatego jestem przeciwny karze śmierci.

Zanim gubernator Kalifornii zdecydował, że oszczędzi życie 548 skazanym na śmierć, na egzekucję w całych Stanach czekało w sumie ponad 2 tys. więźniów. Ilu z nich może być niewinnych?

Licząc od 1973 r., z celi śmierci wypuszczono dotychczas ponad 200 osób (to jedna osoba na ośmioro więźniów poddanych egzekucji – red.). Niekoniecznie musi to świadczyć o niewinności, czasem jest to kwestia jakiejś pomyłki sądowej. W każdym razie, jedni i drudzy zostali wypuszczeni z celi śmierci. Co ciekawe, ci, którzy tam zostali, w większości przypadków nigdy nie doczekają się egzekucji.

A to za sprawą długiego i skomplikowanego procesu apelacji i moratoriów na wykonywanie wyroków, wprowadzanych przez władze stanowe. To paradoks, że skazani prędzej umrą ze starości niż w sali straceń. Wróćmy jeszcze do Christy Pike. Czy gdyby miała czarny kolor skóry, jej spartaczony zastrzyk odbiłby się tak dużym echem?

Przed sprawą Christy Pike równie duże oburzenie wywołała w 2014 r. nieudana egzekucja czarnoskórego Claytona Locketta. Nie można więc uznać z góry, że Amerykanie to rasiści i nie obchodzi ich los czarnych. Swoją drogą, dwa lata temu organizacja Reprieve opublikowała raport, z którego wynika, że egzekucje osób rasy czarnej częściej kończą się niepowodzeniem niż w przypadku białych. Autorzy raportu nie byli jednak w stanie ocenić, dlaczego tak się dzieje.

USA to tak naprawdę federacja 50 minirepublik z odrębnymi przepisami karnymi. Czy zniesienie kary śmierci w całym kraju będzie kiedykolwiek możliwe?

To proces powolny, ale realny. W ostatnich 20 latach więcej stanów zniosło karę śmierci, niż w jakichkolwiek innych dwóch dekadach w amerykańskiej historii. Jestem optymistą i wierzę, że całkowita abolicja kiedyś nastąpi.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press” i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP”.

REKLAMA

Czy Kościół potrafi słuchać?

Nie tylko mówić, ale też słyszeć. Nie tylko odpowiadać, ale przede wszystkim rozumieć. Kardynał Grzegorz Ryś i Karol Kleczka podejmują rozmowę, w której jest miejsce na trudne pytania, wątpliwości i autentyczne spotkanie.

Słowo „homilia” pochodzi z greki i znaczy tyle co „rozmowa” – czyli przeciwieństwo stania nad kimś i ciosania kołków.
Kard. Grzegorz Ryś

znak

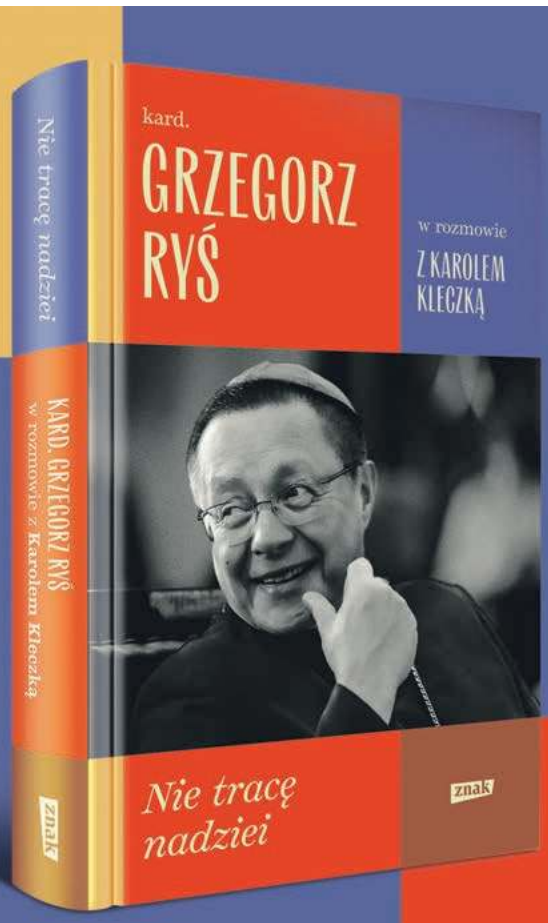

eprasa.pl 7fab5216f4



CLEMENS BILAN / EPA / PAP

Za nowymi uprawnieniami dla niemieckiego wywiadu idą większe pieniądze: w ciągu ostatnich siedmiu lat jego budżet uległ prawie podwojeniu. Na zdjęciu: centrala BND w Berlinie, sierpień 2026 r.

Licencja na (cyber)zabijanie

KAMIL FRYMARK

NIEMCY | W służbach specjalnych naszego zachodniego sąsiada dokonuje się przewrót kopernikański – w sam raz na potrzeby tych burzliwych czasów. Tymczasem do aresztu trafił szef wywiadu z czasów, gdy kanclerzem był Gerhard Schröder.

Wareszcie siedzi już dwa miesiące i wiele wskazuje, że posiedzieć może jeszcze długo: najpierw do procesu, a potem po wyroku skazującym. Zarzuty są na tyle poważne, że trudno wyobrazić sobie inny finał tej afery. Chyba że byłby to wyrok w zawieszeniu, przez wzgląd na podeszły wiek. August Hanning, który w latach 1998-2005 kierował Federalną Służbą Wywiadowczą (BND), a na początku października został zatrzymany przez funkcjonariuszy Federalnego Urzędu Kryminalnego („niemieckiej FBI"), ma bowiem 80 lat.

Były szef BND znalazł się w centrum jednej z najpoważniejszych afer szpiegowskich ostatnich lat, a samo jego zatrzymanie wstrząsnęło polityką i opinią publiczną Niemiec. Prokuratura Federalna podejrzewa go o szereg przestępstw, w tym szpiegostwo, usiłowanie zdrady państwa i działalność agenturalną na rzecz obcego wywiadu.

Złapany przez przypadek

Według śledczych Hanning przez ponad dekadę miał odpłatnie pozyskiwać wewnętrzne dokumenty BND od swojego dawnego współpracownika Manfreda D. (dziś także w areszcie). Ten ostatni od 2012 r. do marca 2026 r. kierował biurami kolejnych szefów wywiadu, siłą rzeczy posiadając dostęp do wrażliwych informacji.

Manfred D. miał przekazać Hanningowi 2 tys. dokumentów, w tym liczne niejawne (np. używane podczas narad z kanclerzem i ministrami). Z ustaleń mediów wynika, że w BND panowało przekonanie, iż działań osób cieszących się zaufaniem najwyższych przełożonych po prostu się nie kwestionuje – stąd łatwość, z jaką mógł on kopiować dokumenty.

Były szef BND miał wykorzystywać zdobywane w ten sposób informacje w swojej prywatnej działalności doradczej, którą podjął po przejściu na emeryturę. Według prokuratury sporządzał na ich podstawie analizy dla przedstawicieli zagranicznego wywiadu. Kogo konkretnie? Prokuratura tego nie ujawnia. Według ustaleń tygodnika „Der Spiegel" śledczy badają m.in. wątki azerbejdżański i chiński.

Co ciekawe, afera ta wyszła na jaw nie dzięki zdolnościom kontrwywiadowczym BND, lecz przez przypadek. We wrześniu 2025 r. prokuratura w Hamburgu przeszukała pomieszczenia należące do Hanninga – w ramach odrębnego postępowania dotyczącego Christiny Block, przedsiębiorczyni z tego hanzeatyckiego miasta (jest oskarżona o porwanie dzieci będących pod opieką byłego męża; to osobna historia). Znalezione wówczas materiały zapoczątkowały nowy wątek śledztwa, które z czasem przejęła Prokuratura Federalna.

Ludzie z pokolenia

Hanning przez lata pełnił kluczowe funkcje w aparacie bezpieczeństwa Niemiec. Po odejściu z BND w 2005 r. – po tym, jak Gerhard Schröder przestał być kanclerzem, a urząd ten objęła Angela Merkel – przeszedł na stanowisko sekretarza stanu w MSW, a przez jego biurko dalej przechodziły najważniejsze informacje z zakresu bezpieczeństwa kraju.

Gdy cztery lata później przeszedł na emeryturę, nie zamierzał rezygnować z aktywności zawodowej. Założył firmę doradczą i związał się z przedsiębiorstwami z branży bezpieczeństwa: Systemem 360 i szwajcarską Pluteos. Zasiadał również w radzie nadzorczej łotewskiego PNB Banka, kontrolowanego wówczas przez Rosjanina Grigorija Guselnikowa. Upadek banku w 2019 r. dotknął bezpośrednio Niemca. Część jego wysokiej urzędniczej emerytury zajął komornik na poczet przyszłych odszkodowań.

eprasa.pl 7fab5216f4

Hanning, urodzony w 1946 r., należy do tego samego pokolenia co Gerhard Schröder, z którego nadania objął w 1998 r. kierownictwo BND. Rozumieli się chyba dobrze: w niemieckich elitach politycznych i służbach długo i silnie zakorzenione było przekonanie, że Rosja, niezależnie od charakteru jej władz, jest partnerem nieodzownym, z którym Niemcy muszą utrzymywać kontakty i szukać porozumienia. Schröder, dziś niechlubna twarz tego zjawiska, w swoim podejściu do Rosji Putina nie był odosobniony.

Pozdrowienia z Moskwy

Już jako emerytowany urzędnik, Hanning najwyraźniej nadal był gotów intensywnie pielęgnować takie kontakty. Jak ustalił „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung", były szef BND przez lata utrzymywał kontakty z Nikołajem Patruszewem, jednym z najbliższych współpracowników Władimira Putina.

W latach 1999-2008 Patruszew stał na czele Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), a stanowisko to przejął właśnie po Putinie. Kontakty Hanninga z Patruszewem sięgają prawdopodobnie czasów, gdy ten pierwszy kierował BND. Po zakończeniu służby widywał się z nim jeszcze kilkukrotnie. Ich ostatnie spotkanie dokumentuje zdjęcie z 2019 r., wykonane w prawosławnym monastyrze na wyspie Wałaam na jeziorze Ładoga. Na fotografii stoi on obok Patruszewa. Stąd pojawiające się dziś pytanie: czy dane, które wyciekały z BND, trafiły – być może pośrednio – również do Moskwy?

Ale Rosja nie była jedynym kierunkiem zagranicznych kontaktów byłego szefa BND. Od 2013 r. zasiadał we władzach Forum Niemiecko-Azerbejdżańskiego; w 2025 r. ponownie wybrano go do jego zarządu. Jak wykazało dziennikarskie śledztwo tygodnika „Der Spiegel", Hanning utrzymywał też przez lata znajomość z emerytowanym chińskim generałem Wang Jianzhengiem, który pod koniec lat 80. XX w. pracował w ambasadzie Chin w Berlinie Wschodnim, a po zjednoczeniu Niemiec pełnił funkcję attaché wojskowego. Ich kontakty trwały co najmniej do 2023 r. To kolejny wątek do zbadania przez śledczych.

Wegetarianin wśród mięsożerców

Afera Hanninga uderza także w BND – i to w chwili wyjątkowo niefortunnej,



MICHAEL KAPPELER / DPA / PAP

August Hanning, były szef niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej (BND). Berlin, 2 października 2015 r.

gdyż w trakcie największych zmian w całej historii tej służby: w połowie listopada Bundestag przyjął ustawę, która rewolucjonizuje działalność BND.

Wcześniej przez długie lata przynajmniej część zachodnich sojuszników wyśmiewała niemiecki wywiad, porównując go do wegetarianina otoczonego przez mięsożerców. Kolejni jego szefowie w istocie przekonywali, że są nadmiernie skrępowani prawem i nie mogą konkurować z zagranicznymi służbami. Tymczasem teraz rząd Friedricha Merza daje BND możliwość pokazania zębów: przygotował największą od powstania tej instytucji reformę jej podstaw prawnych, która ma zasadniczo rozszerzyć jej uprawnienia operacyjne.

Odtąd BND ma odpowiadać nie tylko za zbieranie i analizę informacji. Po raz pierwszy otrzymuje możliwość bezpośredniego ingerowania w działania wroga: prawo do kontrataków cybernetycznych, unieszkodliwiania serwerów zagranicznych grup hakerskich, sabotowania produkcji dronów czy broni chemicznej przez ingerencję w systemy informatyczne fabryk i laboratoriów. Otrzymuje też szersze uprawnienia do pozyskiwania i analizowania danych z tzw. punktów wymiany ruchu internetowego (jeden z największych takich węzłów na świecie, DE-CIX, jest we Frankfurcie nad Menem).

Za nowymi uprawnieniami idą coraz większe pieniądze. Jeszcze w 2020 r. budżet BND wynosił niespełna miliard euro. W 2026 r. wzrósł do 1,51 mld euro, a projekt budżetu na przyszły rok przewiduje już 1,85 mld euro. To niemal podwojenie nominalnych wydatków w ciągu siedmiu lat.

Niemcy w burzliwych czasach

Rząd Friedricha Merza uzasadnia reformę przede wszystkim dwiema okolicznościami. Pierwsza to konieczność przeciwdziałania narastającej aktywności służb rosyjskich, chińskich i irańskich, które codziennie uderzają w Niemcy operacjami sabotażowymi, cyberatakami i kampaniami dezinformacyjnymi. Podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w lutym tego roku obecny szef BND Martin Jäger pytał retorycznie, czy Niemcy nadal mają poprzestawać na obserwowaniu i dokumentowaniu działań przeciwnika, czy też powinny wreszcie zacząć aktywnie na nie reagować. Przekonywał, że operacje wymierzone w Niemcy muszą spotykać się z odpowiedzią dotkliwą dla ich organizatorów.

Uzasadnienie drugie to chęć ograniczenia zależności od zagranicznych partnerów, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. BND powstała w 1956 r. w realiach zimnej wojny, jako organizacja zależna w znacznym stopniu od Amerykanów. Do dziś opiera dużą część swoich zdolności na współpracy z amerykańskimi służbami. Tymczasem niedawna decyzja administracji Donalda Trumpa o czasowym wstrzymaniu przekazywania Ukrainie informacji wywiadowczych unaoczniła Berlinowi ryzyko związane z takim uzależnieniem.

Rząd Merza przekonuje, że Niemcy potrzebują bardziej samodzielnego wywiadu, zdolnego również do partnerskiej współpracy z największymi służbami Zachodu. Do tego konieczne jest jednak poluzowanie więzów prawnych ograniczających działalność BND.

Podwójny cień historii

70 lat temu zachodnioniemiecki wywiad tworzono według zasad odmiennych od tych obowiązujących w wielu innych państwach. Była to konsekwencja doświadczeń III Rzeszy. Służba powstała na bazie Organizacji Gehlena: struktury wywiadowczej stworzonej po II wojnie światowej pod amerykańskim nadzorem ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ przez Reinharda Gehlena, dawnego generała Wehrmachtu odpowiedzialnego za rozpoznanie Związku Sowieckiego. W jej szeregach, a potem w BND, zatrudnienie znalazło wielu funkcjonariuszy z nazistowską przeszłością.

Po tym, jak skończyła się zimna wojna, a w 1990 r. Niemcy się zjednoczyły, do pamięci o nazistowskim aparacie terroru dołączyło doświadczenie wszechobecnej inwigilacji, która miała miejsce w komunistycznej NRD za sprawą tajnej policji Stasi. W niemieckim systemie prawnym wręcz świętością stała się ochrona prywatności i danych osobowych obywateli.

Działalność tajnych służb podlega wobec tego rozbudowanym mechanizmom kontroli parlamentarnej i sądowej. Federalny Trybunał Konstytucyjny wielokrotnie wyznaczał granice dopuszczalnej inwigilacji. Jednym z najważniejszych wyroków był ten z 2020 r., w którym Trybunał orzekł, że również podczas działań wywiadowczych prowadzonych za granicą BND musi przestrzegać praw podstawowych gwarantowanych przez niemiecką konstytucję.

Wymiar symboliczny

Tym większym kłopotem dla BND jest dziś zatrzymanie Augusta Hanninga, właśnie w takim historycznym bez mała momencie. Stawia pod znakiem zapytania skuteczność ochrony najbardziej wrażliwych informacji. Wywiady zaprzyjaźnionych państw, jak słychać, prowadzą teraz analizę ryzyka dotyczącego materiałów przekazywanych niemieckim partnerom – wśród dokumentów objętych śledztwem miały znajdować się również informacje pochodzące od CIA.

Aresztowanie Hanninga, kiedyś zaufanego człowieka Schrödera, ma też wymiar symboliczny. Pokazuje różnicę między nie tak dawnym sposobem myślenia części niemieckich elit o Rosji a sytuacją bieżącą, w której Moskwa jest postrzegana w Berlinie przede wszystkim jako zagrożenie.

Jak głęboka będzie to zmiana, okaże się w kolejnych latach. Także w sferze tajnych służb, gdy BND wreszcie będzie mogła w pełni korzystać ze swoich nowych uprawnień.

© KAMIL FRYMARK

Parada oszustów

MACIEJ STASIŃSKI

HISZPANIA | Jeśli socjaliści przegrają nadchodzące wybory, skończą się rządy, które stały się synonimem korupcji i wiarołomstwa. Tak wygląda zmierzch lewicowego populizmu Pedro Sáncheza.

Przez ostatnie lata, w miarę jak na jaw wychodziły kolejne wykrywane przez media afery – skandale łapownicze, kumoterskie zmowy, nadużycia władzy, niekompetencja czy polityczne oszustwa – premier Pedro Sánchez był raz po raz wzywany przez opozycję do dymisji i ogłoszenia przyspieszonych wyborów.

Ale Sánchez, pozostający na urzędzie od 2018 r., był niezmiennie teflonowy. Zarzuty aferalne spływały po nim jak po kaczce, zbywał je jako *bulos* (bujdy), rzekomo inspirowane przez „faszystowską sferę" mediów i partii prawicowych. Kiedy zaś lądowały na wokandzie sądowej, a ich bohaterowie na ławie oskarżonych lub w więziennej celi, kwitował je jako incydenty. Albo jako zemstę politycznych wrogów, przebranych w togi sędziowskie.

Sánchezowi nie wadziło także i to, że przez ostatnie cztery lata jego rząd nie był w stanie uchwalić budżetu, gdyż jego pstrokatej koalicji – od skrajnej lewicy po separatystów baskijskich i katalońskich – brakowało głosów. Opozycji zaś brakowało ich, by rząd obalić na drodze wotum nieufności.

ILUZJONISTA | Rozpasanej korupcji w rządzie oraz w formacji premiera, Partii Socjalistycznej (PSOE), towarzyszyła korupcja polityczna, czyli wiarołomstwo. Sánchez był w stanie orzec, że wczorajsze czarne jest dziś białe i odwrotnie, jeśli ratowało to jego cienką jak włos większość w parlamencie. Oszustwo podniósł do rangi cnoty.

Gdy sześć lat temu jego socjaliści nie mogli już rządzić samodzielnie, wziął do koalicji skrajną lewicową partię Podemos – choć wcześniej zarzekał się, że „nie mógłby spać", gdyby przyszło mu rządzić razem z nimi.

Potem, gdy potrzebował głosów katalońskich separatystów, ułaskawił kilkunastu ich przywódców, skazanych za zamach stanu – choć wcześniej stanowczo to wykluczał. A gdy im to nie wystarczyło, nazajutrz po przegranych przez socjalistów wyborach w 2023 r. ogłosił dla Katalończyków amnestię – choć jeszcze kilka dni przed głosowaniem kategorycznie ją odrzucał, jako sprzeczną z konstytucją. I mimo porażki wyborczej, dzięki 14 głosom separatystów utrzymał władzę.

Sánchez wypowiedział wtedy zdanie, które stało się dewizą jego kariery: „Z konieczności musimy zrobić cnotę".

Jak iluzjonista uwodził więc kolejnymi łamańcami, a jego poplecznicy, zachwyceni skutecznością, stawali się wyznawcami sztukmistrza. W parlamencie zrywali się z miejsc, klaszcząc jak opętani, gdy przemawiał. Umacniał ich w wierności, zapewniając, że stoją „po słusznej stronie historii", bo „naprzeciw faszystowskiej prawicy".

KATASTROFA | Sánchez poddał się dopiero w październiku, gdy parlament odrzucił dwa dekrety, którymi usiłował on zażegnać awanturę wywołaną eksmisją starszej kobiety z mieszkania.

Jednak przyspieszone wybory ogłosił nie po to, by naprawić zaniedbane przez osiem lat swoich rządów budownictwo mieszkaniowe i uregulować rynek najmu mieszkań, lecz aby wykorzystać społeczne oburzenie na spekulacyjne fundusze, żerujące rzekomo na nieruchomościach. Fałsz, który sam podsycał, bo „sępy" z funduszy odpowiadają zaledwie za 5-8 proc. wynajmowanych mieszkań, gdy reszta jest w rękach osób prywatnych.

I kiedy wydawało się, że uda mu się choćby częściowo odbudować zszarganą reputację, nastąpiła tragiczna katastrofa

eprasa.pl 7fab5216f4



JESUS HELLIN / EUROPA PRESS / GETTY IMAGES

Pedro Sánchez długo zbywał zarzuty wobec swego otoczenia jako „bujdy inspirowane przez faszystów". Na zdjęciu: premier z żoną Begoñą Gómez na wiecu socjalistów. Żona jest dziś oskarżona o handel wpływami w rządzie. Madryt, 17 października 2026 r.

kolejowa, w której zginęło 69 osób. Był to drugi w ciągu ośmiu miesięcy taki wypadek na trasie Madryt-Sewilla. Katastrofa pogrzebała zarazem ministra transportu i rachuby premiera na reanimację.

Wybory odbędą się 29 listopada, a sondaże wróżą socjalistom najgorszy wynik (poniżej 100 na 350 miejsc w Kortezach, izbie poselskiej) w historii hiszpańskiej demokracji, odrodzonej pół wieku temu. Zapowiadają też walne zwycięstwo prawicowej Partii Ludowej i skrajnie prawicowej VOX, ich ewentualnej koalicji prognozując wygodną większość około 200 miejsc.

AFERY | Teflonowość Sáncheza była wyjątkowa. Spośród kilkunastu skandali każdy z osobna powinien wystarczyć do dymisji rządu. Ale nie wystarczył. Wymieńmy kilka z nich.

Flagowy minister i sekretarz Partii Socjalistycznej, José Luis Ábalos, został skazany na 24 lata za łapowniczy zakup masek w czasie pandemii. Jego następca Santos Cerdán stoi przed sądem za korupcję przy zamówieniach publicznych. Cerdán jest też oskarżony o powołanie tajnego „komanda" partyjnego do zastraszania prokuratorów i policjantów prowadzących dochodzenia przeciw bratu premiera i Partii Socjalistycznej.

Brat premiera, David, otrzymał prawomocny zakaz zajmowania stanowisk publicznych za kumoterskie załatwienie sobie państwowej posady. Żona premiera, Begoña Gómez, czeka na rozprawę oskarżona o handel wpływami w rządzie (dla zdobycia pieniędzy na własną katedrę uniwersytecką od zaprzyjaźnionych biznesmenów).

Prokurator generalny Álvaro García Ortiz został skazany za ujawnienie poufnych informacji ze śledztwa, co w jego intencji miało zaszkodzić opozycji. Inni wysocy urzędnicy, nominaci premiera, staną przed sądem za wyłudzanie VAT. Kolejni są sądzeni za łapowniczy wykup długów (za publiczne pieniądze) upadających linii lotniczych Plus Ultra i Air Europa.

Dalej: José Luis Rodríguez Zapatero, były premier i patron premiera, jest oskarżony o zawiadywanie siecią korupcyjną m.in. w celu ratowania linii Plus Ultra, pośredniczenie w praniu pieniędzy reżimu Wenezueli (objętego sankcjami unijnymi), a także o przywłaszczenie wartych 1,3 mln euro klejnotów otrzymanych od Arabii Saudyjskiej. Osobno toczy się dochodzenie o nielegalne finansowanie Partii Socjalistycznej.

TEFLONOWI POLITYCY | We wszystkich tych sprawach podejrzanych, oskarżonych lub już skazanych – za korupcję, oszustwa podatkowe, wykorzystywanie wpływów i nadużycia władzy, pranie pieniędzy, fałszowanie dokumentów i malwersacje, a nawet za przynależność do organizacji przestępczej – jest łącznie 131 osób.

Rząd Sáncheza obciąża też inwazja nielegalnych imigrantów (o ile można tu mówić o imigrantach) na Ceutę, hiszpańską eksklawę na wybrzeżu Afryki Północnej latem tego roku. Tę inwazję 100 tys. ludzi – to ponad dwukrotnie więcej, niż wynosi ludność Ceuty – zorganizował reżim Maroka (tak jak reżim Białorusi na granicy Polski), a rząd w Madrycie najpierw ją „przeoczył", ignorując ostrzeżenia wywiadu, a potem fałszywie przedstawiał jako spontaniczną migrację i zwlekał z zawracaniem tych, którzy dostali się do Ceuty. Wbrew faktom, Sánchez wybielał też reżim Maroka.

Teflonowy i przywiązany do władzy, premier nie poczuwał się do odpowiedzialności za żaden ze skandali, nawet tych w wykonaniu najbliższych współpracowników. Publicyści zachodzili w głowę, jakie jeszcze salto mortale gotów jest wykonać. ↦

eprasa.pl 7fab5216f4



OSCAR DEL POZO / AFP / EAST NEWS

Katastrofa kolejowa na trasie Madryt-Sewilla, w której zginęło 69 osób, była drugim podobnym wypadkiem w tym roku. Pogrzebała rachuby premiera na polityczną reanimację. Prowincja Toledo, 29 października 2026 r.

↦ Nieliczni zadawali ważniejsze pytanie: co Sánchez musiałby zrobić, żeby Hiszpanie się od niego odwrócili. Tak skutecznego trwania nie sposób pojąć bez uwzględnienia odporności opinii publicznej na afery i nieudolność władzy. Bezsporny jest bowiem fakt, że za rządów prawicy (1996-2004 i 2011-2018) również mnożyły się skandale, a jej przywódcy byli równie teflonowi. Korupcja jest, jak widać, zadomowiona w hiszpańskiej polityce.

RACJA BYTU | Rządy Sáncheza mają jednak także głębszy wymiar. Rzecz znamienna: dawno już odwrócili się od niego weterani hiszpańskiej Partii Socjalistycznej, którzy – jak premier Felipe González czy wicepremier Alfonso Guerra – przewodzili w latach 1980-1990 reformom grzebiącym wówczas dziedzictwo dyktatury generała Franco.

Uznali oni, że rządy Sáncheza to przejaw degeneracji demokratycznej lewicy, a nawet zadeklarowali, że nie chcą głosować na Partię Socjalistyczną. Ich zdaniem dzisiejsi socjaliści stracili busolę ideową, przestali być socjaldemokracją, partią wartości, stając się karną kompanią podążającą za wodzem.

Być może współczesna socjaldemokracja straciła coś więcej niż ideową cnotę, a mianowicie Wielką Sprawę, która od wieku XIX była racją stanu demokratycznej lewicy: to obrona pracy przed kapitałem, sprawiedliwość społeczna, podział dóbr, wyrównywanie nierówności i szans awansu społecznego, rządy prawa, równouprawnienie.

Gdy historyczna sprawa lewicy, ta rodem z klasowych walk wieku XIX (jak ujałby to Karol Marks), straciła aktualność we współczesnym kapitalizmie i sprawiedliwszym ładzie ustanowionym po 1945 r., w drugiej połowie XX w., socjaliści musieli poszukać nowej racji bytu. Wojowniczo i do absurdu zaczęli się bić w obronie mniejszości seksualnych i wszelkiej subiektywnie odczuwanej tożsamości. Ministry rządu Sáncheza zaczęły używać, oprócz męskich i żeńskich, także nijakich zaimków i rodzajników.

Sánchez i jego współtowarzysze przyjęli też za swoje postulat skrajnej lewicy Podemos, by zrewidować demokratyczną transformację z lat 1975-1978 jako haniebny pakt wymuszony przez pogrobowców Franco. Wskrzeszali widmo bezgrzesznej Republiki z lat 1931-1939 oraz ducha przegranej wojny domowej, kwestionowali ustrój monarchii konstytucyjnej.

POPULIZM LEWICOWY | Niepomni, że wybujały nacjonalizm burzy jedność Hiszpanii, umizgiwali się też do nacjonalistów z Katalonii, pragnących oderwać ten region od Hiszpanii. Ugłaskiwali rzeczników terrorystów baskijskich, którzy nadal uważają, że ich organizacja ETA, która zamordowała blisko 900 osób już za czasów demokracji, toczyła uprawnioną walkę o wyzwolenie Kraju Basków. Własnych zaś przywódców z czasów transformacji, jak González, dzisiejsi socjaliści traktują jak zmurszałe truchła.

Jeśli populizm to taki sposób uprawiania polityki, który dla doraźnego poklasku i władzy zrobi wszystko i broni tylko tego, co akurat podoba się „ludowi", to rządy Sáncheza są populizmem wcielonym. Populiści nie debatują o racjach z partnerami demokratycznego ładu, bo ci są wrogami. Swoje racje proklamują i narzucają, stojąc po stronie Narodu lub Ludu. Uwodzą wyborców, upewniając ich, że są po dobrej stronie mocy. Grają na nutach frustracji i gniewu. Okłamują i obiecują spełnienie.

Parlament w Madrycie przestał być miejscem debaty – jest areną zaciekłej wojny kulturowej, rozpisanej na partyjne propagandowe monologi. Na sali plenarnej posłowie obrzucają się obelgami, a w kuluarach już ze sobą nie rozmawiają.

W demokratyczno-liberalnej Europie, przeżywającej kryzys, populistów nie sieją – oni rosną sami. Przeważają ci nacjonalistyczno-prawicowo-autorytarni, jak w Polsce Kaczyński, PiS i Konfederacja, Orbán na Węgrzech, Salvini we Włoszech, Farage w Wielkiej Brytanii, Le Pen we Francji, AfD w Niemczech. Ale partia Jeana-Luca Mélenchona we Francji czy obóz Sáncheza w Hiszpanii, wyrosłe na grobach dawnych socjalistów, dowodzą, że populizm ma również oblicze „postępowe".

NA MIELIŹNIE | Hiszpański populizm „ludowo-postępowy" nie ma za wroga imigranta ani ponadnarodowej Europy, której nienawidzi nacjonalista. Nie łasi się, jak Le Pen czy AfD, do Rosji Putina i do Donalda Trumpa. Bliżej mu do ideologii wokeizmu, tropiącej objawy nierówności, dyskryminacji czy nietolerancji społecznej, rasowej, seksistowskiej, płciowej. Nie znosi liberalizmu. Gromi „bogaczy", którym obiecuje, że ich „ugotuje podatkami". Oraz upaja się swoją rzekomą moralną wyższością.

Jego wizytówką stały się lekkomyślność i zuchwałość, które zastąpiły racjonalną politykę i popychają jego przedstawicieli do skolonizowania władz i instytucji demokratycznych, czyniąc ich zarazem ślepymi na kwestie państwa prawa i ustroju, w tym na jedność Hiszpanii i równość praw wszystkich jej obywateli.

Dzisiaj statek hiszpańskiej lewicy, płynący pod piracką banderą postępu, znalazł się na mieliźnie. Po wyborach z 29 listopada okaże się, czy tam pozostanie, aż się rozpadnie. Czy też może jednak obóz demokratycznej lewicy się odrodzi.

© MACIEJ STASIŃSKI

eprasa.pl 7fab5216f4



Prestige MJM · BILET SERWIS · TYGODNIK POWSZECHNY · VIXON MEDIA · proart

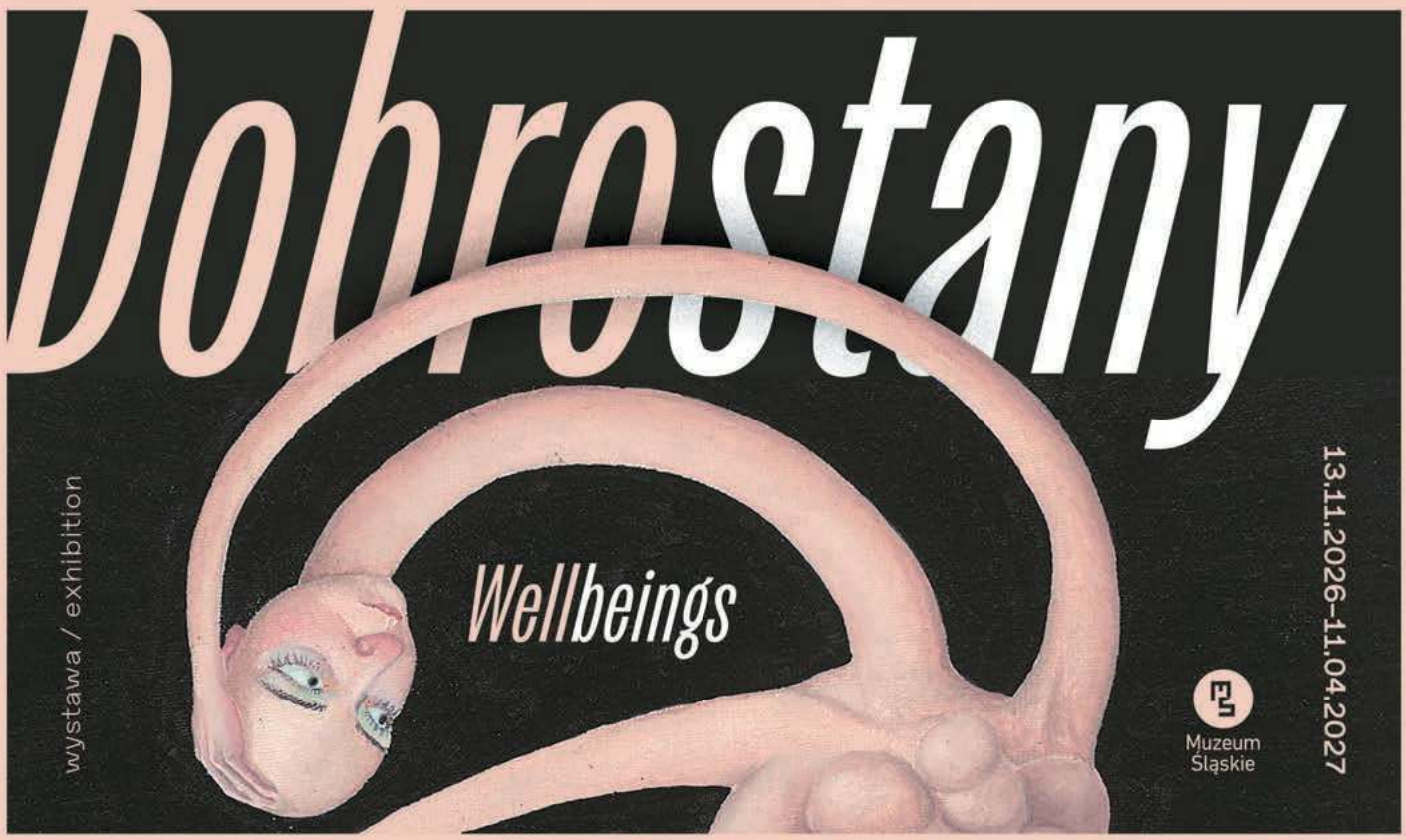

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · Województwo Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl

Wystawa powstała w ramach programu „Muzeum dla demencji"

muzeum dla demencji

Patron medialny: TYGODNIK POWSZECHNY

eprasa.pl 7fab5216f4

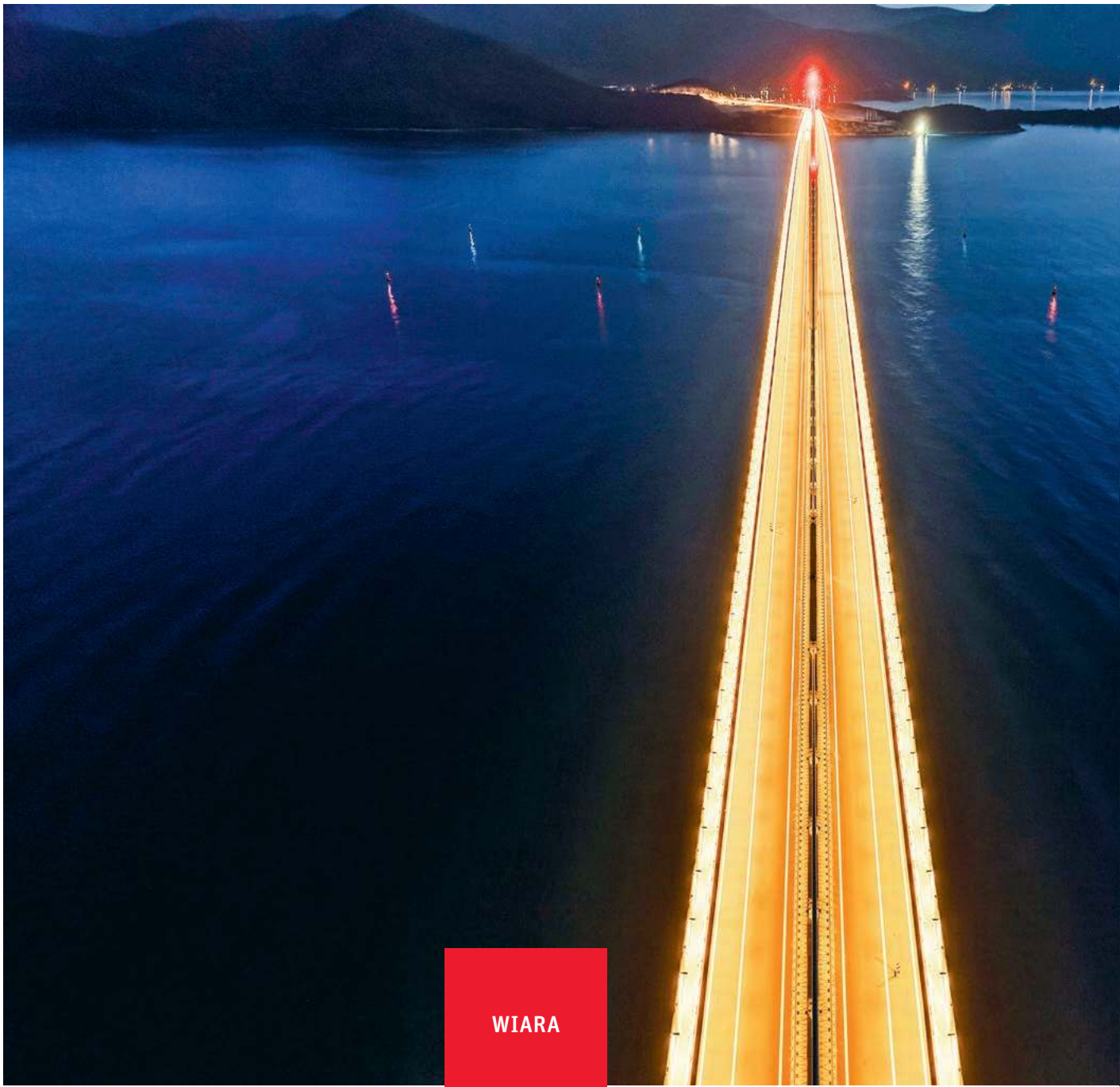

WIARA

CZAS OTWARTY NA NIEBO

Boże Narodzenie głosi zejście nieba na ziemię,
Wielkanoc obiecuje ziemi wniebowzięcie, natomiast Adwent odsłania naturę doczesności,
w którą wlewa się wieczność.

MAREK KITA

eprasa.pl 7fab5216f4



DARIO BAJURIN / ADOBE STOCK

Pelješki most w pobliżu miejscowości Ston w Chorwacji

Łacińskie słowo adventus odpowiada greckiemu *parousia*, oznaczającemu przybycie lub – wynikającą z niego – obecność. Ta dwuznaczność wydaje się godna uwagi w kontekście przeżywania duchowego ćwiczenia zwanego Adwentem. Okres poprzedzający upamiętnienie Narodzin Chrystusa służy medytacji nie tylko nad tym, co się kiedyś zdarzyło, ale też nad tym, co trwa i co nadejdzie – po to, żeby nas otwierać na relację z Tym, „który jest i był, i który przychodzi" (por. Ap 1, 4. 8).

Odnaleźć się w tęsknocie

Najstarsza tradycja chrześcijańska łączyła termin „paruzja" z oczekiwanym przyjściem Chrystusa na końcu obecnej ery (*aiōn*) istnienia świata (por. Mt 13, 40). Jak wiadomo, pierwsze pokolenie wierzących spodziewało się tego prędko i wypatrywało Nadchodzącego z tęsknotą. Modlono się: „Przyjdź, Panie Jezu!" (Ap 22, 20). Z biegiem czasu trzeba było się oswoić z myślą, że nie tylko nie znamy i nie zdołamy przewidzieć daty Przyjścia, ale ponadto może ono kazać na siebie czekać bardzo długo – gdyż „u Pana tysiąc lat jest jak jeden dzień" (por. 2 P 3, 8). Stopniowo też tęsknota za Przychodzącym zmieniła się w obawę przed spotkaniem z Nim w chwili sądu rozumianego jako „dzień gniewu" (*dies irae*, jak głosi tekst średniowiecznej pieśni). Tymczasem Adwent to okazja do odnalezienia się na nowo w obliczu Dobrej (a nie złej) Nowiny. Kto „uwierzył miłości Boga" i żyje nią (por. 1 J 4, 16), ten tęskni za momentem, gdy Bóg-Miłość „będzie wszystkim we wszystkich" (por. 1 Kor 15, 28).

Ta tęsknota odpowiada naszej najgłębszej naturze, ponieważ Bóg nas „przeznaczył do ukształtowania na obraz Jego Syna, żeby On był pierworodnym między licznym rodzeństwem" (por. Rz 8, 29). Jesteśmy stworzeni do podobieństwa z Bogiem-Synem i dzielenia z Nim Jego miejsca przy Ojcu (por. J 17, 24). To dlatego Jezus-Emmanuel („Bóg z nami", por. Mt 1, 23) upodobnił się do nas i podzielił nasz los. Wspomnienie Narodzin Chrystusa ma nam uprzytamniać, że otwierając się na wspólnotę z Nim, „rodzimy się z Boga" (por. J 1, 12-13), wchodzimy w nowy sposób bycia. Jest to egzystowanie w sieci relacji międzyosobowych, wzajemnej afirmacji i wzajemnego oddania, zaangażowania w los drugiej osoby, noszenia się nawzajem w sercu: „jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, żeby i oni w nas byli..." (J 17, 21). Do egzystencji będącej odzwierciedleniem wewnątrzboskich relacji rodzimy się, przyjmując wspólnego Ducha Ojca i Syna, Ducha wspólnoty (*koinōnia*, por. 2 Kor 13, 13), wieczny Oddech (*Pneuma*) Miłości – dlatego są to „narodziny z Ducha" (por. J 3, 8).

Teraźniejszość nadchodzącego

Jeśli na Ducha Świętego otwieramy się tu i teraz, to już zaczęło się nasze życie wieczne – królowanie Miłości w stworzeniu, czyli „królestwo Boże". Paradoks adwentowego sposobu życia polega na świadomości, że to królestwo-królowanie (*basileia*) jest absolutnie blisko, lecz na sposób dynamiczny. Jezus w Ewangelii mówi: „królestwo Boga jest w was" (*entos hymōn*, Łk 17, 21), a jednocześnie uczy prosić: „Ojcze nasz (...), niech przyjdzie Twoje królestwo" (Łk 11, 2). Z jednej strony nie musimy czekać na własną śmierć lub kres obecnej „ery" (nie „koniec świata", lecz jego transformację), żeby miłość stanowiła nasz chleb powszedni, lecz z drugiej strony jest oczywiste, że jeszcze nie możemy się tą ucztą sycić w całej pełni i z całym spokojem. Innymi słowy, Bóg codziennie „zastawia nam stół w obliczu wrogów" (por. Ps 23, 5) – karmi nas swoją obecnością w gąszczu trudności i w ogniu zmagań – ale w przygodzie teraźniejszości nie można (i ostatecznie nie sposób) się zadomowić (por. Hbr 13, 14). Potrzebujemy świadomości obu stron tego medalu.

Tak więc nasza teraźniejszość z Bogiem karmi się naszą przyszłością z Nim, już ucieleśnioną w Jezusie zmartwychwstałym (por. 1 Kor 15, 20) – a wspomnienie Narodzin służy w gruncie rzeczy kontemplacji tej prawdy. Narracja ewangelistów prowadzi do Betlejem, czyli Domu Chleba (hebr. *Bet Lechem*). W innym miejscu Jezus powie: „jestem chlebem życia" (J 6, 35). Jego przyjście na świat karmi człowieczeństwo Boską treścią, stanowi kosmiczny sakrament – udzielenie światu komunii.

To sam Jezus, przełamany Męką, ale pełen życia w „ciele duchowym" (*sōma pneumatikon*, 1 Kor 15, 44), jest tajemniczym „chlebem jutrzejszym (*epiousios*) dawanym nam dzisiaj" (por. Mt 6, 11). Jego „podniesienie do nieba" (Łk 24, 51), na Boski poziom bytowania, nie oznacza separacji od świata, lecz przeciwnie ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ – wszechobecność, „napełnienie sobą wszystkiego we wszystkim” (por. Ef 1, 23). Jednak wspomniane „wszystko” wciąż jest w procesie dorastania „do miary dojrzałości Chrystusowej pełni” (Ef 4, 13; por. 1, 10; 4, 15). Zatem święto Narodzin Chrystusa głosi zejście nieba na ziemię, a Wielkanoc obiecuje ziemi przemianę i wniebowzięcie, natomiast Adwent odsłania naturę doczesności, w którą stopniowo wlewa się wieczność.

Żyć przytomnie

Jak wiadomo, na kartach Ewangelii pojawia się w kontekście Paruzji wezwanie: „Czuwajcie!” (Mt 24, 42). Nie chodzi przy tym o bierne wyczekiwanie, „wpatrywanie się w niebo” (por. Dz 1, 11), lecz właśnie o trzeźwe stąpanie po ziemi (por. 1 P 5, 8) – o świadomą obecność w każdej z chwil własnego życia i adekwatną odpowiedź na ich wyzwania. Ma to być czuwanie aktywne, czyli odkrywanie i wykonywanie dobrych czynów, przygotowanych już dla nas (w postaci możliwości) przez Boga (por. Ef 2, 10). Jezusowe odejście za horyzont naszej percepcji jest jak opisany w przypowieści wyjazd pana domu, który zostawił gospodarstwo pod opieką służby, zlecając



DARIO BAJURIN / ADOBE STOCK

każdemu jakąś pracę (por. Mk 13, 34). Zgodnie z naturą królestwa Bożego chodzi o wzajemne służenie sobie jako „szafarze różnorakiej łaski” (por. 1 P 4, 10), odpowiednio do zasobów dobra, w jakie zostaliśmy wyposażeni.

Czuwać aktywnie to „korzystać z chwili” (Ef 5, 16), żeby „czynić dobro wszystkim” (por. Ga 6, 10) – a choć decyzja i zaangażowanie należą tu do nas, to inspirację, zdolność i energię do działania daje Bóg (por. Flp 2, 13). Zatem aktywność w dobru, posłuszeństwo wobec Bożych natchnień są już efektem spotkań z Tym, który zawsze jest i w każdej chwili przychodzi na nowo (por. Ap 1, 4). Jeśli umiemy Go spotykać w tych dyskretnych przyjściach *incognito*, to ostateczne przyjście w chwale nie zastanie nas niegotowych.

Być człowiekiem

Ze znanej przypowieści o sądzie z Ewangelii Mateusza wynika, że postawa czuwania i przygoda spotkań z Przychodzącym są udziałem nie tylko chrześcijan: „Wtedy odrzekną Mu prawi, mówiąc: Panie, kiedy Cię widzieliśmy (...)? I odpowie im Król: Amen, mówię wam, co tylko zrobiliście jednemu z tych moich braci najmniejszych, zrobiliście to Mnie” (Mt 25, 37. 40). Dobre uczynki wykonane bez myśli o Chrystusie bywają spotkaniem z Nim, gdyż Syn Człowieczy współodczuwa z przybranym rodzeństwem (por. Rz 8, 29) – ale też (i nawet bardziej) dlatego, że empatię wobec potrzebujących inspirował Jego Duch.

To ważne – nie chodzi o traktowanie potrzebujących bliźnich jako reprezentacji Chrystusa (pretekst do usłużenia Jemu), lecz o wspólnotę z Chrystusem kochającym te osoby dla nich samych. Kto umie bezinteresownie współczuć, ten już „uwierzył miłości, jaką Bóg ma dla nas” (por. 1 J 4, 16), a więc spotkał Boskie Słowo w głębi serca, nawet jeśli nie rozpoznał Go w Nazarejczyku. Zgodnie z Pismem „każdy kochający z Boga się urodził i zna Boga” (1 J 4, 7) – jakkolwiek warto przedstawiać „anonimowym chrześcijanom” Ewangelię, „żeby ich radość była pełna” (por. J 15, 11). Drogą do Boga jest człowieczeństwo, którego pełnię znajdujemy w Chrystusie. Właśnie dlatego w autentycznym człowieczeństwie wypada się dopatrywać Chrystusowości.

© MAREK KITA

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś. † P.

Xawerego Konarskiego

wybitnego adwokata, Starszego Partnera i Współzałożyciela Kancelarii Traple, Konarski, Podrecki, niezwykle cenionego w Polsce i za granicą, osoby bardzo serdecznej, przyjacielskiej i zaangażowanej, która zainicjowała i zrealizowała wiele ważnych inicjatyw dla polskiej branży prawniczej oraz sektora nowych technologii.

Rodzinie śp. Xawerego Konarskiego oraz wszystkim Jego współpracownikom z Kancelarii Traple, Konarski, Podrecki składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

Żegnaj, Przyjacielu

Kancelaria Baran, Książek, Bigaj

eprasa.pl 7fab5216f4

Co może kardynał Ryś

ARTUR SPORNIAK

KSIĄŻKI | Jest bliskim współpracownikiem papieża. Jaki ma pomysł na Kościół, który się kruszy? Dowiemy się z sześciu rozmów z krakowskim metropolitą.

„Należę do pokolenia, które laicyzuje się w tempie ekspresowym” – pisze o sobie Karol Kleczka, redaktor „Znaku”, lat 38. Zastanawia się, dlaczego. Pyta rówieśników. W końcu uznaje: „Jestem zbiorem uwag i przypisów usłyszanych przez lata z ust moich przyjaciół, dla których Kościół katolicki był ważny, ale albo o nich zapomniał, albo wykluczył ze względu na poglądy czy orientację seksualną”. I wyposażony w taki pokoleniowy wgląd idzie do kard. Grzegorza Rysia.

W ten sposób powstała książka „Nie tracę nadziei”. Dowiemy się z niej, co o kryzysie Kościoła sądzi i jakie pomysły na jego zażegnanie ma najbardziej wpływowy w Watykanie polski hierarcha.

BLISKO PAPIEŻA | Kard. Grzegorz Ryś irytuje się, gdy tak się go określa. Faktem jednak jest, że od lat jest w bliskim kontakcie z Robertem Prevostem. Razem otrzymali od papieża Franciszka we wrześniu 2023 r. biret kardynalski – na zdjęciach z konsystorza widać, że siedzą koło siebie i rozmawiają. Nie jest to zaskakujące, bo Prevost był wtedy od kilku miesięcy prefektem Dykasterii ds. Biskupów, a Ryś od trzech lat jej członkiem. Już jako papież Amerykanin mianował Rysia członkiem watykańskiej Rady ds. Ekonomicznych – centralnego organu nadzoru finansowego i administracyjnego Stolicy Apostolskiej. Zatem metropolita krakowski (niedługo minie rok od objęcia przez niego tego urzędu) należy do ścisłego grona współpracowników papieskich. Jeśli nie ma go w pałacu arcybiskupów krakowskich, jest w Watykanie.

À propos pałacu, takie właśnie jest pierwsze pytanie, jakie Kleczka zadaje kard. Rysiowi: dlaczego biskup krakowski mieszka w pałacu? Biskup krakowski poprawia go: „Raczej w muzeum...” i mówi o tradycji, którą uznał za swoją.

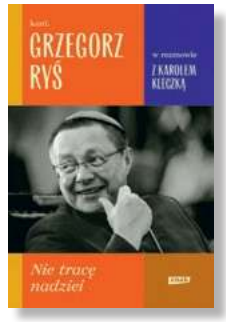

NIE TRACĘ NADZIEI. KARD. GRZEGORZ RYŚ W ROZMOWIE Z KAROLEM KLECZKĄ, *Wydawnictwo Znak, Kraków 2026.*

Ostatecznie „dom to nie ściany, lecz ludzie”. Problem w tym, że klerykalna instytucja, jaką jest Kościół w Polsce (i nie tylko u nas), ma coraz większy problem właśnie z kontaktem z ludźmi. „Potrzebuje przeżyć coś, co nazwano nawróceniem relacyjnym” – diagnozuje kard. Ryś. W jaki sposób to nawrócenie mogłoby się dokonywać?

BRATERSKIE WSPÓLNOTY | Wiedział o tym już twórca polskiego ruchu oazowego, na którego kard. Ryś kilkukrotnie się powołuje. Powinniśmy robić wszystko, „by w Kościele powstawały – jak mówił ksiądz Franciszek Blachnicki – braterskie wspólnoty wiernych”.

To jest sprawa dla kard. Rysia tak ważna, że formułuje ostrą tezę teologiczną: „Dokąd Kościół nie realizuje się w braterskiej wspólnocie, dotąd nie jest obecny w świecie. Generalnie jest tylko pewnym potencjałem, który może zaistnieć”. Można mieć świątynię, księdza, liturgię, modlących się ludzi, ale bez wspólnoty „Kościoła nie ma” – twierdzi metropolita.

Przede wszystkim parafie powinny być takimi wspólnotami. Co jeśli wierzący pragnie współtworzyć braterską wspólnotę, ale odbija się w parafii od ściany? Kardynał Ryś powtarza za papieżem Franciszkiem tezę, za którą pewnie będzie krytykowany: niech taka osoba szuka swojego miejsca gdzie indziej – trudno!

Pierwszy krok uzdrawiania Kościoła wydaje się prosty: duchowni powinni zacząć mniej mówić, a więcej słuchać. Krakowski metropolita ilustruje to anegdotą. „Kardynał Timothy Radcliffe mówił na synodzie, że jest takie stare angielskie przysłowie: »Pan Bóg dał człowiekowi dwoje uszu i jedną gębę«. My bardzo chętnie odwracamy te proporcje – i gadamy nawet nie dwa razy, tylko pewnie dziesięć razy więcej, niż słuchamy. I tu jest źródło wszystkich kłopotów”. Ta myśl jest dla metropolity krakowskiego tak ważna, że aż stała się mottem książki.

TRUDNE PYTANIA | Czy kard. Grzegorz Ryś sam słucha trudnych pytań, które Kleczka stawia w imieniu osób LGBT+ i tych żyjących w związkach niesakramentalnych?

To być może są najciekawsze fragmenty książki, bo strategia odpowiedzi nie jest oczywista. Na pierwszy rzut oka kard. Ryś zdaje się nawet bardziej ortodoksyjny od papieża. Franciszek przecież pod pewnymi warunkami i po długim rozeznawaniu dopuszczał możliwość komunii dla par niesakramentalnych. Metropolita krakowski mówi tymczasem o koniecznej abstynencji sakramentalnej. Ale gdy się uważnie wczytamy, znajdziemy też taką uwagę o pragnieniu komunii: „Nigdy nie wiadomo, czym się to pragnienie ostatecznie zakończy, na jaką drogę ich wyprowadzi”. Przyszłość jest zatem dla takich ludzi otwarta.

Podobnie dla metropolity współżycie homoseksualne jest moralnie złe, bo „nie jest małżeńskie”. Ale biskupi powinni jak najbardziej otaczać opieką wspólnoty osób LGBT+, a to już jest – jak na warunki polskie – stwierdzenie odważne.

CO MOŻE KARD. RYŚ? | W swojej diecezji jako jej rządca – wiele. Ale ponieważ przyjął długofalową strategię rozpoczynania od słuchania, rozmowy i przekonywania, znaczących zmian nie należy się szybko spodziewać.

Leon XIV go ceni i zapewne z uwagą słucha, więc na szczeblu papieskich biur kard. Ryś ma wpływy. Ale już na publicznym forum watykańskich instytucji – takich jak spotkania kardynałów czy synod – będzie się liczył z konserwatywną częścią lokalnego Kościoła, któremu przewodzi. Więc spektakularnych propozycji reform raczej od niego nie usłyszymy. ©℗

eprasa.pl 7fab5216f4

Pochówku nie można odmówić nikomu

KS. ALFRED MAREK WIERZBICKI, ETYK:

To prawo wynika z godności człowieka, która jest nienaruszalna i nieutracalna, nawet jeśli ktoś sam ją pogwałcił.

EDWARD AUGUSTYN: Prezydent Krakowa odmówił pogrzebu zamachowcowi. Proponował oddanie jego ciała dla nauki. Decyzja rodziny, by go pochować, mimo wcześniejszych oporów, rozwiązała problem. Prosta czynność, jak pochowanie zwłok, stała się nagle powodem przepychanek i dyskusji. Dlaczego?

KS. PROF. ALFRED MAREK WIERZBICKI: Z wielkim poruszeniem przyjąłem informację, że rodzina, prawdopodobnie babcia sprawcy, rozumie, jak ważne jest zakończenie tej sprawy. Jak Antygona, z powodu więzów rodzinnych, ale też z powodów czysto ludzkich. W tragedii Sofoklesa główna bohaterka chce pogrzebać ciało brata, ale przecież nie chodzi o to, byśmy idealizowali Polinejka.

On przecież sprzymierzył się z obcymi. Król miał społeczną czy polityczną rację, by odmówić pochówku. Antygona z kolei odwołuje się do racji serca: że zmarłego brata trzeba pochować. Wrażliwość i intuicja moralna każą pochować każdego człowieka, niezależnie od tego, kim był i niezależnie jak wielkich dopuścił się zbrodni.

Jakie racje mogły kierować prezydentem Krakowa?

Rozumiem, że nie chciał pochować go na terenie Krakowa. Też jestem zdania, że zamachowiec na to nie zasługuje. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego prezydent miałby arbitralnie stwierdzać, że temu człowiekowi pochówek w ogóle się nie należy. Nie można wbrew wielowiekowej tradycji odmawiać nikomu prawa do pochówku.

Czy zmarły zabójca ma jakieś prawa?

Oczywiście. Zwłaszcza w świetle wiary chrześcijańskiej. Zmarły nie przestaje istnieć. Choćby był największym przestępcą. Oczywiście w wymiarze moralnym, a także prawnym nie mamy wątpliwości co do oceny jego czynu. Gdyby przeżył, toczyłoby się postępowanie i spotkałaby go surowa, zasłużona kara, najprawdopodobniej dożywocie. A gdyby dożył naturalnej śmierci, miałby prawo do pochówku. To, że nie dożył kary, nie zmienia tego faktu. Jest na Sądzie Bożym, ale nie wyręczajmy Pana Boga.

Prawo do pochówku nie wynika jedynie z religii chrześcijańskiej. Uznają je także osoby niewierzące, ateiści, wyznawcy innych religii.

Tak. To prawo wynika z godności człowieka, która jest nienaruszalna i nieutracalna, nawet jeśli ktoś sam ją pogwałcił, dokonując, tak jak w tym przypadku, zabójstwa dziewięciu osób. Wszystkie nowoczesne prawodawstwa stwierdzają, że prawa człowieka wypływają z jego naturalnej godności. I tej naturalnej godności nikt nie może nikomu odebrać. Więc to nie jest tylko kwestia wiary, ale fundamentalnych praw ludzkich. Nawet jeśli ktoś zachował się w sposób niegodny człowieka. Z tego samego powodu nie możemy na nim dokonać samosądu.

Historia zna wiele przypadków linczów.

Tak. Ale w cywilizowanym świecie mamy wymiar prawa, który powinien studzić emocje.

Emocje ofiar, osób skrzywdzonych, ich rodzin jesteśmy w stanie zrozumieć. Nawet chęć zemsty. A czy my, jako społeczeństwo, też nie jesteśmy jego ofiarami? Może też mamy prawo do takich emocji?

Zgodzę się z tym, że ofiarami są nie tylko ci, którym zamachowiec odebrał życie czy ciężko ranił, a także ich bliscy, ale również społeczeństwo Krakowa czy nawet szerzej – Polski. Był to pierwszy tak drastyczny przypadek działania terrorystycznego w naszym kraju.

Więc oczywiście wszyscy jesteśmy ofiarami i z pewnego punktu widzenia dobrze, że jest taka ostra reakcja. Ona pokazuje wielką niezgodę na takie czyny. Ale jednak nie powinniśmy ulegać myśleniu „oko za oko, ząb za ząb". Odzywa się w nas coś strasznego i myślę, że gdyby przebadać metodami socjologicznymi, to okazałoby się, że być może duża część z nas, a może nawet większość, nie jest zdolna do przekroczenia emocji, bólu, zranienia, ale też wynikających z tego zranienia emocji zemsty i całkowitego unicestwienia tego człowieka, który dopuścił się zbrodni.

Nikt z nas nie ma prawa przekreślać tego, co wynika z ludzkiej godności sprawcy. Oczywiście byłoby patologią, gdybyśmy chcieli jakoś podkreślać godność tego człowieka. Jednak pochówku nie można mu odmówić. To jest to minimum, które jest mu należne z racji człowieczeństwa.

W różnych wierzeniach ludowych niepochowany zmarły zamieniał się w upiora. Czy odmowa pogrzebu przestępcy nie zemściłaby się na nas jako wspólnocie? Nie stałby się naszym upiorem?

Powiem przewrotnie, że jak się go pochowa, to on i tak będzie wracał jako upiór. Bo ciągle nie będzie nam dawać spokoju, że ktoś taki się pojawił w środku Polski. Kilka dni temu czytałem informację o trzech nastolatkach, z zupełnie różnych miejscowości, odległych od siebie, którzy planowali jakąś wspólną akcję terrorystyczną. To jest upiór tego człowieka, który dokonał tak strasznego czynu w Krakowie. Jeszcze długo będzie nam towarzyszył, niezależnie od tego, czy jego ciało spocznie w ziemi, czy też zostanie w jakiś sposób anihilowane.

Może chodzi właśnie o to – by jego grób nie stał się miejscem upamiętnienia? Ciała zbrodniarzy osądzonych w Norymberdze spalono, a prochy rozrzucono, zwłoki Bin Ladena wyrzucono do morza, Timothy McVeigh, skrajnie prawicowy terrorysta z Oklahoma City, który zamordował 168 osób, a setki ranił,

eprasa.pl 7fab5216f4



RAFAŁ MICHAŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Puste kwatery kolumbarium na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie.

też nie ma grobu – jego prochy rozsypano w nieznanym miejscu.

Rozumiem, że w takich sytuacjach może chodzić o uniemożliwienie społecznie szkodliwego kultu. Z tego, co wiemy o tym mordercy, on też nawiązywał do Andersa Breivika, terrorysty z Norwegii, ta postać była mu bliska. Ale naśladowcy zamachowca z Krakowa mogą się znaleźć niezależnie od tego, czy on zostanie pochowany i czy będzie gdzieś jego grób. A może właśnie pozbawienie go pochówku przyczyniłoby się do powstania jego legendy?

Ale tak, myślę, że społeczeństwo ma prawo domagać się wymazania go z naszej pamięci. Dlatego wyobrażam sobie, że mógłby zostać pochowany bez rozgłosu, anonimowo, bez żadnej tabliczki, w nieznanym publicznie miejscu, by nie sprawiać wrażenia, że to jest jakieś miejsce upamiętnienia.

A czy jest etyczne oddanie ciała zmarłego na cele naukowe bez jego wcześniejszej zgody?

Tu dotykamy kolejnego problemu, który zaczął w naszych głowach świtać od czasów Immanuela Kanta, który wprowadził do naszej kultury zasadę autonomii. Dziś przecież cała etyka lekarska opiera się na zasadzie autonomii pacjenta jako człowieka. Tu mamy do czynienia już nie z pacjentem, tylko jego ciałem, do którego jednak w naszej kulturze przynależy szacunek. Nikt nie powinien na drodze decyzji administracyjnej decydować o losach ludzkiego ciała. Co innego, gdy człowiek sam je oddaje na cele naukowe.

Polskie przepisy to umożliwiają. Obowiązuje prawo z 1959 r., które pozwala przekazywać na cele naukowe ciała osób samotnych czy bezdomnych. Choć w praktyce zakłady anatomii korzystają jedynie z ciał oddanych im dobrowolnie.

Nie jestem prawnikiem, ale sądzę, że ostatnia sytuacja powinna skłaniać nas do przemyślenia prawodawstwa w tym zakresie. Że nawet ciała ludzi bezdomnych, ludzi, po których się nie zgłasza żadna rodzina, powinny zostać pochowane, bo każdy człowiek zasługuje na pochówek.

Każda norma prawna zakłada jakąś aksjologię. O niej rozmawiamy od początku: to niezbywalna godność każdego człowieka. Więc myślę, że prawodawcy powinni przemyśleć takie rozwiązania prawne, które odpowiadałyby tej aksjologii. Oczywiście prawa nie tworzy się tylko dla jednego przypadku czy pod wpływem emocji, ale ta sytuacja, która miała miejsce w Krakowie, moim zdaniem powinna nas skłonić do szerszej refleksji. Każdy ma prawo do pochówku. Chyba że sam inaczej zadeklaruje.

W przypadku przekazania ciała uczelni medycznej też odbędzie się pochówek, tyle że odroczony, po kilku latach.

Nie wiem. Może właśnie o takie odroczenie w tym wypadku chodziło? Bo w tej chwili są zbyt mocne emocje.

Czy Kościół może odmówić w takim wypadku katolickiego pogrzebu? Był czas, że odmawiał go samobójcom. Kanon 1184 pozwala pozbawić religijnej ceremonii jawnych grzeszników i publicznych gorszycieli. Zdarza się, że katolickiego pogrzebu odmawia się masonom czy politykom, którzy publicznie pochwalają aborcję.

Kościół odszedł od zasady, by odmawiać pogrzebu samobójcom, bo dziś wiemy dużo więcej na temat ludzkiej psychiki i powodów, dla których człowiek może targnąć się na swoje życie. Wiemy też, że z powodów zaburzeń psychicznych ktoś może stać się zabójcą. W przypadku zabójcy z Krakowa wciąż nie znamy motywów ani powodów, jakimi się kierował. Uważam jednak, że jego pogrzeb nie powinien mieć formy publicznego nabożeństwa. Skromna ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ msza dla rodziny, pokropienie trumny. To wszystko.

Kilka dni temu w Krakowie pojawiło się ogłoszenie o mszy za „świętej pamięci" zamachowca i jego rodzinę. Odprawiona została w Bazylice Mariackiej. Księdza to nie oburza?

Tak, oburza. Ponieważ, po pierwsze, najpierw powinniśmy się modlić za jego ofiary. Zwłaszcza tak blisko miejsca zbrodni.

Nie powinniśmy się modlić za grzesznika?

Teraz jest czas modlitwy za ofiary. I za Polskę, za nasze oczyszczenie moralne. Za grzesznika i przestępcę też możemy się modlić, tylko ta modlitwa nie powinna być, że tak powiem, wyseparowana, wyizolowana z kontekstu. Wyobrażam sobie, że podczas mszy za ofiary może paść wezwanie o miłosierdzie Boże za sprawcę. Ale msza, w której modlimy się za niego jak za zwykłego zmarłego... tego sobie nie wyobrażam.

Owszem, modlitwa za niego jest potrzebna, odpowiada chrześcijańskiej praktyce miłosierdzia, by modlić się za tych, którzy są już na Sądzie Bożym. Ale to nie od razu musi być msza. Każda nasza modlitwa dochodzi do Boga.

Tu podobnie jak z pochówkiem. Bardziej służy cisza i brak jakichkolwiek manifestacji. Tak modlitewnej, jak i tej polegającej na odmowie pogrzebu.

Wiemy, że księża mają prawo udzielić rozgrzeszenia warunkowo, bez spowiedzi, „w niebezpieczeństwie śmierci". Czy szpitalny kapelan mógł rozgrzeszyć leżącego tam mordercę?

Nie ma żadnych informacji, by tak się stało. Ale wyobrażam sobie, że można nie udzielić rozgrzeszenia *in articulo mortis*, jeśli ma się wiedzę, co ten człowiek zrobił. Bo przecież on sam raczej nie mógł prosić o rozgrzeszenie czy wyrazić skruchy. Ale nawet gdyby tak się stało, nie jest to żadnym powodem do zmiany zdania o nim. Zbrodnia jest zbrodnią.

Abstrahując od tej konkretnej sprawy, przypadki rozgrzeszenia zbrodniarzy się zdarzały. Choćby Rudolfa Hössa, komendanta obozu Auschwitz-Birkenau. Do dziś wiele osób nie jest w stanie tego zrozumieć. Czy takie zbrodnie można wybaczyć?

To też nie jest takie proste. Ten ksiądz, który go spowiadał, znał stan duszy penitenta i mógł go rozgrzeszyć, ale uważam, że powinno temu towarzyszyć absolutne milczenie. Nie ma potrzeby informowania o tym świata. W przypadku Hössa mój opór budzi to, że wykorzystywano jego spowiedź jako argument apologetyczny – że oto nawet największy zbrodniarz może się nawrócić.



JAN GRACZYNSKI / EAST NEWS

KS. ALFRED MAREK WIERZBICKI:

W przypadku Hössa mój opór budzi to, że wykorzystywano jego spowiedź jako argument apologetyczny – że oto nawet największy zbrodniarz może się nawrócić.

Czyli można popełnić nawet straszną zbrodnię, potem się wyspowiadać i już wszystko jest przed Panem Bogiem załatwione?

Nawet jeśli Rudolf Höss żałował tego, co zrobił, jak wynika z różnych opowieści, to jego zbrodnie pozostają zbrodniami. A osąd Boży jest nam nieznany. Spowiedź to sakrament pojednania. Nie powinniśmy go traktować magicznie jako sposobu na wybielenie się, wymazanie win. Powinniśmy się modlić o Boże miłosierdzie dla każdego grzesznika. Wierzymy, że każdy może się nawrócić. Tyle że ogrom zła, które ktoś wyrządził, wcale nie zostaje z tego powodu pomniejszony.

Czy to Boże miłosierdzie i przebaczenie ma być także wzorem dla nas? Czy też powinniśmy przebaczyć oprawcom? Czy można wymagać tego od nas, a jeszcze bardziej od rodzin ofiar?

Od nikogo nie można wymagać, bo to by oznaczało narzucanie komuś przebaczenia. Natomiast należy wierzyć, że prędzej czy później do tego przebaczenia dojrzejemy. To zresztą jest wpisane w naszą najważniejszą modlitwę: „Odpuść nam nasze winy, jako i my przebaczamy naszym winowajcom". Stworzenie z przebaczenia normy prawnej przekreślałoby duchowość człowieka.

Do przebaczenia dojrzewamy. Trauma nie pozwala nam przebaczyć już teraz. To kwestia czasu. Tak w wymiarze osobistym, jak i społecznym czy międzynarodowym. Pamiętamy, jak biskupi polscy otworzyli nową kartę w dziejach polsko-niemieckich słynnymi słowami: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Co wywołało wielką burzę.

To chyba nie jest dobry przykład. Trudno sobie wyobrazić, że ktokolwiek miałby prosić terrorystę z Krakowa o wybaczenie.

To prawda. Ale może są gdzieś ludzie, którzy go skrzywdzili. Nie wiemy, jakiego zła on sam doświadczył.

Nie za wcześnie na takie myślenie?

Ale nie o to chodzi, by prosić go o wybaczenie. Bardziej o to, że dojrzała duchowość, nie ignorując ogromu zła, chce jakoś z tym złem skończyć, przerwać je. O to chodzi w przebaczeniu.

Czy my rzeczywiście nie poświęcamy zbyt dużo uwagi mordercy? Przedłużająca się dyskusja o pogrzebie też się do tego przyczyniła.

Myślę, że to też jest niezamierzony efekt decyzji pana prezydenta. Który jeszcze pogłębił nasz ból po tym, co się wydarzyło.

Pogrzeb mógł się odbyć szybciej i po cichu. Bez niepotrzebnej debaty.

Są debaty, których można byłoby uniknąć, ale gdy się już wydarzyły, to nie należy ich uciszać. Bo może czemuś się przysłużą. Choćby refleksji, że ktoś, kto naruszył wartość ludzkiego życia, sam nie traci ani wartości, ani ludzkiej godności.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

eprasa.pl 7fab5216f4

O. WACŁAW

Oszajca:
Gdy sumienie doskwiera



W nieustannie bombardowanym Zaporożu, pozbawionym żywności, albertyni z wolontariuszami co tydzień, w piecu dostarczonym przez papieskiego jałmużnika, wypiekają i rozdają chleb dziesięciu tysiącom osób. Z tej papieskiej piekarni korzystają także ewangelicy, przez co ekumeniczne deklaracje stają się ciałem. Czyli według staropolskiego słownika stają się czymś konkretnym, namacalnym. A tak na marginesie: dawniej łaska to „łaskawość, miłość, przychylność", a miłość to „łaska, miłosierdzie, litość". Wracając do albertyńskiego chleba, można rzec, że jest on namacalną konkretyzacją kościelnych deklaracji o miłości. Co więcej, przede wszystkim ten chleb potwierdza wiarę w realną obecność Jezusa w Eucharystii, czyli wśród tych, którzy na Jego zaproszenie gromadzą się przy Jego stole po to, by wypełnić „prawo Chrystusa": „Jedni drugim noście brzemiona". Wtedy Kościół staje się tym, czym być powinien – wspólnotą wspólnie dźwigającą swoją dolę i niedolę.

W grudniu mija czterdzieści pięć lat od strajków akademickich. Pamiętam, jak na jednym ze spotkań w Politechnice Lubelskiej były żołnierz Armii Krajowej mówił studentom, że wbrew pozorom jego pokolenie w porównaniu z nimi żyło w lepszych czasach. Granice między dobrem, a złem były przeraźliwie wyraźne. Natomiast wy – mówił – takiego komfortu moralnego mieć już nie będziecie. Sami we własnym sumieniu będziecie musieli rozstrzygać, z kim trzymać, a kogo zwalczać. Dzisiaj po tragedii w Krakowie, gdy czytam komentarze, te słowa kombatanta wróciły do mnie w sposób przerażająco jasny.

A przecież podobnie mówili Leszek Kołakowski, Wisława Szymborska i wielu innych artystów, naukowców i kaznodziejów. Kołakowski: „Nieumiejętność czynienia odróżnienia (dobra od zła) byłaby dla ludzkości samobójstwem". Szymborska: „Nic bardziej zwierzęcego / niż czyste sumienie / na trzeciej planecie od słońca". Izajasz: „Żadne oko nie widziało Boga, jak tylko Ciebie, gdy wspierasz tych, którzy Tobie ufają. Ujmujesz się za tymi, którzy z radością czynią sprawiedliwość, którzy postępują zgodnie z Twoją wolą". Te słowa Pisma spełniają się tam, gdzie są ludzie, którzy „ujmują się za tymi", których inni chcą unicestwić i na tym jeszcze zarobić. I chodzi nie tylko o polityków. Mamy przecież nasze powszednie wojenki wyniszczające sumienia... ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Muszę się zatrzymać



Kluczowe zdanie Dobrej Nowiny o spotkaniu Jezusa z Zacheuszem (Liturgia skonfrontowała nas z nim niedawno): „Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu" (Łk 19, 5). Dwa słowa z tego zdania wymagają podkreślenia. Pierwsze z nich to słowo „muszę". Istotne jest uchwycić naturę tego przymusu: w greckim tekście mamy tutaj słowo *dei*, które św. Hieronim oddaje w Wulgacie zwrotem *oportet*. Jedno i drugie oznacza tyle co: „konieczne jest", „potrzeba, [abym]..."; innymi słowy: „odczytuję w sobie taką powinność" (od greckiego *dei* bierze się nazwa „deontologia", czyli nauka o powinnościach moralnych). Jezus przeżywa wewnętrzny przymus spotkania się z Zacheuszem – nie potrafi go ominąć i z nim się nie spotkać. Po to właśnie przyszedł do Jerycha: „Syn Człowieczy przyszedł odszukać i zbawić to, co zginęło" (w. 10). Na początku perykopy może się nam wydawać, że to Zacheusz szuka Jezusa. Nie dajmy się jednak zwieść: jego ambicją jest jedynie Go zobaczyć. Jest w nim niewątpliwie ciekawość, ale czy chęć spotkania? Może myśli, że po prostu na nie nie zasługuje? Za tym zdaje się przemawiać jego reakcja na przytoczone wyżej słowa Pana: „zszedł z pośpiechem... rozradowany".

Niemniej, propozycja spotkania wyszła od Jezusa. To dla Jezusa, nie dla Zacheusza, to spotkanie stanowiło wewnętrzną potrzebę. I w tym miejscu pojawia się drugie ważne słowo: „zatrzymać się". W greckim tekście mamy tutaj słowo *méno*, które znaczy przede wszystkim „trwać", „zostać", „zamieszkać", „pozostać" (Wulgata oddaje to bardzo dokładnie łacińskim słowem *manere*). Zatem to nie jest tak, że Jezus chce wstąpić do Zacheusza na chwilkę – „wpaść" na łyk wody w drodze do Jerozolimy: odsapnie minutkę i pójdzie dalej. O nie! To prawda, że pójdzie dalej – ma przed sobą już tylko ostatni kawałek podjętej przed miesiącami drogi do Świętego Miasta... Ale paradoksalnie, mając za chwilę ruszyć dalej, jednocześnie chce pozostać z Zacheuszem w jego domu na zawsze. Chce w nim zamieszkać; zostać domownikiem; proponuje mu relację trwałą, niezniszczalną, w żadnym przypadku nie zredukowaną do „epizodu spod sykomory".

Właśnie takie spotkanie Go obchodzi. Takiego pragnie i oczekuje ze strony „księcia celników". Żadne inne Go nie zaspokoi. Zacheusza, tak naprawdę – również. I nas także! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 7fab5216f4



NASI PRAPRADZIADKOWIE

Muzeum Frontu Wschodniego I Wojny Światowej powstanie w Gorlicach. Wiosną 1915 r. rozegrała się tam bitwa, która przesądziła o losach ziem polskich. Brali w niej udział nasi bliscy.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

W niedzielę, 2 maja 1915 roku, dzień wstawał ciepły i słoneczny. Poranek powitał Trommelfeuer: huraganowy ogień artylerii z dział zgromadzonych liczniej niż kiedykolwiek wcześniej na galicyjskim froncie. Przez cztery godziny kruszyły pozycje armii carskiej.

Tak zaczynała się bitwa, która odsunęła front wschodni Wielkiej Wojny (jak ją zwano sto lat temu). I zapisała się w podręcznikach jako bitwa gorlicka lub operacja gorlicko-tarnowska. Choć swoim zasięgiem objęła nie tylko Gorlice: tego dnia na szerokim froncie – od Magury Małastowskiej w Beskidzie Niskim na południu, przez Gorlice, Łużną, doliny Białej i Dunajca, aż po ujście tej drugiej rzeki do Wisły – uderzyły jednostki austro-węgierskie i przysłane do wsparcia siły niemieckie (w tym elitarny Korpus Gwardii pruskiej).

WIELKA OFENSYWA | Centralną rolę w przełamaniu rosyjskiej obrony miała odegrać niemiecka 11. Armia gen. Augusta von Mackensena (do jej składu włączono też korpus austro-węgierski). Gdy mowa dziś

eprasa.pl 7fab5216f4



ZBIORY KRZYSZTOFA PIĘCIAKA

Austro-węgierska piechota naciera na folwark Dyament koło wsi Otfinów nad Dunajcem, na północnym skrzydle operacji gorlicko-tarnowskiej. 2 maja 1915 r.

o tej bitwie, udział wojsk niemieckich jest eksponowany najczęściej: one zajęły Gorlice oraz wzgórza nad Staszkówką i doliną Sękówki (szturmował je m.in. poznański 58. Pułk Piechoty). Jednak patrząc na cały ten odcinek frontu, większość stanowiły siły austro-węgierskie.

Choć carscy żołnierze stawili w wielu miejscach twardy opór, atakujący przełamali front. W ciągu kilku dni zajęli Tarnów i Jasło, aby w kolejnych przeć na wschód, spychając wroga. Do końca czerwca odbito (polska prasa w Galicji pisała: wyzwolono) obszar wcześniej utracony, w tym Przemyśl i Lwów.

Ale na tym nie kończyły się strategiczne skutki tej operacji. W kolejnych miesiącach ofensywa Austro-Węgier i Niemiec odrzuciła armię rosyjską o setki kilometrów na wschód. Sprzymierzeni (jak wtedy mówiono o obu państwach) zajęli teren dzisiejszej Polski i dotarli na obecną zachodnią Ukrainę. Front I wojny światowej już nigdy nie wrócił w okolice Gorlic.

Niewiele bitew tamtej Wielkiej Wojny przyczyniło się do tak wyraźnej zmiany na mapie, jak zmagania pod Gorlicami i Tarnowem. Półtora roku później na odbitych ziemiach zaboru rosyjskiego odtworzono Królestwo Polskie (pod egidą Berlina i Wiednia) – etap na drodze do niepodległości w 1918 roku.

POLSKA OPOWIEŚĆ | Powstanie nowego muzeum ogłosiła 11 listopada Marta Cienkowska, ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Ma być pierwszą w Europie Środkowo-Wschodniej nowoczesną instytucją w pełni poświęconą dziejom wschodniego frontu I wojny. To spełnienie pragnień wielu ludzi: głosy, by w Gorlicach utworzyć placówkę poświęconą tylko I wojnie światowej (lub jedynie operacji gorlicko-tarnowskiej), pojawiały się od lat – wśród historyków-regionalistów, samorządowców i pasjonatów historii.

„Miejsce, które opowie nie tylko o wielkich bitwach i militarnych strategiach, ale przede wszystkim o ludziach. O polskich losach, o tragedii wojny i o wydarzeniach, które otworzyły nam drogę do niepodległości" – słyszymy w filmie, który towarzyszył tej decyzji.

W opisie filmu czytamy też: „11 listopada to początek odrodzenia Niepodległej Polski. Jednak droga do wolności była długa i naznaczona cierpieniem tysięcy rodaków – także tych wcielonych przymusowo do armii zaborców w latach 1914-1918".

W istocie, muzeum w Gorlicach będzie ważnym głosem w polskiej opowieści o I wojnie światowej, zdominowanej nadal przez Piłsudskiego i Legiony.

PAMIĘĆ PRZYWRACANA | Wolno jednak postawić tezę, że jego powstanie nie tyle otwiera tę opowieść – o losach Polaków podczas Wielkiej Wojny – lecz wynosi ją, już istniejącą, na należny jej poziom państwowy, ogólnopolski. Rozwija się ona bowiem już od wielu lat – przywracana na wielu poziomach: regionalnym, środowiskowym, samorządowym (tu np. pod postacią odnawianych cmentarzy wojennych), a także prywatnym, w rodzinach. ↦

eprasa.pl 7fab5216f4



ZBIORY KRZYSZTOFA PIĘCIAKA

Transport rannych żołnierzy niemieckich i austro-węgierskich. Okolice Gorlic, maj 1915 r.

↦ Również o Polakach, którzy wzięli w niej udział, wiadomo dziś coraz więcej: ich losy są tematem badań historyków, są konferencje naukowe, ukazują się książki. Tyle że zwykle w niewielkich wydawnictwach, specjalizujących się w tematyce militarnej.

Jednym z tych, którzy studiują temat I wojny na froncie wschodnim, a zwłaszcza walk zimą 1914/15 i wiosną 1915 r. w Galicji, jest Tomasz Woźny. Wiosną tego roku ukazała się jego książka „Austro-węgierska 4. Armia w bitwie pod Gorlicami" (Wydawnictwo Tetragon) – to efekt wieloletnich badań prowadzonych w terenie, w małopolskich wsiach i miasteczkach, a także w archiwach Wiednia, Freiburga, Pragi i Budapesztu.

OCZAMI BADACZA | – Perspektywa powstania muzeum niezwykle cieszy, gdyż ta część naszej historii wciąż jest mało znana – ocenia Tomasz Woźny w rozmowie z „Tygodnikiem". – A przecież pod Gorlicami, Tarnowem czy Przemyślem nigdy wcześniej ani później nie miały miejsca tak intensywne działania wojenne jak wtedy.

Tomasz Woźny uważa, że muzeum stanie wobec wielu wyzwań: – Przedstawienie całokształtu działań na wschodnim froncie byłoby zadaniem niezwykle ambitnym. Tym bardziej że tylko nieliczne wydarzenia, takie jak bitwa pod Gorlicami, są przebadane dość dobrze. Co nie znaczy, że wyczerpująco.

Naturalne byłoby skupienie się na temacie Gorlic. – Ale przecież trudno pokazać tamtą wojnę bez wspomnienia o Łodzi, Limanowej, Mazurach, Przemyślu i Karpatach, aby wymienić istotne miejsca walk tylko z pierwszego roku tego konfliktu – uważa historyk.

– Zapewne twórcy muzeum postarają się znaleźć równowagę między przedstawieniem wielkich operacji a opowieścią o wojnie widzianej oczami pojedynczych ludzi, żołnierzy i cywilów – zastanawia się Woźny. – Dziś historia społeczna przyciąga coraz większą uwagę, jednak byłoby szkoda, gdyby przyćmiła całkowicie historię militarną.

– Wszystko w rękach twórców projektu, za którego powodzenie mocno trzymam kciuki – dodaje Tomasz Woźny. – Mam też nadzieję, że muzeum stanie się również ośrodkiem badawczym, wspierającym działalność nie tylko edukacyjną, ale również naukową.

NOWE USTALENIA | Badania Woźnego pokazują, że choć minęło 111 lat, wciąż można powiedzieć tu coś nowego. Np. w narracji o tej bitwie długo dominowała teza o kluczowym znaczeniu sił niemieckich i Gorlic jako „rygla" ofensywy. Wśród historyków, którzy ją podważyli, był też Woźny: kiedyś autor artykułów odkrywających walki austro-węgierskiego X Korpusu w Beskidzie Niskim, a teraz wspomnianej monografii 4. Armii (to pierwsze w ogóle takie opracowanie). Walczyła ona na północnym skrzydle ofensywy. Woźny wykazuje, że bez jej ofiarnego udziału tak wielki sukces nie byłby możliwy.

Z kolei w wydanej w 2024 r. „Nieznanej bitwie pod Krakowem" jej autor Adam Zakrzewski opisuje obszernie walki w listopadzie 1914 r. pod Krakowem. Pojawiają się też publikacje o dziejach poszczególnych miejscowości (np. powiatu żywieckiego i jego mieszkańców) czy wsi, które znalazły się na linii frontu. Po tematykę frontu wschodniego sięgają też częściej autorzy zachodnioeuropejscy – to np. wydany właśnie u nas przekład pracy „Wschodni front. Historia pierwszej wojny światowej" Nicka Lloyda.

Badania ułatwia dziś digitalizacja: archiwów polskich i zagranicznych, książek (np. monografii jednostek, wydawanych w okresie międzywojennym w Austrii), a także list strat (wśród setek tysięcy nazwisk poległych, rannych i wziętych do niewoli, figurujących na tych *Verlustlisten*, możemy szukać naszych bliskich). Wydarzenia sprzed 111 lat przybliżają też rekonstrukcje historyczne – jak ta organizowana na początku maja w Sękowej koło Gorlic.

GROBY W BESKIDACH | W tle filmu, który towarzyszył decyzji ministerstwa, przewijają się kadry z historycznych miejsc. Widzimy cmentarze wojenne: w Gorlicach i na wzgórzu Pustki w Łużnej (na północ od Gorlic).

Pustki to cmentarz ogromny: zajmuje stok wzgórza. Wznoszą się na nim rzędy krzyży, niczym żołnierskie tyraliery. Projekt Polaka, architekta Jana Szczepkowskiego, zwieńczony jest na szczycie kaplicą zaprojektowaną przez Słowaka Dušana Jurkoviča. Spora część z 1200 pochowanych tutaj żołnierzy (w 829 grobach indywidualnych i 46 masowych) to Polacy z 12. Dywizji Piechoty. W marcu 1915 r. próbowała odbić Gorlice (wtedy bez skutku), a 2 maja zdobyła szturmem silnie umocnione wzgórze Pustki.

Kolejny kadr: cmentarz na górze Rotunda w Beskidzie Niskim i jego „znak firmowy", pięć drewnianych wież. To bodaj najbardziej spektakularny projekt Jurkoviča: wieże górują nad Rotundą, którą w marcu 1915 r. próbowali zdobyć piechurzy z Salzburga, Tyrolu i Vorarlbergu.

Galicyjskie cmentarze – w PRL-u niszczejące, obecnie w większości odnowione, a czasem wręcz odbudowane z ruin, w oparciu o dokumentację z epoki – przyciągają dziś nie tylko pasjonatów historii, ale także licznych turystów. Wiele z nich to dzieła sztuki: w latach 1916-18, mimo trwającej wojny, tworzyli je profesjonalni artyści. Miały być nie tylko pomnikiem zwycięstwa Państw Centralnych, ale też

eprasa.pl 7fab5216f4





WOJCIECH PIĘCIAK x2

Cmentarz wojenny na szczycie góry Rotunda w Beskidzie Niskim. Z lewej ruiny drewnianych wież, stan z roku 2006. Z prawej: już po odbudowie, rok 2025.

wyrazem szacunku dla poległych z różnych armii i różnych narodowości. Chowano ich zwykle wspólnie, z równymi honorami.

ŚLADY W TERENIE | Władze austriackie zbudowały kilkaset takich cmentarzy, od Krakowa do linii Wisłoka. Na dalsze prace w tej skali, np. w Bieszczadach, zabrakło czasu i pieniędzy. Wiele z nich z czasem znikło więc w terenie. Informacje o nich przetrwały głównie w archiwach: w Krakowie, Wiedniu, Lwowie. Tam sięgają pasjonaci, szukający ich śladów. Z sukcesami, by przywołać cmentarz w Baligrodzie, niedawno odnaleziony.

Są też inne pozostałości tamtej wojny. Na terenach uprawnych okopy zasypywano, wsie wracały do życia, ale w lasach, wzdłuż górskich grzbietów, wciąż można znaleźć ich ślady. Czasem przeplatają się z tropami kolejnej wojny: pozycjami budowanymi w 1939 r. (np. w Gładyszowie, gdzie Wojsko Polskie wykorzystało okopy z 1915 r., przygotowując się do obrony południowej granicy) czy śladami walk Wehrmachtu z Armią Czerwoną w 1944 r.

W terenie są też ślady dramatu ludności cywilnej. W dawnych łemkowskich wsiach stoją kapliczki z inskrypcją *Żertwam Talerhofa*: ofiarom obozu internowania w Thalerhof koło Grazu, do którego w 1914 r., w atmosferze strachu przed szpiegami, austro-węgierskie władze zsyłały podejrzanych o prorosyjskie sympatie Łemków i Bojków (wielu tam zmarło, głównie podczas epidemii tyfusu).

Przyszłe muzeum w Gorlicach może stać się więc także punktem wyjścia dla licznych – i atrakcyjnych także turystycznie – wycieczek „w teren", w pobliski Beskid Niski.

FAKTY I LEGENDY | Operacja gorlicko-tarnowska ma swoje mity i kontrowersje, o których powstające muzeum mogłoby opowiedzieć. Jedną z nich jest rola, jaką odegrał gen. Tadeusz Rozwadowski – wówczas austro-węgierski oficer, a w latach 1918-20 jeden z najważniejszych generałów Wojska Polskiego i szef sztabu podczas bitwy warszawskiej.

We wspomnieniach, wydanych w międzywojniu, przypisał on sobie kluczową rolę w planowaniu działań artylerii w szturmie Pustek, w tym wynalezienie nowej jej taktyki, która przyczyniła się do sukcesu. Przywołują je zwolennicy generała, jako dowód jego zdolności – w odwiecznym sporze z apologetami Piłsudskiego o autorstwo zwycięstwa w 1920 r.

W istocie – jak ustalił historyk wojskowości Sławomir Kułacz, analizując źródła austro-węgierskie – w kluczowym okresie był on biernym obserwatorem wydarzeń. Pozostawał przy dowództwie 12. Dywizji jako tzw. oficer nadliczbowy, bez stanowiska. Rozwadowski odegrał natomiast faktycznie istotną (i zapomnianą) rolę kilka miesięcy wcześniej: w marcu 1915 r., gdy pod Gorlicami sprawnie dowodził zgrupowaniem artylerii.

Marcowe walki 1915 r. to jeden z wątków czekających wciąż na opowiedzenie. „Dni grozy w Gorlicach" (tak zatytułował wspomnienia burmistrz, ks. Bronisław Świeykowski) to dla mieszkańców 126 dni ostrzału, strachu, głodu i chorób. W tych bojach, poprzedzających majową ofensywę, krwawiła właśnie 12. Dywizja; większość jej żołnierzy była Polakami.

NASI PRZODKOWIE | Wysoki, o „austriackich" wąsach, zawiniętych fantazyjnie do góry. Nie zachowało się żadne zdjęcie mojego prapradziadka Stanisława, rocznik 1882, żołnierza 17. Pułku Piechoty Landwehry. Takim natomiast zapamiętał go jego wnuk Zdzisław, mój dziadek.

Gdy miał dobry humor, prapradziadek miał zapalać fajkę i snuć opowieści. Konkrety się rozmywały, żywe były emocje. Przeżyciem, do którego wracał, było bratanie się z wrogiem: jak to w święta żołnierze przerywali ogień i wychodzili do siebie z okopów. Wnuk, dziś 92-letni, nie zapamiętał za to żadnej opowieści z kilku lat pobytu Stanisława w niewoli. Trafił do niej w 1916 r. (sądząc po zapisie z *Verlustliste*) i został wywieziony aż do obecnego Turkmenistanu. Po 1918 r. wrócił do rodziny, do wsi Baryczka koło Strzyżowa.

Historia, jakich wtedy było wiele. Do armii austro-węgierskiej zmobilizowano w latach 1914-18 prawie 700 tys. Polaków, z których ok. 10 proc. zginęło (wielokrotnie więcej niż w Legionach). Zaś kilka razy tyle odniosło rany, często oznaczające kalectwo.

Muzeum w Gorlicach może pokazać także to polskie doświadczenie: pokoleń skrwawionych w obcych mundurach.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor pracuje w Oddziale IPN w Krakowie. Spod jego pióra wyszły prace o historii wojskowości w XX w. i polskiego podziemia. Wraz ze Sławomirem Kułaczem przygotowuje obecnie książkę o Polakach w wojskach górskich austro-węgierskiej Obrony Krajowej.

eprasa.pl 7fab5216f4

Dobry i zły szeląg

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Po co nam numizmaty w świecie blików i kart płatniczych?

JOANNA CZARNOWSKA-PFEIFER: Monety, banknoty i medale są ważnymi świadkami epoki, w której powstały. W tej „pigułce" mieści się spora liczba informacji, choć nie mówimy tu o oficjalnych dokumentach, do których miały dostęp tylko najważniejsze osoby w państwie. Przewagą numizmatów jest właśnie to, że są przedmiotami codziennego użytku, trafiającymi do wszystkich warstw społecznych.



Czyli coś reprezentują, ale też muszą być czytelne?

Tak. Propagandowe, podkreślające pewną wartość emitenta, czyli władzy, ale jednocześnie zrozumiałe, egalitarne. W epoce nowożytnej na monecie pojawia się bardziej majestatyczny wizerunek władcy, i nie jest to przypadkowy portret: jest zatwierdzany politycznie. W przypadku nowożytnej mennicy w Malborku najbardziej płodnym okresem były emisje Zygmunta III Wazy. W zależności od nominału widać, jak ranga tego władcy rośnie. Moneta jest więc przedmiotem głęboko zakorzenionym w swojej epoce, a jednocześnie przedmiotem użytku codziennego.



Malborski Gabinet Numizmatyczny to nie tylko tytuł nowej stałej wystawy Muzeum Zamkowego. To także nazwa kolekcji, którą gromadzicie i opisujecie od lat.

Początki naszego gabinetu numizmatycznego były skomplikowane. To, co pokazujemy, to druga, powojenna edycja gabinetu – bo malborska tradycja numizmatyczna sięga XIX wieku, kiedy Towarzystwo Odbudowy i Upiększania Zamku Malborskiego otrzymało w darze od berlińskiego kolekcjonera 5 tysięcy monet, z czego większość stanowiły monety krzyżackie. Darczyńca, Karl Adam Max Jacquet, jeszcze dwukrotnie przekazywał do zamku swoje zbiory, i to dzięki niemu powstał tu jeden z najważniejszych numizmatycznych ośrodków badawczych. Skatalogowano w sumie prawie 11 tysięcy obiektów, powstało naukowe zaplecze, by to badać. Ta historia skończyłaby się dobrze, gdyby nie Sowieci.



Dlaczego?

Pod koniec II wojny światowej wydano decyzję, by zabezpieczyć ten zbiór i wywieźć go do Gdańska. Zdeponowano go w siermiężnym sejfie w budynku Kasy Oszczędności. Po zakończeniu działań wojennych, jeszcze w 1945 r., pojawiły się grupy urzędników, które przeczesywały tereny na Pomorzu pod kątem tak zwanego zdobycznego. Sowieci byli w tym świetni: na potęgę kradli dzieła sztuki, wiedzieli, jaka to jest wartość. Niestety natrafili też na sejf, który przetrwał działania wojenne, inaczej niż sam budynek. Przez kilka dni mocowali się z zabezpieczeniami i ostatecznie wywieźli z Gdańska malborskie numizmaty i inne przedmioty, w sumie ponad 14 tysięcy obiektów. Zgodnie z dokumentacją, którą w 2001 r. przygotowali polscy badacze, kolekcja trafiła do Rosji, a konkretnie do Muzeum Puszkina w Moskwie. Polska od lat domaga się restytucji, ale te prośby wpadają w studnię. Gdyby ta kolekcja do nas kiedyś wróciła, byłaby wielkim rarytasem.



Mamy też Złoty Skarb.

Numizmatyczny odpowiednik Złotego Pociągu?

Tak to sobie marketingowo pozwoliłam nazwać. Monety złote, sztuk dziesięć, i dwa złote medale, które po wojnie odkryto w skrytce za szafą w zakrystii kaplicy świętej Anny. Nie wyszłoby to na jaw, gdyby nie kłótnia robotników o to, jak się tym skarbem podzielić. Decyzją ministra przekazano skarb do Muzeum Pomorskiego w Gdańsku, i on tam sobie przeleżał aż do 1970 r., gdy podjęto decyzję, że kolekcja musi wrócić do Malborka. Analizowałam sprawozdania Towarzystwa Odbudowy i Upiększenia Zamku Malborskiego, i znalazłam dwie z tych monet: zostały pozyskane w latach 1908-1911, ale ich nie skatalogowano. Do dziś nie wiemy, kto i w jakich okolicznościach zdecydował, że zostaną ukryte. To prawdopodobnie jest część kolekcji, nie jest to skarb z jednej epoki – bo mamy tam rozstrzał czasowy: od dukata Zygmunta II Augusta aż do donatywy Jana III Sobieskiego. Wygląda to jak coś, co prawdopodobnie miało wejść do kolekcji, a okoliczności wojenne spowodowały, że ktoś to ukrył we wnęce, za wmurowaną w ścianę szafą. Dla mnie jest jasne, że mogło to mieć związek z gabinetem.

To gotowy scenariusz filmu!

Tak, historia Malborka jest niezwykle bogata i znajduje swoje odzwierciedlenie również w numizmatach. Mamy tu przecież dziedzictwo państwa zakonu krzyżackiego, średniowieczne i nowożytne mennictwo malborskie, a także lokalne pieniądze zastępcze, czyli notgeldy, będące świadectwem znacznie późniejszych wydarzeń. Ważne miejsce na wystawie zajmuje również medalierstwo, które pozwala spojrzeć na historię z innej perspektywy – przez pryzmat upamiętnianych wydarzeń, postaci i rocznic. Ta tradycja jest nam szczególnie bliska, ponieważ Muzeum Zamkowe również emituje medale okolicznościowe. To jeden ze sposobów pielęgnowania pamięci o historii tego miejsca i budowania jego współczesnej tożsamości.

Wróćmy jeszcze do propagandowej funkcji monet. Czy da się z nich odczytać porażki?

eprasa.pl 7fab5216f4

Oczywiście, i możemy to sprawdzić, zestawiając numizmaty z dokumentami historycznymi i zapisami w kronikach. Mało tego, jesteśmy w stanie zbadać stopy metali, z których te numizmaty się składają, i już na tej podstawie dowiedzieć się sporo o kondycji władzy. Jeżeli było dobrze – państwo było bogate, a władca operatywny – to widać po zawartości kruszcu.

W Malborku w średniowieczu panują krzyżacy. Mamy ambitnych wielkich mistrzów, którzy wystarali się u papieża o przywileje i zapewniają sobie prawo do bicia monety. Staje się ona przekaźnikiem konkretnych informacji: na pierwszym brakteacie pojawia się ramię z proporcem, na którym widnieje znak krzyża. Później, cokolwiek pojawiało się na monetach, też nie było przypadkowe. Po reformie monetarnej około 1380 r. na szeląga po raz pierwszy pojawia się imię wielkiego mistrza, a rewers informuje, że jest to moneta panów pruskich. Zdecydowanie mówi nam to o *prosperity* państwa krzyżackiego.





Ale widać również kryzys pogrunwaldzki: pęknięcie bardzo wyraźne, łatwe do odczytania na monecie przez dużo mniejsze stopy srebra i ratowanie się zabiegami inflacyjnymi. Na przykład Michał Küchmeister, który obejmuje urząd w 1414 r., na początku jeszcze wybija klasycznego szeląga, z nieco mniejszą zawartością srebra. To nie wystarcza, finanse są zdegradowane, więc mistrz sięga po metody inflacyjne. Wprowadza nowy rodzaj szeląga: lepszej jakości pieniądze, klasyczne dwa szelągi, odpowiadają jednemu nowemu, który ma niższą wartość. Wartość pieniądza bardzo mocno spada, a każdy kolejny wielki mistrz przejmuje model, zmniejszając zawartość srebra.

W naszych zbiorach mamy rzadki egzemplarz ćwierćtalara – dużą, srebrną monetę emisji Albrechta Hohenzollerna. Po zakończonej wojnie w 1521 r. monety te były dewaluowane z wartości 8 groszy do 6. W tym celu stosowano kontrmarkę – maleńki stempel, który dodatkowo przybijano na monecie. Nasz egzemplarz nie ma tej kontrmarki – to jest moneta dosłownie wyciągnięta z epoki. Rzadkość, która rzeczywiście odzwierciedla kondycję państwa.

Wystawy numizmatyczne nie są łatwe w odbiorze. Potrzeba sporego zasobu wiedzy, by rozumieć, na co patrzymy.

Nie boję się powiedzieć: numizmaty są dla odbiorcy nudne, dlatego jako kuratorzy mamy trudne zadanie. Zależało mi na tym, by przedmioty numizmatyczne opowiadały swoją unikalną historię z perspektywy, która będzie zrozumiała, czytelna i ciekawa przede wszystkim dla odbiorcy tu, w Malborku. Postanowiłam zwrócić się w stronę historii i opowiedzieć ją z perspektywy mieszkańców tego regionu. Chciałam, by ta wystawa poruszyła to, co dla nas ważne.

Numizmaty są o nas?

Są ważnym nośnikiem pamięci ogólnospołecznej. Dlatego w tym sensie szkoda, że w życiu codziennym prawie w ogóle nie używamy już pieniędzy i wszędzie płacimy kartą czy telefonem. Ja również, na przekór zawodowi. Ale może paradoksalnie ten brak również coś o nas mówi. ■

LECH OKOŃSKI x6

JOANNA CZARNOWSKA-PFEIFER – historyczka sztuki, kierowniczka Działu Sztuki i Rzemiosła Artystycznego Muzeum Zamkowego w Malborku oraz opiekunka kolekcji Gabinetu Numizmatycznego. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się na historii przedwojennej kolekcji numizmatycznej zamku malborskiego, mennictwie państwa zakonu krzyżackiego oraz działalności mennicy malborskiej w średniowieczu i epoce nowożytnej. Autorka scenariusza i kuratorka wystawy stałej Malborski Gabinet Numizmatyczny.

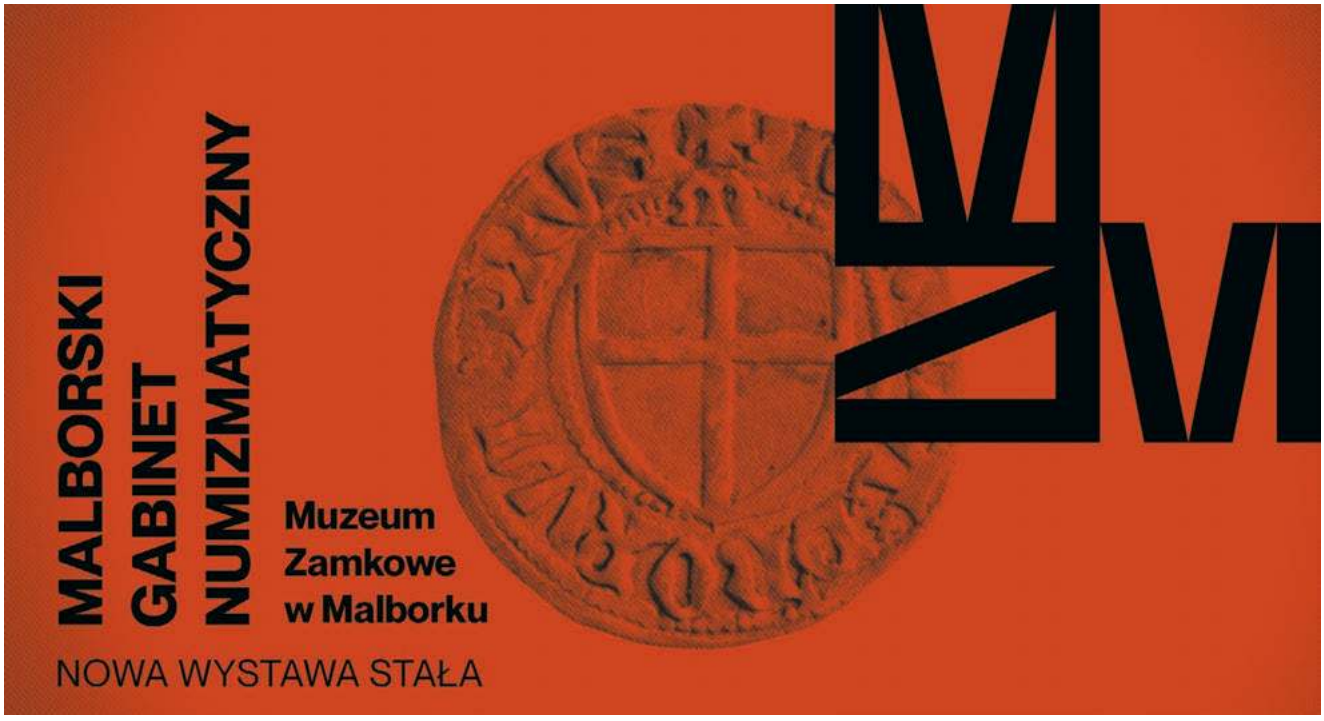

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 7fab5216f4

NAUKA

ZWIERZĘTA, KTÓRYCH NIE MA



Miauczą, ćwierkają, machają ogonem.
Reagują na głos i naśladują emocje.
Są bardziej puchate i barwniejsze od oryginałów.
Rynek zwierząt syntetycznych już powstał.
Oby tylko nie przysłoniły nam one tych prawdziwych.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Rusty był częścią mnie. [Kiedy dowiedziałam się, że odszedł,] próbowałam zachowywać się normalnie, ale wybuchnęłam płaczem. Byłam zdruzgotana" – pisała Jane Goodall o śmierci swojego ukochanego psa z dzieciństwa. Edith Wharton, autorka „Wieku niewinności", opłakiwała zmarłą suczkę Toots, pisząc, że była dla niej „prawdziwą małą osobą, i to osobą najrzadszego rodzaju". Komik i eseista David Sedaris, pisarz i scenarzysta Raymond Chandler – opisywali odejście swoich kotów jako „koniec pewnej epoki" napawający strachem przed głuchą ciszą w domu.

Strata ukochanego zwierzęcia potrafi być bardzo bolesna i pozostawia w człowieku poczucie pustki. A nie ma na nią „systemowych", akceptowanych społecznie i instytucjonalnie reakcji. Brak tu typowego pogrzebu i czynności żałobnych. Z tytułu śmierci pupila nie można wziąć wolnego w pracy. Wsparcie społeczne i zrozumienie dla bólu są często niewspółmierne do ogromu negatywnych przeżyć.

Jak temu zaradzić? Na to pytanie postanowili w niekonwencjonalny sposób odpowiedzieć uczeni z Miejskiego Uniwersytetu w Hongkongu (City University of Hong Kong). Doszli do wniosku, że osobom, które straciły ukochane zwierzę, powinno się zaoferować jakieś efektywne formy wsparcia. Na przykład syntetyczną wersję nieżyjącego psa czy kota. Badacze nazwali swój wynalazek Bondi (od ang. *bond* – więź).

Robot z futerkiem

Bondi to robotyczny twór obity z zewnątrz futerkiem. Przypomina puchatą piłkę z ogonem. Nie ma pyszczka, oczu, nawet głowy, ponieważ – zgodnie z założeniem twórców – nie jest wierną repliką zmarłego zwierzęcia. Jego cechy (ogólny pokrój, sierść, kolor) służą jako pretekst do przywoływania ciepłych wspomnień o pupilu. Bondi jest interaktywny: można do niego wgrać prawdziwe dźwięki wydawane przez nieżyjące zwierzę, a także zaprogramować go tak, by imitował temperament ukochanego psa czy kota.

Na przykład: kiedy opiekun wypowie imię zmarłego czworonoga, Bondi zamacha ogonem. Jeśli właściciel położy go na kolanach, robot zamiauczy. Może też reagować na konkretne konteksty. Wystarczy powiedzieć: „chcesz kolację?" i udać się w stronę lodówki, by Bondi się aktywizował i zaświecił wmontowanymi ledami. Samej kolacji jednak nie zje...

Twórcy rozwiązania uważają, że taki „cyfrowy bliźniak" łagodzi negatywne emocje związane ze stratą prawdziwego zwierzęcia, ponieważ pozwala „podtrzymać więź emocjonalną ze zmarłym pupilem", a także zachować poczucie bliskości. Argumentują, że dzięki stosowaniu Bondiego właściciele odtwarzają codzienne rytuały z ukochanym czworonogiem i stopniowo przystosowują się do straty, zamiast „czuć presję na szybkie zerwanie więzi".

Czy jednak takie rozwiązanie rzeczywiście ułatwia przejście przez proces straty, czy raczej stanowi karykaturę wspomnienia o zwierzęciu? Twórcy robotycznego „asystenta żałoby" podkreślają, że można go włączyć wtedy, kiedy się chce, i wyłączyć, gdy nie ma się ochoty lub czasu na interakcję. Bondi nie obudzi więc opiekuna o 4 nad ranem, nie ubłoci dywanu po spacerze, nie podrapie kanapy, nie „obrazi się" za obcięcie pazurów. Zawsze zaspokoi potrzeby człowieka, a nigdy swoje. Bo ich nie posiada.

Osobowość Moflina

Bondiego nie można jeszcze kupić – to dopiero prototyp. Jednak na rynku są już

eprasa.pl 7fab5216f4



MATERIAŁY PRASOWE CASIO

Moflin – syntetyczny zwierzak wyposażony w sztuczną inteligencję

dostępne podobne rozwiązania. W zeszłym roku firma Casio wprowadziła do sprzedaży Moflina – syntetycznego zwierzaka wyposażonego w sztuczną inteligencję. Czy raczej – jak określa go sam producent – „emocjonalnego towarzysza AI". Początkowo robotyczny asystent był dostępny jedynie na rynku japońskim, obecnie można go kupić również w USA i Wielkiej Brytanii. Przybliżona cena: 2 tys. zł.

Moflin, podobnie jak Bondi, nie jest wierną kopią żadnego gatunku czy konkretnego osobnika – to puchata kulka (dokładniej elipsoida) o masie ok. 260 g, mieszcząca się w dwóch dłoniach. Nie ma ogona, jak Bondi, posiada za to „oczy" – dwa ciemne koraliki na jednym z biegunów. Ma dwie odmiany barwne do wyboru: srebrzystą oraz złotawą, ostatnio na rynek amerykański wprowadzono również różową.

Nie został wyposażony w nogi czy kółka, a zatem, podobnie jak Bondi, nie przemieszcza się samodzielnie. Może się jednak trochę ruszać – jego ciało rozpręża się lub kuli, wykonując wtedy ruchy podobne do drzemiącego zwierzęcia, moszczącego się na kolanach opiekuna. Wydaje również odgłosy: popiskuje, ćwierka, pomiaukuje, mruczy, grucha. Reakcje akustyczne i ruchowe Moflina są nacechowane emocjonalnie: mogą być radosne, energiczne, spokojne, marudne. Asystent może z nich korzystać, by domagać się od opiekuna uwagi lub pieszczot.

Producent deklaruje, że każdy Moflin może rozwinąć unikatową „osobowość" – jedną z 4 mln kombinacji cech. Gdy się go kupuje, jest niemal jak tabula rasa. Jednak w ciągu pierwszych kilkudziesięciu dni interakcji ze swoim opiekunem utrwala określone zmienne, zależne od tego, jak się z nim obchodzono (np. częściej głaskano spokojnie na kolanach czy przerzucano z ręki do ręki w formie zabawy).

Z czasem Moflin ma się uczyć rozpoznawać swojego opiekuna – reagować na jego głos oraz na własne, nadane przez właściciela imię. Aktualny stan „emocjonalny" asystenta można analizować nie tylko na podstawie jego zachowania, lecz także za pomocą aplikacji. Chociaż Moflin potrafi być niezadowolony czy wystraszony, w połączonym z nim programie można przyciszyć jego odgłosy. Jeśli wyczerpie mu się bateria, wystarczy włożyć go do ładowarki – plastikowego „legowiska", w którym spędza ok. 3,5 godz. na każde 5 godz. aktywności.

Sztuczne zwierzę, prawdziwe emocje

Dotychczasowi recenzenci technologiczni (z „The Guardian", „The Verge" czy „TechRadar") zwrócili uwagę na to, że Moflin potrafi zaskakująco szybko wywołać poczucie przywiązania u opiekuna, ale postrzegali „relację" z nim jako raczej jednostronną, dziwną. Urządzenie miało skłaniać właściciela do częstego i najlepiej nieprzerwanego kontaktu (np. do zabrania go ze sobą na obiad do restauracji), ale raczej nie dawało ukojenia w negatywnych stanach emocjonalnych.

Te wnioski mogą się okazać szczególnie istotne w kontekście dziecięcych użytkowników. Jeśli rodzice potraktują puchatego robota jako substytut zwierzaka, a zarazem zabawkę, może się okazać, że przyniesie on mniej pożytku niż potencjalnych szkód.

Producent tego urządzenia podkreśla, że Moflin nie ma zastąpić prawdziwego czworonoga – z kampanii reklamowych można się dowiedzieć, że puchaty asystent AI oferuje użytkownikom całkiem nowy rodzaj relacji – z tworem, który jest interaktywny i „emocjonalny", ale nie żyje w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa. ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ Inne syntetyczne „zwierzę" wypuściła w zeszłym roku firma Huawei we współpracy z Luobo Intelligent. Ich produkt nazywa się Smart Hanhan – to kolejna puchata kuleczka, która reaguje na dotyk, ruch, rozpoznaje głos i wykazuje „reakcje emocjonalne". Na razie jest dostępna tylko na rynku chińskim. W pierwszym tygodniu sprzedaży rozeszło się ponad 10 tys. sztuk. Chiński pluszak AI jest ok. dziesięciokrotnie tańszy od produktu Casio, nie porusza ciałem, ale może okazywać „emocje" za pomocą dużych oczu, które działają jak dwa ekrany.

W przeciwieństwie do Bondiego czy Moflina, Smart Hanhan potrafi też mówić (na razie po mandaryńsku): prowadzi proste dialogi, odpowiada na pytania o pogodę, ale musi być połączony z internetem – Moflin natomiast bazuje na lokalnych algorytmach, nie działa w chmurze. Podobnie jak w przypadku pozostałych puchatych asystentów AI, Smart Hanhan może zostać w dowolnym momencie odłożony do szuflady, pozbawiony energii i zapomniany.

Bliskość robota

To, w jaki sposób syntetyczne zwierzęta wpływają na ludzką psychikę, postawy czy emocje, jest jak dotąd słabo zbadane. Brakuje wiarygodnych doniesień naukowych bazujących na dużych populacjach, randomizacji, grupach kontrolnych. Pojawiają się jednak pierwsze analizy obserwacyjne.

Na przykład Moflina oceniały badaczki z Instytutu Badań nad Starzeniem się działającego przy Wschodnioszwajcarskiej Wyższej Szkole Nauk Stosowanych (Ostschweizer Fachhochschule). Uczone analizowały, jaka jest wartość asystenta AI w „społecznym wspomaganiu" osób starszych przebywających w domach opieki. W tym celu przekazały robotyczne pluszaki do 5-miesięcznego użytkowania 16 mieszkańcom tych placówek. Aby ocenić ich wpływ na seniorów, badaczki przeprowadzały wywiady z personelem opiekuńczym, nie z samymi użytkownikami.

Pracownicy ocenili, że Moflin był przydatny do zajęć aktywizujących, wspierał komunikację z podopiecznymi, dawał im zajęcie. Był stosowany w chwilach zwiększonego zapotrzebowania na wsparcie społeczne (osamotnienie, izolacja) i miał zapewnić przyjemne bodźce dotykowe oraz poczucie bliskości. Czy osiągał zamierzone efekty? Zdaniem obserwatorów – tak. Wskazywali oni, że mieszkańcy domów opieki wydawali się bardziej pogodni i rozluźnieni po interakcji z asystentem. U niektórych kontakt prowokował do przywoływania wspomnień o dawnych zwierzętach domowych. Podopieczni mieli chętnie dotykać i głaskać Moflina.

Te dane, choć bazowały na doświadczeniu kadry, były jednak bardzo subiektywne, nie oparto ich na wymiernych pomiarach czy wynikach kwestionariuszy psychologicznych. Należy więc traktować je raczej jako wstęp do dalszych badań, a nie jako wiarygodny rezultat. Tym bardziej że, choć autorki badania deklarowały neutralność i brak konfliktu interesów (nigdzie nie wskazano, by projekt został w jakikolwiek sposób wsparty przez Casio), trudno tu wykluczyć istnienie efektu oczekiwań: Mofliny były przekazywane podopiecznym z myślą o określonym rezultacie.

Co więcej, badaczki przyznały, że zaobserwowane przez nie efekty były krótkotrwałe i nie zastępowały innych interwencji. Pluszaki pozwalały przełamać lody w interakcji z seniorami, same w sobie nie miały jednak terapeutycznego efektu. W każdym razie nie taki, który udałoby się jednoznacznie udokumentować.

Przyroda od AI

Obecność „fałszywych zwierząt" w życiu człowieka nie kończy się na puchatych zabawkach czy, jak wolą producenci – asystentach. W lipcu tego roku na łamach „Nature Ecology and Evolution" ukazała się alarmująca praca dotycząca tego, jak fałszywa fauna wpływa na naukę i przyrodę. Mówimy tu już o wytworach cyfrowych – ale także o problemie przekładającym się na rzeczywisty świat.

Autorzy skupili się na danych gromadzonych na platformach służących do realizacji nauki obywatelskiej, takich jak iNaturalist lub eBird. Są to serwisy, do których amatorzy przyrody z całego świata mogą przesyłać zdjęcia oraz opisy dzikich zwierząt. Takie dane pomagają akademikom gromadzić informacje dotyczące obecności poszczególnych gatunków w różnych szerokościach geograficznych lub monitorować nietypowe odmiany barwne, hybrydy międzygatunkowe, od dawna niewidziane podgatunki itp. Niestety, generatywna AI zagraża jakości tych obserwacji.

Aby sprawdzić, jak duże jest to zagrożenie, uczeni polecili Google Gemini wygenerowanie realistycznego zdjęcia przedstawiającego samca epoletnika krasnoskrzydłego, *Agelaius phoeniceus*, siedzącego na gałęzi. AI poradziła sobie aż za dobrze – zobrazowany ptak byłby dla amatora nie do odróżnienia od oryginału. Ekspercka analiza ujawniła jednak u niego nietypową liczbę piór ogonowych. Uczonych zainteresowała szczególnie kwestia „ulepszania" fotografii za pomocą AI, ponieważ ta praktyka zyskuje ostatnio na popularności. Dlatego przeprowadzili jeszcze jeden test.

Podali AI zdjęcie wykonane przez zawodowego przyrodnika. Uwiecznił on żyjącego w Ameryce Południowej kacyka epoletowego, *Icterus cayanensis*. Następnie poprosili Gemini o „poprawienie" tego obrazu. Model zwrócił im „lepiej" wybarwioną grafikę. Tyle że teraz przedstawiała ona ptaka przypominającego już inny gatunek – wspomnianego wcześniej epoletnika.

Zanieczyszczanie baz przyrodniczych fałszywymi, wygenerowanymi przez AI fotografiami zwierząt już się rozpoczęło. W marcu 2026 r. Kris Anderson, ekspert od modliszek z Cornell University, opisał na łamach „Soothsayer. Journal of Mantodea Research" przypadek wygenerowanego zdjęcia modliszki, na które on sam natknął się podczas analizy bazy iNaturalist.

Autor zauważył, że osobnik zobrazowany na fotografii – rzekomo nowa obserwacja z Malezji – ma nieprawidłowości w budowie głowy, czułków i wzorów na ciele. Zdjęcie zostało usunięte z serwisu dopiero po interwencji uczonego. Na drugi falsyfikat badacz natrafił 4 miesiące później. Jak duża jest skala tego typu zafałszowań – można tylko zgadywać. Należy się jednak spodziewać, że jeśli systemowe rozwiązania nie pojawią się tutaj szybko, to liczba fałszywek będzie tylko wzrastać.

Zdaniem autorów pracy z „Nature Ecology and Evolution", takie postępowanie „może prowadzić do wyciągania błędnych wniosków dotyczących ekologii i funkcjonowania ekosystemów", a także zachwiać naszą „wiedzą na temat tego, gdzie i kiedy występują poszczególne gatunki oraz w jaki sposób się zachowują".

eprasa.pl 7fab5216f4

Sfałszowane zachowanie

Fałszowanie sposobu, w jaki zachowują się dzikie gatunki, może negatywnie wpływać nie tylko na samą wiedzę ekologiczną, lecz także na postawy wobec zwierząt. Autorzy pracy opublikowanej w 2025 r. w „Conservational Biology" zauważają, że zalew obrazów przedstawiających „urocze" rysie trzymane na kolanach, niedźwiedzie polarne podpływające do łodzi po pieszczoty czy foki przytulane przez plażowiczów mogą normalizować inicjowanie niebezpiecznych (dla obu stron) kontaktów z dzikimi zwierzętami.

Zdaniem uczonych takie treści utrudniają też – i tak już skomplikowaną – pracę organizacji niosących pomoc przyrodzie. Specjaliści, np. pracownicy ośrodków rehabilitacji dzikich zwierząt, biorą zwierzęta na ręce tylko, gdy jest to konieczne – np. po to, by je zbadać czy podać leki. Nawet wtedy stosują rękawice ochronne i liczne narzędzia ograniczające ruchomość zwierząt – pasy, kaftany ochronne, taśmy krępujące itp. W przeciwnym razie interakcja mogłaby być bardzo niebezpieczna.

Dla konsumentów fałszywych nagrań, przedstawiających „upupione" dzikie zwierzęta, te metody mogą się wydawać szorstkie, pozbawione czułości, nawet niehumanitarne. Czy nie można po prostu wziąć tego rannego dzięcioła na rączki i pocieszyć go głaskaniem? Cóż, jeśli chce się stracić oko od uderzenia dziobem, to jak najbardziej można. Samemu zwierzęciu to jednak nie pomoże.

Obecność „sztucznych zwierząt" w naszym życiu nie jest całkiem nowa. Już wcześniej Tamagotchi, Furby, robotyczne pieski, automatyczne kotki miały nam zastąpić czworonożnych przyjaciół. Jak dotąd bez spektakularnego sukcesu.

Jednak współczesna technologia pozwala coraz lepiej podrabiać: emocje, relacje, wreszcie same zwierzęta. Świat, który tworzymy za pomocą tych nowoczesnych rozwiązań, nie musi być gorszy – może być bardziej wielowymiarowy. Ważne jednak, byśmy dodając do życia nową jakość, nie stracili czegoś cennego, co, niczym Rusty dla Jane Goodall, było integralną częścią nas samych.

© MARTA ALICJA TRZECIAK



NASA

Obie sondy Voyager przeleciały w pobliżu Jowisza w 1979 r., wykonując przeszło 33 tys. fotografii planety i jej księżyców.

Dzień drogi

LINDA SPILKER, KIEROWNICZKA NAUKOWA MISJI VOYAGER:

KOSMOS | Tylko raz na 176 lat planety ustawiają się tak, że podczas jednej wyprawy można przelecieć kolejno obok Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna. Voyagerom wiele zawdzięczamy.

FLORIAN KAPPELSBERGER: Sonda Voyager 1 znajduje się poza granicami Układu Słonecznego, w przestrzeni międzygwiazdowej. Gdybyśmy mogli znaleźć się tuż obok niej i rozejrzeć się wokół, co byśmy zobaczyli?

LINDA SPILKER: Otaczałaby nas nieprzenikniona czerń, a w oddali jasno świeciłyby maleńkie punkciki gwiazd. Nasze Słońce wyglądałoby już tylko jak bardzo jasna gwiazda. Przestrzeń międzygwiazdowa nie jest jednak całkowicie pusta. Wypełniają ją przede wszystkim wodór i hel, z niewielką domieszką cięższych pierwiastków, takich jak węgiel, tlen, azot czy wapń, które powstały głównie podczas pobliskich wybuchów supernowych.

Znajdują się tam również wysokoenergetyczne cząstki zwane promieniowaniem kosmicznym oraz niewielkie ilości pyłu. Naładowane cząstki przemieszczają się wzdłuż linii pola magnetycznego, tworząc strumienie przypominające prądy oceaniczne. Oczywiście większość tych zjawisk pozostaje niewidoczna dla ludzkiego oka, ale możemy je badać dzięki instrumentom znajdującym się na pokładzie sondy.

18 listopada sonda osiągnęła kolejny kamień milowy: znalazła się w odległości jednego dnia świetlnego od Ziemi.

Dzień świetlny to odległość, jaką światło pokonuje w ciągu 24 godzin, czyli 25,9 miliarda kilometrów. ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ Voyager 1 jest najdalszym obiektem stworzonym przez człowieka. Dla porównania Księżyc, najbliższe nam ciało niebieskie, znajduje się w odległości zaledwie 1,3 sekundy świetlnej. Od Słońca dzieli nas 8,3 minuty świetlnej, a od Neptuna, najdalszej planety Układu Słonecznego, około 4,2 godziny świetlnej. To niezwykłe osiągnięcie ludzkości: zbudowaliśmy urządzenie, które dotarło aż tak daleko.

Voyager 1 i 2 wystartowały w sierpniu i wrześniu 1977 r., ale NASA do dziś utrzymuje zespół odpowiedzialny za te sondy. Jak ten zespół wygląda dzisiaj?

Jest już niewielki, liczy około dziesięciu osób. Część pracuje przy Voyagerach tylko przez część czasu, równolegle zajmując się innymi projektami. Najmłodszy członek naszego zespołu, inżynier odpowiedzialny za łączność, ma 25 lat. Jego rodziców nie było jeszcze na świecie, kiedy sondy wyruszały w kosmos! A niektórzy pracowali przy tej misji już w chwili jej rozpoczęcia. Część przeszła na emeryturę, ale później wróciła, by poświęcić nam trochę czasu. Najstarszy z nas, specjalista od komputera pokładowego zarządzającego lotem sondy, właśnie skończył 90 lat.

Na czym polegają te misje?

Obie sondy zmierzają w nieco innych kierunkach. Voyager 1, który odwiedził Jowisza, Saturna i jego księżyc, Tytana, oddala się na północ od płaszczyzny orbit planet. Voyager 2 leci na południe, po drodze odwiedziwszy Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna. Badają więc różne obszary przestrzeni międzygwiazdowej, a my możemy porównywać ich pomiary. Voyager 2 porusza się nieco wolniej, odległość jednego dnia świetlnego osiągnie dopiero w 2035 r. Do tego czasu nie będzie już jednak dysponował wystarczającą ilością energii, by przesyłać sygnały na Ziemię.



NASA X2

LINDA SPILKER jest planetolożką. Od 1977 r. pracuje w NASA. Niemal od początku związana z misjami Voyager, w latach 90. dołączyła do zespołu Cassini. W 2020 r. wróciła do programu Voyager, a dwa lata później została jego kierowniczką naukową.

A co przesyłają?

Voyager 1 bada przestrzeń międzygwiazdową, utrzymując antenę nieustannie skierowaną ku Ziemi. Sonda cały czas nadaje. Na początku misji, w 1977 r., na jego pokładzie znajdowało się dziesięć instrumentów naukowych, a dodatkowo prowadzono eksperyment z wykorzystaniem łączności radiowej. Kiedy w 1990 r. rozpoczęła się międzygwiazdowa faza misji, działało już tylko pięć instrumentów.

Sonda z każdym rokiem traci około czterech watów dostępnej mocy, musieliśmy więc stopniowo wyłączać kolejne urządzenia. Dziś pracują już tylko dwa.

Czego dowiadujemy się dzięki tym pomiarom?

Sonda mierzy pole magnetyczne oraz fale plazmowe. Od czasu do czasu dane przynoszą nam niespodzianki. Początkowo spodziewaliśmy się, że wraz z oddalaniem się sondy od Układu Słonecznego gęstość elektronów w plazmie oraz natężenie pola magnetycznego będą powoli malały. Okazało się jednak, że niekoniecznie tak musi być.

W 2020 r. Voyager 1 zarejestrował silne zaburzenie, którego źródłem mogło być Słońce. Spowodowało ono gwałtowny wzrost zarówno natężenia pola magnetycznego, jak i gęstości elektronów w plazmie. Od tamtej pory wartości te nie wróciły już do wcześniejszego poziomu. Na tym polega jedna z największych przyjemności uprawiania nauki o kosmosie: zbieramy dane, które okazują się niezgodne z przewidywaniami naszych modeli i teorii. Musimy więc te teorie zmieniać i tworzyć nowe.

Misję Voyagera 1 pierwotnie zaplanowano na cztery lata, a w przyszłym roku minie jej pół wieku. W czym tkwi sekret długowieczności sondy?

Rozwój technologii ogromnie ułatwił nam pracę. Z dzisiejszej perspektywy technologia zastosowana w samej sondzie wydaje się wręcz archaiczna. Voyager 1 jest wielkości małego samochodu. Jego komputer zajmuje tyle miejsca, co niewielka aktówka, a ma mniej pamięci niż współczesny smartfon. Ale być może właśnie ta przestarzała technologia przyczyniła się do jego długowieczności.

W jaki sposób?

W kosmosie urządzenia są bombardowane promieniowaniem kosmicznym. Jeśli ich podzespoły są większe, trafienie pojedynczej cząstki promieniowania z mniejszym prawdopodobieństwem spowoduje poważne uszkodzenie. Gdybyśmy polegali na jednym maleńkim układzie scalonym, który zostałby uszkodzony przez taką cząstkę, moglibyśmy stracić ogromną ilość informacji.

POŻEGNANIE

Dnia 29 listopada 2026 roku o godzinie 16.30
w Katedrze Wawelskiej zostanie odprawiona msza św. o pokój duszy

Ś. † P.

Andrzeja Olechowskiego

dr. ekonomii, polityka

ur. 9 września 1947 r. w Krakowie, zm. 25 kwietnia 2026 r. w Warszawie

Brat

eprasa.pl 7fab5216f4



Misja Voyager była pierwszą, która dotarła do Neptuna. Voyager 2 przeleciał w jego pobliżu w 1989 r., wykonując przeszło 9 tys. fotografii planety i jej księżyców. Wielka Ciemna Plama widoczna na ikonicznym zdjęciu to huragan wielkości Ziemi. Po kilku latach nie było już po nim śladu.

Jak radzicie sobie z awariami sondy? Nie można przecież wysłać astronautów, by usuwali usterki.

Czasami musimy improwizować. Pewnego dnia w 2024 r. Voyager 1 zaczął przesyłać na Ziemię zupełnie bezsensowne dane. Ustaliliśmy, że uszkodzeniu uległ jeden z układów pamięci, prawdopodobnie na skutek trafienia przez cząstkę promieniowania kosmicznego. Musieliśmy zmodyfikować oprogramowanie tak, aby omijało uszkodzony układ. Przez kilka miesięcy pracowaliśmy nad odpowiednią sekwencją kodu, a następnie przesłaliśmy ją do sondy.

Ponieważ Voyager 1 znajdował się już niemal dzień świetlny od Ziemi, potrzeba było prawie dwóch dni, żeby wysłane przez nas polecenie dotarło do sondy, a odpowiedź wróciła na Ziemię. To oczekiwanie było nie do zniesienia... Ale w końcu znów zaczęliśmy odbierać dane.

Które momenty misji Voyager były dla Pani najważniejsze?

Byłam świadkiem startu rakiety wynoszącej Voyagera 2 w kosmos. To było wspaniałe uczucie – uczestniczyć w tej podróży od samego początku. Mieliśmy też wyjątkowe szczęście, jeśli chodzi o moment rozpoczęcia misji. Tylko raz na 176 lat planety ustawiają się w taki sposób, że podczas jednej wyprawy można przelecieć kolejno obok Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna. Voyager 2 był pierwszym i jak dotąd jedynym statkiem kosmicznym, który odwiedził wszystkie cztery planety w ramach jednej misji. Kolejnym niezapomnianym przeżyciem był przelot w pobliżu księżyców Jowisza. To właśnie one przyniosły nam największe niespodzianki.

Jakie?

Jeśli chodzi o księżyce, nie mieliśmy wówczas zbyt wielu obiektów do porównania. Zakładaliśmy więc, że wszystkie przypominają nasz Księżyc: są starymi światami o powierzchniach gęsto usianych kraterami. A potem dotarliśmy do księżyców Jowisza. Na Ganimedesie zobaczyliśmy ślady ruchów tektonicznych skorupy. Europa okazała się jasnym, białym, lodowym światem, niemal pozbawionym kraterów. No i wreszcie Io: na tym niewielkim księżycu odkryliśmy czynne wulkany, które wybuchały właśnie wtedy, gdy przelatywaliśmy obok! Żadne z tych odkryć nie pasowało do naszych wyobrażeń o księżycach.

Przed misjami Voyager mieliśmy jedynie mgliste wyobrażenie o takich planetach jak Jowisz, Saturn, Uran czy Neptun. Teraz po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć te odległe światy na zdjęciach o wysokiej rozdzielczości. Jak sondy Voyager zmieniły nasze wyobrażenie o wszechświecie?

Program Voyager zmienił sposób, w jaki postrzegamy Układ Słoneczny. Niektóre z ikonicznych zdjęć wykonanych przez Voyagera 1 i Voyagera 2 do dziś można zobaczyć w podręcznikach i podczas lekcji w szkołach. Voyagery utorowały też drogę kolejnym misjom.

To dzięki nim po raz pierwszy zobaczyliśmy jasne, białe powierzchnie Europy i Enceladusa, które później były badane przez sondy NASA Galileo i Cassini. Misje te wykazały, że oba księżyce pokrywa lodowa skorupa, pod którą znajduje się ocean ciekłej wody. A to zrodziło kolejne pytania: czy w tych oceanach może istnieć życie? Właśnie teraz w stronę Europy zmierza sonda Europa Clipper, która ma zbadać tę możliwość. Voyagery przyniosły odpowiedzi na wiele pytań, ale jednocześnie postawiły przed nami mnóstwo nowych, fascynujących zagadek.

Voyager 1 wiele już przeżył, ale przecież nie jest nieśmiertelny. Kiedy przestanie komunikować się z Ziemią?

Nie wiemy. Może już dziś, może dopiero za kilka lat. Podobnie jak ludzkie ciało, sonda kosmiczna z upływem czasu zaczyna wykazywać oznaki starzenia. Przewody paliwowe się zatykają, a źródło energii wykorzystujące pluton stopniowo traci wydajność. Może nadejść dzień, w którym przestaniemy odbierać sygnał Voyagera 1. Jak zawsze spróbujemy wtedy zrobić wszystko, by przywrócić sondę do działania. Jeśli jednak nic nie pomoże, będziemy musieli pogodzić się z tym, że misja badawcza Voyagera 1 dobiegła końca. Rozpocznie on wówczas nową misję: stanie się milczącym ambasadorem ludzkości.

Nawiązuje Pani do Złotej Płyty, którą niosą ze sobą obie sondy Voyager. To wykonana z pozłacanej miedzi płyta gramofonowa, zawierająca pozdrowienia w 55 językach, obrazy przedstawiające Ziemię i rozmaite utwory muzyczne.

Płytę pomyślano jako swego rodzaju kosmiczną wiadomość w butelce, która miałaby opowiedzieć o nas ewentualnym cywilizacjom pozaziemskim. Na jej okładce umieszczono mapę pokazującą położenie Układu Słonecznego w galaktyce względem pobliskich pulsarów. Za 40 tys. lat Voyager 1 przeleci stosunkowo blisko innej gwiazdy. Kto wie, może ktoś tam odnajdzie naszą wiadomość i postanowi nas odwiedzić?

© Rozmawiał FLORIAN KAPPELSBERGER

eprasa.pl 7fab5216f4

JUSTYNA

Kowalczyk-Tekieli:
Gdy śmieje się cały świat



Za chwilę grudzień. Czas dzieci. Mikołaj. Choinka. Święta. Prezenty. Czasem śnieg i bałwany. Dwoimy się i troimy, aby nasi mali ludzie żyli jak najdłużej w iluzji. I nie chodzi mi nawet o wiarę w Mikołaja, bardziej o wiarę w świat, który jest dla nich zawsze dobry. W świat, w którym spełnianie marzeń jest tylko formalnością, a każde pytanie doczeka się miłej i mądrej odpowiedzi. A potem dzieci ruszają do szkoły i iluzja pryska. Wystarczy być trochę innym. Wrażliwszym. Chudszym. Mądrzejszym. Mniej sprawnym. Biedniejszym. Neuroatypowym. Rówieśnicy szybko wychwycą różnicę i zamienią ją w wadę. To ten czas w życiu, gdy osoby średnio ogarnięte intelektualnie mają największy wpływ na grupę. Wszelkiego rodzaju fale, gnębienie rówieśników są tego najlepszym dowodem. Doświadczenia czasu szkolnego rzutują na całe życie.

Znam wiele osób, które nie chcą mieć dzieci, bo edukację szkolną wspominają jak niekończące się tortury. Błahy powód? Dla wielu z nas tak, jednak dla innych wystarczająco paraliżujący, by zdusić instynkty. W internacie przeszłam falę. To było trudne, ale rodzice szybko problem zakończyli. A że nigdy nie zależało mi na przynależności do grupy, to i życie potem było fajniejsze. Nastoletnia Justyna chciała mieć wielodzietną rodzinę. Gdy z przyjaciółką po nocach debatowałyśmy o życiu, snułam plany, że dzieci odpowiednio utuczę, żeby nie musiały trenować jak my. Ona była nowoczesna. Oddalała myśli o macierzyństwie. A że życie jest przewrotne, to przyjaciółka ma szóstkę, ja jedynaka – rzutem na taśmę powołanego na świat. I nie jest utuczony. Ruszamy się, kiedy tylko możemy. Sport wydaje mi się jedną z niewielu bezpiecznych enklaw dla indywidualistów.

Grudzień to dobry czas, by zastanowić się, dlaczego pary nie chcą mieć potomstwa. Bez politycznej wścieklicy, religijnych podziałów i płytkich ocen. Z wysłuchaniem argumentów.

Po euforycznym czasie burzy hormonów przyszła w moim życiu pora na ciężką robotę, życie na walizkach. Już nie myślałam o dzieciach. Byłam sportowcem. Z roku na rok coraz lepszym. Nie miałam na nic czasu. W zimowych porach skrajnie odtłuszczona. W ogromnym stresie. Kobieta, by zostać mamą, musi żyć inaczej. Przekonałam się o tym w drastyczny sposób. Przypłaciłam to depresją. Kilkuletnią bezsennością. Lęk przed powtórką był tak ogromny, że z macierzyństwem pożegnałam się na zawsze. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Spotkałam jednak odpowiedniego Człowieka. Człowiek ów był jeszcze bardziej anty, ale na zupełnie innym niż moje podłożu. Dopóki nie spotkał mnie. To nasza historia. Po świecie chodzi mnóstwo ludzi, którzy spotkali odpowiednie osoby, ale dzieci mieć nie chcą. Główną przyczyną są finanse. Prozaicznie. 800 plus się przydaje, ale sprawy nie załatwia. Dzieci kosztują dużo. Ludzie liczyć potrafią. Argument, że jakoś to się poukłada, nie do wszystkich trafia. A stereotypowa szklanka wody na starość to nawet mnie już drażni.

Ludzie boją się też obciążeń genetycznych. Nie zawsze widać je na pierwszy rzut oka, ale zainteresowani szukają informacji i nie chcą grać w rosyjską ruletkę. Nie muszą się ze swoich wyborów nikomu tłumaczyć. Tak samo jak ci szczególnie wrażliwi. Im zło świata, w którym przyszło nam żyć, nie pozwala się rozmnażać. Wystarczy chwila zadumy, by zrozumieć i nie oceniać. Zamiast poczucia bezpieczeństwa, nasze dzieci dostają plecaki ewakuacyjne. Zamiast beztroskich spacerów – oszołoma z bronią, który chce ich zabić w najpiękniejszym mieście świata. Zamiast zadumy po okropnym wydarzeniu – hienowatych influencerów, wałkujących czyjąś śmierć dla zasięgów. Zamiast wsparcia – fora internetowe.

Oczywiście, że można pięknie wychować dzieci w świecie, którym rządzą populizm, pieniądz i sztuczność. W świecie, w którym wstyd się starzeć i mieć niemodne ubrania. Wszystko można. Ale nie można nikogo zmuszać do heroizmu. Zwłaszcza że tych heroicznych, walczących o to, by mieć dzieci, mimo że dotknął ich problem bezpłodności, nie zawsze wspieramy jak trzeba. Są tacy, którzy ich starania nazywają grzechem. Znam pary, które wielokrotnie podchodziły do zapłodnień *in vitro*. Widziałam, jak trudne jest pozbieranie się po nieudanej próbie. Widziałam, jak dużej trzeba siły, by walczyć dalej. A jeśli nie zmienimy stylu życia i nie zadbamy o środowisko, niedługo *in vitro* będzie procedurą zapewniającą większość urodzeń.

Są jeszcze osoby, które na gruncie filozoficznym nie chcą sprowadzać nowych ludzi na świat. W tej grupie był mój Człowiek. Ich światopogląd ugruntowany jest na antynatalizmie, egzystencjalizmie i pesymizmie metafizycznym. Nie podejmuję się tłumaczenia takiego postrzegania życia, choć wydaje mi się, że je trochę rozumiem. Uszanujmy różne punkty widzenia. Ze spotkania dwojga ludzi, którzy szanują swoją inność, rodzą się piękne rzeczy wspólne.

Gdy na świecie pojawił się mój synek, nic nie było trudne. Po harówce w sporcie wyczynowym karmienie bobasa co godzinę w nocy było formalnością. Hugo był ze mną wszędzie, schowany w chuście. Bardzo przyjemny czas. Potem nasze życie kompletnie się załamało. Choć mojego Człowieka nie ma już na świecie, jestem mu ogromnie wdzięczna za to, że jestem mamą. W najgorszych chwilach to uśmiech synka sprawił, że wciąż miałam siłę patrzeć na świat. ©

Justyna Kowalczyk-Tekieli jest mistrzynią olimpijską i mistrzynią świata w narciarstwie biegowym, doktorką nauk o kulturze fizycznej, działaczką i komentatorką sportową.

eprasa.pl 7fab5216f4

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 48/2026



GRANICE KOLORU

Ikaty w Muzeum Azji i Pacyfiku

ŁUKASZ BRODOWICZ

Fragment kamizelki, Japonia, konopie, ikat podwójny (58,5 x 44 cm).

Wzdłuż granic

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Zaprezentowane na wystawie artefakty udowadniają, że to, co najciekawsze, dzieje się na granicach – społeczności, krajów, kolorów. Nadarza się okazja, by odkryć ich korzenie.

TEN CHARAKTERYSTYCZNY WZÓR znamy z widzenia: pojawia się w letnich kolekcjach popularnych sieciówek na spódnicach, sukienkach i tunikach; zdobi zasłony i poszewki poduszek w spragnionych Orientu stylizacjach boho. Choć z oryginałem – tkaninami tworzonymi miesiącami – owe nadruki nie mają nic wspólnego, można odnieść wrażenie, że tylnymi drzwiami popularnych sklepów starożytna technika wchodzi do współczesnej mody i podbija sztukę użytkową. Dobrze, że choć tak jest odkrywana, bo jej piękno i ponadczasowa elegancja nie mają sobie równych. Co wciąż zasługuje na odkrycie, to prawdziwe korzenie ikatowych tkanin. Właśnie nadarza się ku temu okazja.

JUŻ POD KONIEC LISTOPADA warszawskie Muzeum Azji i Pacyfiku zabierze nas w podróż po świecie ikatu: jednej z najbardziej fascynujących technik włókienniczych świata. Tkaniny ikatowe zachwycają z wielu powodów. Po pierwsze, wyróżnia je niezwykła technika, w której wzór nie jest nanoszony na gotową tkaninę, lecz powstaje wcześniej, dzięki precyzyjnemu barwieniu nici, które dopiero później trafiają na warsztat tkacki. Po drugie, by zrealizować te projekty – łączące inżynierię ze sztuką – angażuje się całe społeczności, z rzemieślnikami o wąskich specjalizacjach i rytmem życia podyktowanym tworzeniem ikatów. Tu też ikat objawia nam swoją dodatkową funkcję: budowania więzi, społeczności, całej kultury skupionej wokół jego realizacji.

EKSPOZYCJA MUZEUM AZJI I PACYFIKU pokaże około 110 obiektów ze zbiorów własnych oraz kolekcji prywatnych, prezentując bogactwo tradycji Azji Południowo-Wschodniej, Południowej, Wschodniej i Centralnej. Ale z wystawy dowiemy się też, że ikaty powstawały – i wciąż powstają – na całym świecie, a w każdym z tych miejsc opowiadają ich historię, są nośnikiem lokalnych tradycji, symboli i tożsamości.

NA WYSTAWIE nie zabraknie obecności ikatu we współczesnej modzie, designie i sztuce użytkowej – bo zanim tanie „ikatowe" nadruki wkroczyły do sieciówek, oryginalne tkaniny podbiły serca najważniejszych projektantów na świecie. Coraz częściej inspirują też współczesnych artystów.

IKATY udowadniają, że to, co najciekawsze, dzieje się na granicach – społeczności, krajów, kolorów. I to właśnie w podróż po nich zapraszamy Państwa w tym dodatku. Potowarzyszą nam kuratorki wystawy – Karolina Krzywicka i Ewa Soszko-Dziwisińska. Po lekturze zapraszamy do Muzeum Azji i Pacyfiku: tam, gdzie ikaty można nie tylko poznać i obejrzeć, ale także dotknąć. ©

eprasa.pl 7fab5216f4

Kasuri, abr, ikat

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

W tych azjatyckich rękodziełach nie chodzi o sam efekt, który można powtórzyć w łatwiejszej technice. Chodzi o głębię powstawania, historyczną technologię, i o społeczności, które przez wieki je wytwarzały.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Spotykamy się w Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie w pochmurny dzień. Ale tu, w pracowni konserwatorskiej, kolory wręcz kipią. Na stołach bele materiałów w intensywnych, jaskrawych kolorach, dookoła kimona, płaszcze, torebki o zaskakująco modnym wzornictwie, a wszystko aż chciałoby się przymierzyć.

KAROLINA KRZYWICKA: Najstarsze eksponaty w naszym zbiorze pochodzą z końca wieku XIX, czyli najważniejszego okresu, jeśli chodzi o jedwabne tkaniny ikatowe z Azji Centralnej. Na wystawie, którą właśnie przygotowujemy, pokażemy ponad sto obiektów z różnych regionów Azji. Najliczniejszy zbiór stanowią ikaty z Indonezji, charakteryzujące się dużym zróżnicowaniem regionalnym. Najciekawsze to tkaniny z indonezyjskich wysp Sumba i Flores, XIX-wieczna *geringsing* oraz unikatowe podwójne ikaty *pidan* z Kambodży, sari z Indii, japońskie kimona i próbki *kasuri* barwione indygo, a także wielobarwne płaszcze, stroje i panele ścienne z Uzbekistanu.

Skąd tajemnicza nazwa „ikaty"?

K.K.: Wywodzi się z języka malajskiego, bo przez długi czas uważano, że ojczyzną tej techniki jest właśnie archipelag wysp Indonezji. Dziś wiemy już, że rozwijała się niezależnie w bardzo różnych częściach świata, choć podróże i rozległe kontakty handlowe miały wielkie znaczenie dla rozprzestrzeniania się techniki ikatu. Mowa o takich krajach jak Indonezja, Timor Wschodni, Mjanma, Tajlandia, Kambodża, Laos.



ŁUKASZ BRODOWICZ X2

Tkanina hinggi kombu z wyspy Sumba. Indonezja, 2. poł. XX w., bawełna, ikat osnowowy (288 x 130 cm). Dar Jana Glińskiego.

Co ciekawe, ikaty są także produkowane poza Azją, powstają m.in. w Ameryce Środkowej i Południowej: w Gwatemali czy w Peru, a także w niektórych krajach Afryki: na Wybrzeżu Kości Słoniowej czy w Nigerii. W lokalnych językach, wszędzie gdzie powstają tkaniny ikatowe, mają one swoje lokalne nazwy: *kasuri* w Japonii, w Uzbekistanie – *abr*, czyli „chmura", w Indiach – *bandha*.

Mowa o sporym rozrzucie geograficznym, ale brakuje Europy. Dlaczego?

EWA SOSZKO-DZIWISIŃSKA: Gdyby prześledzić mapę świata z zaznaczonymi krajami, w których powstawały i nadal powstają ikaty, można by zauważyć, że najwięcej występuje ich w strefie międzyzwrotnikowej. Uważam, że brak tej techniki w Europie jest kwestią dostępności i łatwości farbowania. Nie mieliśmy tu nigdy barwników takich jak w cieplejszym azjatyckim klimacie, czy podatnych na barwienie włókien, jak bawełna albo jedwab. Len jest znacznie mniej podatny na farbowanie, a wełna podczas wielokrotnego barwienia mogłaby ulegać filcowaniu. W Europie barwne tkaniny były zawsze wyrobami o wysokiej wartości materialnej i oznaką wysokiego statusu społecznego.

Ponieważ tradycyjnie nie robiliśmy ikatu, nie rozumiemy go i przez to nie zawsze doceniamy. Jedną z misji tej wystawy jest pokazanie, jak bardzo cenne i niezwykłe to są tkaniny, i co w nich jest takiego niezwykłego oprócz samego efektu wizualnego. Chodzi o głębię powstawania, o skupione wokół ikatów społeczności, o całą technologię.

Czyli ikat to znacznie więcej niż tkanina?

E.S.-D.: Ikat jest określeniem zarówno na technikę, jak i na gotową tkaninę wykonaną w tej technice.

Porozmawiajmy zatem o niej. Na tkaninie, na którą teraz patrzymy, widzimy intensywne kolory: czerwienie, żółcienie, z niebieskim i zielonym wzorem. Wygląda tak, jakby ktoś pociągnął ją akwarelą i rozmył granice barw. Ale wzór jest przecież dwustronny.

E.S.-D.: W tej technice chodzi o jedno: kolorowi należy wyznaczyć granice. Aby uzyskać ornament, przed farbowaniem izoluje się wybrane fragmenty osnowy, zabezpieczając przed wnikaniem koloru. Najłatwiej wyjaśnić to na konkretnym

eprasa.pl 7fab5216f4

przykładzie. Oto krosno pozyskane w Indonezji, niejako „wyrwane" rzemieślnikom jeszcze przed zafarbowaniem. Mamy tu ikat osnowowy, w którym nici osnowy są rozpięte na krośnie. Rzemieślnik wybiera, a następnie w miejscach, które mają pozostać niezabarwione, ciasno owija je paskami z pociętych, świeżych liści palmy lontarowej.

K.K.: Co ciekawe, w zależności od regionu, do rezerważu używa się różnych materiałów. Na przykład w Uzbekistanie tradycyjnie używano ściśle przewiązanych nici, a współcześnie używa się do tego także zwykłej taśmy klejącej. Jest tania, praca z nią jest szybsza, i spełnia swoją funkcję – nie dopuszcza koloru.

I co dalej?

K.K.: Tak przygotowaną osnowę farbuje się w podgrzewanych na ogniu kadziach. Potem zdejmuje się izolację, suszy, płucze i jeszcze raz izoluje, nakładając rezerważ do barwienia następnym kolorem. Proces barwienia osnowy zaczyna się od najjaśniejszego do najciemniejszego barwnika.

A jak powstają rozmycia na granicach kolorów?

E.S.-D.: Delikatne półcienie na krawędziach ornamentów wynikają z minimalnego wnikania barwnika pod izolację, ale wyraźne przesunięcie pojedynczych nici powstaje już na krośnie. W czasie tkania napięte nici delikatnie się przesuwają – stąd rozmycie, które jest efektem „nieidealnej", ręcznej pracy przy tworzeniu tych tkanin.

Skąd tak intensywne kolory?

K.K.: W Uzbekistanie uzyskiwano je dzięki naturalnym barwnikom pozyskiwanym z różnego rodzaju roślin. Niezwykle popularne odcienie purpury i różu – z marzanny barwierskiej lub znacznie bardziej kosztownych koszenili – pancerzyków owadów. Żółty i zielony – z różnego rodzaju materiałów roślinnych, np. szafranu, skórek owoców czy kory drzew.

Łącznikiem kolorystycznym, wspólnym dla wszystkich miejsc produkcji ikatów, było indygo. Zobaczymy je zarówno w afrykańskich, jak i japońskich czy indonezyjskich ikatach. W Azji Centralnej był to barwnik drogi, stąd też pojawiał się tu rzadziej.

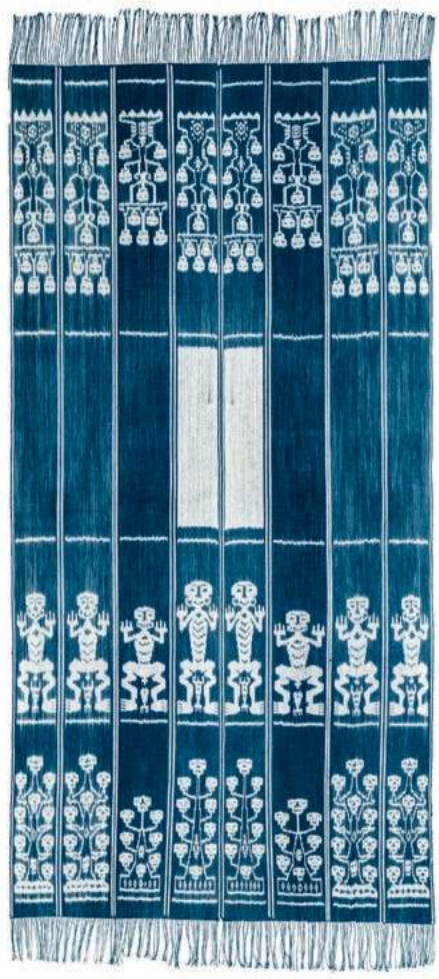

Tkanina hinggi kawuru z wyspy Sumba. Indonezja, 2. poł. XX w., bawełna, ikat osnowowy (222 x 98,5 cm). Dar Jana Glińskiego.

Ikaty, które widzimy, w ogóle wyglądają na drogie. Kogo było na nie stać?

K.K.: Faktycznie, były to tkaniny luksusowe. Na bazarach dawnych miast Jedwabnego Szlaku były towarem pożądanym i drogim. W drugiej połowie XIX wieku mieszkańców Buchary europejscy podróżnicy opisywali jako „Paryżan Wschodu" z uwagi na zamiłowanie do wyjątkowych strojów, uszytych głównie z tych tkanin. Najbardziej cenione były tkaniny jedwabne zwane *chan atlas* oraz tkaniny półjedwabne – *adras*, które są produkowane do dziś. Ci, których pozycja była wyższa, nosili jedwabne ikaty, a ci nieco biedniejsi – bawełniane. O popularności tkanin ikatowych świadczą fotografie, które zobaczymy na wystawie, autorstwa Leona Barszczewskiego, polskiego oficera w armii carskiej, który dokumentował życie mieszkańców emiratu Buchary trzeciej ćwierci XIX wieku.

E.S.-D.: Ikaty, zwane *kasuri*, wydają się skromne i niepozorne, ale były wysoko cenione w Japonii. Niezwykle staranne, wymagały ogromu pracy, a jednocześnie ich wzory pozostawały delikatne i proste. W wielu warsztatach Japonii rozwinęły się techniki ikatu podwójnego, w którym zarówno nici osnowy, jak i wątku były izolowane i barwione, i w trakcie tkania musiały trafić dokładnie na swoje miejsce, aby stworzyć wzór końcowy.

Efekt faktycznie jest niezwykły, co widzimy na kimonach i tkaninach w Państwa zbiorze: eleganckie, drobne wzory, z kolorystyczną przewagą indygo.

E.S.-D.: Japończycy są mistrzami precyzji, powtarzalności wzoru i utrzymywania dyscypliny przez cały proces tkania. Takie minimalistyczne izolacje wymagają wielkiego nakładu pracy. Tu przez cały czas musi być pełna kontrola tworzenia, w procesie projektowania oraz w procesie izolowania, farbowania i tkania. To inżynieria i sztuka w jednym.

Indygo z kolei jest podstawowym barwnikiem japońskim. Takie ciemniejsze odcienie indygo były najbardziej czasochłonne, bo wymagały najbardziej intensywnego koloru i wielogodzinnego farbowania. A im ciemniejsze, tym też cenniejsze.

W przeciwieństwie do kasuri, tkaniny z innych obszarów mają duże, kolorowe wzory. Czasem geometryczne lub zwierzęce. Co oznaczają?

K.K.: Ikaty z Azji Centralnej mają swoją symbolikę. To region, w którym rozwijały się różne cywilizacje i panowały różne religie, takie jak buddyzm, zoroastryzm, islam. Kultura hellenistyczna, później muzułmańska, następnie rosyjska, w końcu radziecka. Właśnie dzieje tego regionu miały wpływ na wykształcenie specyficznego języka wzorów ikatowych. Proszę spojrzeć na te spodnie – szarawary. Duży, okrągły wzór, który na nich widzimy, występował w tkaninach ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ produkowanych przede wszystkim w Bucharze dla tamtejszej społeczności. Nazywamy go *dojra*. Ten drugi, wijący się wzór, to z kolei *dumi szer* – czyli „lwi ogon". Zestawienie kolistych, dużych, wyrazistych wzorów ma w tym regionie bardzo długą tradycję, podobnie zresztą jak dobór kolorów: różnych odcieni purpury, różu, żółcienia, licznych kontrastów.

Po 1865 r. tereny Azji Centralnej zostały podporządkowane carskiej Rosji, która skolonizowała ten region i z czasem zaczęła zalewać rynek syntetycznymi, anilinowymi barwnikami, które były znacznie tańsze. Efekty widać też na tkaninie: brak subtelnych przejść kolorystycznych, zamiast tego – jednolite, skontrastowane i jaskrawe barwy. W czasach sowieckich nie produkowano też już szlachetnych tkanin jedwabnych w manufakturach rodzinnych – ich produkcja uległa industrializacji. Jak industrializacja i syntetyczne barwniki, to też uproszczenie wzorów oraz moda na maszynowe tkaniny satynowe, nazywane *atlas*, do dzisiaj zresztą bardzo popularne.

Odwiedzała Pani w Uzbekistanie miejsca, w których produkuje się ikaty. Jaką rolę społeczną pełni ich wytwarzanie?

K.K.: W dawnych czasach poszczególne grupy rzemieślników zajmowały się poszczególnymi etapami ich produkcji. Całe klany specjalizowały się w konkretnych działaniach: nakładaniu wzoru, przygotowaniu izolacji, osobną grupą byli też farbiarze. Dlatego wraz ze zmianami, które nastąpiły w czasach sowieckich, zaszła nie tylko degradacja tej sztuki, ale także zerwanie relacji społecznych.

A jak to wygląda dzisiaj?

K.K.: Po rozpadzie Związku Radzieckiego tkaniny ikatowe, podobnie jak ceramika i inne rzemiosła, stały się nośnikiem tożsamości Uzbeków. Produkcja tradycyjnych tkanin jedwabnych była i jest wspierana przez programy UNESCO i rodzime. Scementowaniem tych działań jest organizacja międzynarodowego festiwalu jedwabiu i tradycyjnych tkanin – Atlas Bayrami – który odbywa się w Margilanie i promuje tę sztukę. Brałam udział w tegorocznej edycji, która odbyła się we wrześniu. Miałam możliwość odwiedzenia manufaktur, w których powstają ikaty, i poznania każdego z etapów powstawania tej sztuki. Cieszy też, że współczesne kobiety w Uzbekistanie bardzo chętnie noszą stroje z tkanin ikatowych. Jest to ważny element ich tożsamości.



ARCHIWUM PRYWATNE

KAROLINA KRZYWICKA jest historyczką sztuki i menadżerką kultury, kustoszką w Muzeum Azji i Pacyfiku. Kuratorka wystaw i autorka publikacji poświęconych tkaninom etnicznym, ubiorom i biżuterii etnicznej z regionu Azji Centralnej, m.in. „Lazur i turkus. Tradycyjna ceramika uzbecka i tadżycka z kolekcji Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie", „Biżuteria etniczna Afganistanu", „Kolory życia. Suzani – haftowane tkaniny Azji Centralnej", „Turkmeni. Sztuka codzienności".



ARCHIWUM PRYWATNE

EWA SOSZKO-DZIWISIŃSKA jest konserwatorką tkanin zabytkowych, absolwentą ASP w Warszawie na Wydziale Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki, stypendystka Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Prowadziła autorskie wykłady i ćwiczenia z technik tkackich i hafciarskich na Wydziale Konserwacji ASP w Warszawie, od jedenastu lat pracuje jako konserwator tkanin w Muzeum Azji i Pacyfiku.

I nie ma nic wspólnego z szybką modą, która, zdaje się, chciałaby ikat kopiować.

K.K.: Szybka moda to zaprzeczenie definicji ikatu! Piękno tych tkanin docenili także zachodni projektanci mody, a szczególnie Oscar de la Renta, który w 2005 r. stworzył ikoniczną już dzisiaj kolekcję. Była ona efektem współpracy z uzbeckim tkaczem Rasuldżonem Mirzaahmedowem, wybitnym twórcą z wielopokoleniowej rodziny tkaczy z Margilanu, która zachowała sztukę ikatu. Po kolekcjach wielkich projektantów, wzory ikatowe pojawiły się z czasem w sieciówkach. Sprzedają dziś produkty naśladujące ikat. Nie stać ich na to, żeby sprowadzać tkaniny oryginalne, więc przekopiowują wzory w formie druku, nie powołując się w ogóle na oryginał.

E.S.-D.: Mam tu kawałek materiału z sieciówki właśnie. Proszę zobaczyć: fotografia oryginalnego ikatu przełożona na druk. Ale dotykamy, odwracamy, i już wiemy, że twórcy i jego pracy w tym nie było. Trochę gorszące, prawda?

Zwłaszcza tu, wśród XIX-wiecznych ikatów, sari i kasuri.

E.S.-D.: Może ta wystawa coś zmieni. Może widząc, jak bardzo niezwykłe są ikaty, zrozumiemy i docenimy tradycję ich powstawania oraz ludzi, którzy je tworzą – także dziś.

© Rozmawiała
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 48/2026
REDAKCJA: Karolina Przewrocka-Aderet
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
PARTNER DODATKU: MUZEUM AZJI I PACYFIKU

eprasa.pl 7fab5216f4

Dziedzictwo pod ochroną

KAROLINA KRZYWICKA, EWA SOSZKO-DZIWISIŃSKA

Tkaniny te towarzyszą społecznościom przez cały cykl życia. Odgrywają istotną rolę w najważniejszych ceremoniach i rytuałach, stając się symbolami tożsamości.

Ze względu na wartość i niepowtarzalny wygląd ikaty od dawna naśladowano prostszymi metodami, takimi jak drukowanie, malowanie czy współczesne techniki żakardowe. Imitacje te nie wymagają tak złożonego procesu jak tradycyjny ikat.

Jednak ochrona tradycyjnych technik tkackich i farbiarskich jest niezwykle ważna, ponieważ stanowią część dziedzictwa kulturowego i rzemiosła przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Poznanie sposobu powstawania ikatów pozwala lepiej docenić ich wartość i odróżnić autentyczne tkaniny od tanich imitacji.

Tkaniny powstające w tej technice mają różnorodne i wielorakie przeznaczenie i zastosowanie, często służą jako elementy tradycyjnych ubiorów, a w wielu kulturach mają także znaczenie rytualne i religijne. Obecnie ikaty są rozpowszechnione i produkowane przede wszystkim w Indiach, Indonezji, Laosie, Kambodży, Tajlandii, Japonii, Uzbekistanie, Gwatemali oraz w Ghanie i Nigerii.

Stroje rytualne i źródło zarobku

W Azji Południowo-Wschodniej, regionie słynącym z rozmaitych technik tkackich, wykształciły się różnorodne typy tkanin ikatowych, a towarzyszy temu różnorodność materiałów: od wysokojakościowego jedwabiu, bawełny, po włókna pochodzące z rosnących lokalnie roślin. Najbardziej zróżnicowane pod względem regionalnym są ikaty z Indonezji, należące do najbardziej imponujących osiągnięć tkactwa tego regionu. Na tym rozległym obszarze geograficznym, zamieszkiwanym przez setki grup etnicznych, spotykamy się z niezwykłą różnorodnością technik tkania i wzorów. Tkaniny towarzyszą mieszkańcom wielu regionów przez całe życie i odgrywają istotną rolę we wszystkich najważniejszych ceremoniach i rytuałach, będąc jednocześnie elementem łączącym społeczność.

ŁUKASZ BRODOWICZ X2



Sari, Indie, 2. poł. XX w., jedwab, nici metalowe, ikat wątkowy, lansowanie (112 x 512 cm).



Poszewki na poduszki, Uzbekistan, XXI w., jedwab, bawełna, ikat osnowowy (50 x 50 cm). Zbiory Karoliny Krzywickiej

W innych krajach tego regionu, takich jak Kambodża, Laos czy Tajlandia, ikaty odgrywają ważną rolę w życiu codziennym członków lokalnych społeczności. Towarzyszą im na co dzień jako tkaniny przeznaczone na stroje, elementy ubioru, jak na przykład charakterystyczne dla wielu regionów kobiece spódnice w formie tuby. Tkaniny ikatowe pełnią także funkcje ceremonialne, symboliczne i są używane w rytuałach religijnych. Przykładem mogą tu być khmerskie tkaniny świątynne *pidan*, o skomplikowanej kompozycji figuratywnej. Obecnie ikaty są ważną częścią dziedzictwa kulturowego, a jednocześnie ich wytwarzanie stanowi istotne źródło utrzymania, przynoszące zarobek lokalnym społecznościom.

Symbole tożsamości kulturowej

W Indiach tkaniny ikatowe zawsze miały duże znaczenie ekonomiczne, społeczne i symboliczne. Towarzyszyły ważnym ceremoniom, świadczyły o statusie i były cenionym towarem eksportowym, czego przykładem są jedne z najcenniejszych tkanin na świecie: podwójny ikat z Gudźaratu zwany *patola*, wykonywany z jedwabiu, o bardzo precyzyjnych wzorach. Mimo konkurencji przemysłowych imitacji tradycyjne rękodzieło ikatowe nadal jest żywym elementem indyjskiego dziedzictwa kulturowego.

W Japonii, pomimo radykalnych zmian społecznych i ekonomicznych, część ośrodków rzemieślniczych nadal zachowała dawne techniki tkackie. W niektórych miejscach produkcja *kasuri* stała się chronionym dziedzictwem kulturowym. Rzemieślnicy zaczęli tworzyć tkaniny przeznaczone nie tylko na tradycyjną odzież, lecz także na współczesne ubrania, dodatki i przedmioty dekoracyjne, cenione zarówno w Japonii, jak i poza jej granicami.

W Uzbekistanie przełomowym okresem dla odrodzenia tradycyjnej produkcji ikatów było uzyskanie niepodległości w 1991 r. Znaczącą rolę w zachowaniu tradycji wytwarzania ikatów odegrali wybitni tkacze z Margilanu, centrum uzbeckiego jedwabnictwa: Turgunbaj Mirzaahmedow i jego syn Rasuldżon Mirzaahmedow, który odtworzył technikę tworzenia jedwabnego aksamitu ikatowego *bakhmal*. Obecnie uzbeckie tkaniny ikatowe są ważnym symbolem tożsamości kulturowej, a jednocześnie mają szersze oddziaływanie, o czym świadczy międzynarodowy festiwal jedwabiu Atlas Bayrami, odbywający się w Margilanie. ©

eprasa.pl 7fab5216f4

Wątek i osnowa

EWA SOSZKO-DZIWISIŃSKA

Tworzono je od wieków w różnych, oddalonych od siebie regionach świata. Technika rozwijała się niezależnie na kilku kontynentach.

Sekretem ikatu jest przygotowanie dekoracji jeszcze przed rozpoczęciem tkania. Najpierw dobiera się nici odpowiedniej długości i nanosi na nie projekt wzoru. Następnie wybrane fragmenty ciasno owija się dodatkową przędzą, paskami tkaniny lub innym materiałem izolującym, zabezpieczając miejscowo nici przed barwnikiem. Po barwieniu, płukaniu i suszeniu usuwa się zabezpieczenia, a proces powtarzany jest dla uzyskania kolejnych kolorów. Liczba etapów zależy od złożoności wzoru i liczby zaplanowanych kolorów. Barwnik wnika jedynie w niezabezpieczone partie, dzięki czemu na niciach powstaje wzór, który po utkaniu tworzy dekorację tkaniny. Stosowanie tej techniki wymagało odpowiednich włókien, odpornych na wielokrotne kąpiele barwiące, oraz trwałych barwników.



ŁUKASZ BRODOWICZ

Tkanina pardah, Uzbekistan, koniec XIX w., jedwab, ikat osnowowy; podszewka: bawełna, druk (134 x 190 cm).

Tajemnice splotów

W ikacie osnowowym wzór tworzy się na niciach osnowy przed założeniem ich na krosno, a tkanina powstaje z wykorzystaniem jednobarwnego wątku. Z kolei w ikacie wątkowym dekorację tworzą wielobarwne nici wątku wprowadzane w czasie tkania pomiędzy jednobarwne nici osnowy. Ikat podwójny charakteryzuje się tym, że wzór przygotowuje się zarówno na niciach osnowy, jak i wątku.

W większości ikatów stosuje się splot płócienny, w którym nici osnowy i wątku przeplatają się naprzemiennie. Sposób ich ułożenia wpływa na wygląd tkaniny i widoczność poszczególnych nici. Najstarsze zachowane przykłady to ikaty osnowowe. Tego typu tkaniny powstają do dziś w Indonezji, Azji Centralnej, Afryce i Ameryce Południowej.

W ikatach wątkowych jednobarwna osnowa jest uzupełniana wzorzystym wątkiem wprowadzanym podczas tkania. Proces ten jest szczególnie pracochłonny, ponieważ tkacz musi stale kontrolować kolejność i naprężenie nici. Tradycja ta występuje m.in. w Indiach, Laosie, Kambodży, Tajlandii, Japonii oraz na Bali i Jawie.

Siła precyzji

Najtrudniejszy i najbardziej ceniony jest ikat podwójny. Wymaga precyzyjnego dopasowania wzorów osnowy i wątku, nawet niewielkie przesunięcie może zniekształcić dekorację. Ikaty podwójne powstają tylko w trzech miejscach na świecie: w Indiach, Japonii i Indonezji. W niektórych przykładach wzory osnowy i wątku łączą się w jeden ornament, w innych występują obok siebie lub nakładają się na siebie, tworząc złożone kompozycje.

Tkaniny wykonywane splotem płóciennym są zwykle dwustronne. Odmiennym przykładem są uzbeckie tkaniny *atlas*, jedwabne lub półjedwabne, o błyszczącej powierzchni uzyskiwanej dzięki splotowi atłasowemu. Ich dekoracja jest jednostronna.

Szczególnym osiągnięciem są jedwabne aksamity ikatowe z Uzbekistanu i irańskiego Jazdu. W Uzbekistanie nazywa się je *bakhmal*. Wielobarwna osnowa tworzy w nich wzorzyste runo aksamitu. Projektant musi precyzyjnie zaplanować rozmieszczenie kolorów i ilość nici, aby uzyskać zamierzony efekt. Technika ta nawiązuje do tradycji luksusowych aksamitów perskich z okresu dynastii Safawidów (1501-1736).

Barwniki i tradycyjne farbiarstwo

Tkaniny zwane ikatami tworzono od wieków w różnych, oddalonych od siebie regionach świata. Można przypuszczać, że technika ta rozwijała się niezależnie na kilku kontynentach. Rozwój ikatu był ściśle związany z dostępnością włókien podatnych na barwienie i naturalnych barwników. Najczęściej stosowanymi włóknami w Azji były bawełna, konopie, ramia i luksusowy jedwab. Jako barwniki wykorzystywano głównie indygo, marzannę indyjską i barwierską, morindę cytrynolistną, korzeń chay, kermes, kurkumę, skórki granatu, kwiaty aksamitki, szafran, mirobalan, brezylkę sappan oraz akację katechu. Roślinne surowce barwierskie przetwarzano przez gotowanie, moczenie lub fermentację. Nici wielokrotnie zanurzano w roztworach barwników i suszono na słońcu. Dla utrwalenia kolorów stosowano zaprawy, m.in. ałun, związki żelaza i popiół. Poszczególne surowce pozwalały uzyskiwać szeroką gamę barw: od żółci i brązów po intensywne czerwienie, błękity i fiolety. Wprowadzenie barwników syntetycznych wpłynęło na kolorystykę i trwałość wybarwień. Obecnie wielu rzemieślników, m.in. w Uzbekistanie i Indonezji, powraca do tradycyjnych metod barwienia. ©

eprasa.pl 7fab5216f4

Ikaty i moda

KAROLINA KRZYWICKA

Od Oscara de la Renty do współczesnych kolekcji: tkaniny ikatowe podbijają modę i design. Zakochali się w nich także twórcy z Polski.

Tkaniny ikatowe o oryginalnych, fantazyjnych, pozbawionych konturu wzorach i bogatej kolorystyce fascynowały projektantów już na przełomie lat 60. i 70. XX wieku, kiedy źródłem inspiracji stały się tkaniny azjatyckie, uważane za atrakcyjne i egzotyczne. Świadczą o tym utrwalone w magazynie „Vogue" sesje fotograficzne projektów brytyjskiej projektantki Thei Porter oraz zdjęcie Sofii Loren w uzbeckim płaszczu ikatowym podbitym futrem, autorstwa Richarda Avedona. Jednak okresem, w którym tkaniny ikatowe podbiły rynek mody, stały się lata 90. XX wieku.

Jednym z pierwszych zachodnich projektantów mody, który wprowadził tkaniny ikatowe z Uzbekistanu do swoich prac, był John Galliano. W jego kolekcji jesienno-zimowej z lat 1996-1997 pojawił się płaszcz ikatowy z jedwabiu i wełny. Z kolei najważniejszym projektantem świata Zachodu, który spopularyzował te niezwykłe tkaniny, był pochodzący z Dominikany Oscar de la Renta (1932-2014). Jednym z jego pierwszych projektów był płaszcz z uzbeckiej tkaniny ikatowej dla kolekcji Balmain Haute Couture w 1997 r. Kolejne realizacje powstały już po wizycie de la Renty w głównym uzbeckim ośrodku tkactwa w Margilanie. Projektant podjął wówczas współpracę ze słynnym uzbeckim twórcą Rasuldżonem Mirzaahmedowem, pochodzącym z wielopokoleniowej rodziny tkaczy.

Element tożsamości

Owocem tej współpracy było stworzenie kolekcji wiosennej w 2005 r., obejmującej stroje uszyte z rozmaitych tkanin ikatowych. Kolekcja Oscara de la Renty była przełomowa dla popularyzacji ikatów uzbeckich, które wkrótce stały się inspiracją dla innych projektantów zachodnich. W ikatach zakochali się: Balenciaga (w 2007 r.), Gucci (w 2010 r.), Roberto Cavalli, Proenza Schouler, Diane von Fürstenberg. Uzbeckie tkaniny ikatowe wprowadził także belgijski projektant Dries Van Noten, który kilkukrotnie wracał do nich w swoich kolekcjach: wiosenno-letniej w 2010 r. oraz jesienno-zimowej w 2017 r.

Od trzech dekad ikaty, które są ważną częścią tożsamości i uzbeckiego dziedzictwa kulturowego, są obecne w twórczości projektantów mody i etnodizajnie. Uzbeckie marki, takie jak Human House, Bibi Hanum, Lali, Moel Bosh i Hilola Sher, czerpią z bogactwa rodzimego rękodzieła i łączą lokalną tradycję z nowoczesnymi, uniwersalnymi fasonami. Jednocześnie wspierają rozwój zrównoważonej produkcji ikatów, pozwalającej zachować i kultywować tę skomplikowaną technikę tkacką.

Tkaniny ikatowe, które są ważnym nośnikiem tożsamości i elementem dziedzictwa kulturowego, są także obecne w twórczości projektantów z innych krajów azjatyckich, między innymi z Indonezji i Indii. Na przykład w Indonezji kreatorzy mody do tworzenia swoich kolekcji wykorzystują tradycyjne ikaty z Sumby, charakteryzujące się wyrazistymi wzorami figuratywnymi, typowymi dla zakorzenionych w lokalnej tradycji tkanin *hinggi*.



ŁUKASZ BRODOWICZ

Lampa z kloszem z tkaniny ikatowej, Polska (ceramika), Uzbekistan (tkanina: jedwab, bawełna, ikat osnowowy; 80 x 40 cm). Proj. Patrycja Borowiecka, 2026, własność Babadu Studio.

Ikaty w Polsce

Z kolei w Indiach jedwabne tkaniny ikatowe, pierwotnie przeznaczone na sari, służą jako oryginalne tkaniny, z których powstają współczesne linie ubiorów. Szczególnym rodzajem ikatu, który pojawia się w projektach indyjskich kreatorów mody, jest ceniony na całym świecie ikat *patola*, wykonany w technice ikatu osnowowo-wątkowego, o drobnych, misternych wzorach.

Tkaniny ikatowe stały się także inspiracją dla polskich projektantek mody i dizajnu. Przykładem tego są prace projektantki Patrycji Borowieckiej, właścicielki wrocławskiego atelier Babadu Studio, która tworzy unikatowe lampy z kloszami wykonanymi z uzbeckich tkanin ikatowych. Ciekawym przykładem wykorzystania etnodizajnu są także projekty Mapai, krakowskiej projektantki stosującej tradycyjne tkaniny azjatyckie przy jednoczesnym wsparciu kobiet z lokalnych społeczności w Kambodży i w Indonezji. Mapaya stworzyła kolekcję „Indo ikat", w której połączyła balijskie ikaty z nowoczesną interpretacją tradycyjnych form takich jak kimono.

Obecnie tkaniny ikatowe są wykorzystywane jako oryginalne elementy wystroju wnętrz w formie poszewek na poduszki, paneli ściennych, a charakterystyczne ikatowe, rozmyte wzory są imitowane w drukowanych tkaninach obiciowych. ©

eprasa.pl 7fab5216f4



GRZEGORZ BARGIEŁ

„Cyrulik sewilski" Warszawskiej Opery Kameralnej zachwyca humorem, temperamentem i ponadczasowym wdziękiem operowej klasyki.

Nowy sezon na mazowieckich scenach

Jesień oznacza powrót teatralnego sezonu. Na scenach Mazowsza ruszają nowe premiery, wracają ważne i popularne spektakle, a repertuar uzupełniają koncerty i wydarzenia muzyczne. Sprawdzamy, co czeka publiczność w sezonie 2026/2027.

Nowy sezon artystyczny na Mazowszu startuje z wyraźnie zarysowaną ideą. Instytucje kultury prowadzone przez Samorząd Województwa Mazowieckiego nie proponują wyłącznie kolejnych premier. Opera sięga po wielkie emocje i aktualną tematykę, teatr muzyczny przypomina legendy polskiej sceny, teatr dramatyczny zaś wraca do korzeni mazowieckiej tożsamości i stawia na klasykę, która nie przestaje zadawać ponadczasowych pytań.

Barok, gwiazdy i muzyczne odkrycia

– Nowy sezon w Warszawskiej Operze Kameralnej zapowiada się pełen premier, barokowych arcydzieł i projektów łączących tradycję ze współczesnością – anonsuje **ALICJA WĘGORZEWSKA-WHISKERD**, dyrektorka instytucji i znakomita mezzosopranistka. Właśnie między tymi dwoma biegunami – szacunkiem dla dziedzictwa i artystyczną odwagą – rozpięty został program tej placówki.

Rok artystyczny zainaugurowała premiera „Mask of Might" – widowiska stworzonego przez sir Davida Pountneya do muzyki Henry'ego Purcella. Ten wybitny reżyser powróci 3 grudnia z premierą „Serenady zbrodni", opery inspirowanej burzliwymi losami Alessandra Stradelli.

Charakter repertuaru wyznacza dialog między dziedzictwem a współczesnością. Obok trwającego do 8 grudnia Festiwalu Oper Barokowych z muzyką Vivaldiego i Händla, do programu wraca „Bal w operze" z muzyką i udziałem Leszka Możdżera, a w marcu pojawi się musical „Cicho sza..." z muzyką Włodka Pawlika.

Ważnym elementem sezonu pozostanie także współpraca z Konserwatorium im. Giuseppe Martucciego w Salerno, dzięki której warszawska publiczność spotka młodych artystów z Włoch.

Nie zabraknie również wyjątkowych wydarzeń koncertowych. 6 stycznia odbędą się koncerty „Kolędy z MACV" w aranżacjach Krzysztofa Herdzina, połączone z premierą drugiej płyty. Na 17 stycznia zaplanowaliśmy koncert noworoczny z udziałem Duo Rossini, natomiast 14 marca zabrzmi koncert pasyjny z muzyką Jerzego Maksymiuka, skomponowany specjalnie na zamówienie WOK! – wylicza szefowa tej instytucji.

Pamięć, rodzina i edukacja

Które wydarzenie będzie najważniejsze?

IWONA WUJASTYK, dyrektorka Mazowieckiego Teatru Muzycznego im. Jana Kiepury, nie chce wskazywać jednego. – Dyrektorowi teatru trudno odpowiedzieć na tak postawione pytanie, bo sugeruje ono, że pozostałe wydarzenia są mniej ważne – zaznacza.

I rzeczywiście, repertuar został skonstruowany tak, aby każdy widz mógł odnaleźć w nim coś dla siebie. Jednym z najbardziej wzruszających przedsięwzięć będzie powrót

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 7fab5216f4

spektaklu „Niezapomniany Fogg" w reżyserii Anny Wieczur. To opowieść nie tylko o wybitnym wykonawcy, ale także o świecie przedwojennej Warszawy i o muzyce, która przetrwała próbę czasu. W podobnym duchu utrzymane będą projekty prezentowane na Litwie, bo teatr ponownie odwiedzi Soleczniki i Wilno, przypominając postacie patrona swej sceny oraz Mieczysława Fogga.

Jednocześnie repertuar nie zamyka się w nostalgii. Powraca energiczna „Księżna Chicago", nie zabraknie też propozycji dla najmłodszych. Spektakle „Dzikie łabędzie" i „Mała syrenka", inspirowane twórczością Hansa Christiana Andersena, mają szansę stać się jednymi z najpopularniejszych rodzinnych wydarzeń sezonu. Tradycyjnie ważne miejsce zajmą również Koncert Noworoczny w Filharmonii Narodowej oraz Królewski Koncert w Dniu Kobiet na Zamku Królewskim.

Klasyka w sercu Warszawy

Jeżeli w teatrze szukamy przede wszystkim ponadczasowej literatury i intelektualnej rozmowy ze współczesnością, uwagę przykuwają propozycje jednej z najważniejszych i najbardziej prestiżowych scen dramatycznych w Polsce. – Rozpoczynający się sezon w Teatrze Polskim im. Arnolda Szyfmana w Warszawie będzie jak zawsze stał pod znakiem wielkiej literatury – zapowiada **ANDRZEJ SEWERYN**, który kieruje instytucją, a także pracuje na jej deskach jako aktor i reżyser.

Niezwykle ciekawie zapowiada się styczniowa prapremiera „Akropolis naszego" Tadeusza Słobodzianka w reżyserii Anny Wieczur. Spektakl będzie próbą przyjrzenia się jednemu z najważniejszych wydarzeń w historii polskiego teatru i przypomni twórczość Jerzego Grotowskiego oraz Józefa Szajny. To kolejny dowód na to, że Teatr Polski nie ogranicza się do prezentowania klasyki, ale podejmuje również refleksję nad polskim dziedzictwem teatralnym.

– W okresie Bożego Narodzenia, tradycyjnie, zaprosimy naszych widzów na familijny spektakl świąteczny. Rozbudowana wersja „Choinki z panem Andersenem" Janusza Majcherka w reżyserii Anny Skuratowicz będzie obfitować w niespodzianki nie tylko dla dzieci. Szczególnym wydarzeniem będzie marcowa wizyta Comédie-Française z „Pokojówkami" Jeana Geneta. Nie muszę przekonywać, że warto zobaczyć francuską klasykę w wykonaniu Francuzów. Sezon zamkniemy premierą „Księżnej d'Amalfi" Johna Webstera. Mroczny elżbietański thriller o zakazanej miłości i krwawej zemście wyreżyseruje, dobrze znany naszej publiczności, Dan Jemmett – sygnalizuje dyrektor.

Jednocześnie instytucja pozostaje miejscem spotkań i rozmów o sztuce. Obok premier organizuje warsztaty, festiwale młodzieżowe i cykle spotkań z twórcami.

W rytmie tradycji i świątecznych wzruszeń

Nowy sezon artystyczny Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze" im. Tadeusza Sygietyńskiego w Karolinie to zaproszenie do świata polskiej tradycji, muzyki i tańca. Publiczność miała już okazję zobaczyć premierowe widowisko „Mazowszem malowane – Wesele polskie" przygotowane na podstawie dramatu Stanisława Wyspiańskiego. A przed nią w najbliższych miesiącach m.in. pełne rozmachu „Betlejem Polskie" oraz koncerty kolęd i pastorałek, które wybrzmią zarówno w siedzibie zespołu, jak i podczas świątecznego *tournée* po kraju. To wydarzenia, które od lat gromadzą publiczność pragnącą przeżyć magię polskich świąt i folkloru.

Przed nami sezon premier, jubileuszy i wielkich nazwisk. Od Moliera po Millera, od Purcella po Fogga. Kolejne miesiące spotkań z teatrem, muzyką i kulturą na mazowieckich scenach. Nasze sceny przypominają, że choć zmieniają się czasy, dekoracje i artystyczne języki, niezmienne pozostają pytania o prawdę, wolność i ludzkie wybory.

Dziś szkicujemy najważniejsze premiery i wydarzenia, ale każdy sezon ma swoją własną dynamikę, najciekawsze zaś historie często pojawiają się również tam, gdzie najmniej się ich spodziewamy. Warto więc wciąż zaglądać do repertuarów i wracać na widownie. © MACIEJ PROLIŃSKI

Premiera spektaklu „Mazowszem malowane – Wesele polskie"



MATERIAŁY PRASOWE PZLPIT „MAZOWSZE"

eprasa.pl 7fab5216f4

WOJCIECH

Bonowicz: *Kiedy leżę*



Przydałaby mi się dodatkowa ręka. Albo dwie. Albo nawet trzy. Bo kotów jest pięć. I każdy kot potrzebuje jednej. Do karmienia, do głaskania, do wypuszczania na dwór i wpuszczania z powrotem. Owszem, nie potrzebują tych rąk jednocześnie, ale mam przecież jeszcze inne rzeczy do zrobienia. Na przykład teraz, kiedy piszę, Lusia leży mi na lewym przedramieniu i właściwie powinienem ją głaskać prawą ręką, zamiast pisać. I głaszczę. No ale co to za głaskanie, skoro nie ma w nim żadnego rytmu, bo rękę trzeba co jakiś czas odrywać, żeby stuknąć w klawiaturę. I w końcu Lusia podnosi się zniechęcona, bo taka pieszczota pozbawiona rytmu to żadna pieszczota. Albo głaskanie, albo pisanie.

Koty są najszczęśliwsze, kiedy jestem chory, leżę w łóżku i mało się ruszam. Taki chory, nieruchomy ja to jest znakomity obiekt do przytulania. Nawet kiedy kaszlę. Zniosą ten kaszel, bylebym tylko za dużo się nie wiercił i nie przewracał z boku na bok. Kiedy widzą, że jest bardzo źle, podchodzą i liżą mnie po brodzie i policzkach. Lusia kładzie się na lewym przedramieniu, Dzikus przy prawym boku, a Beksia w zagłębieniu między nogami. Leon nie przychodzi, to do niego trzeba chodzić. Leży w pokoju dziadka i czeka. A ponieważ kiedy jestem chory, nie kręcę się zbyt wiele po domu, nie tłukę się garnkami i nie odkurzam, to i koty są spokojniejsze, łatwiej się dogadują. Nawet Leon, który zazwyczaj goni Malusię, teraz śpi z nią na jednym łóżku niemal grzbiet w grzbiet.

Pani doktor, która w końcu po dwóch tygodniach kaszlu przepisuje mi antybiotyk, mówi, że zwierzęta są lepsze niż ludzie. No tak się mówi, ale ja nie jestem przekonany do podobnych porównań. Żyjemy inaczej i jednak w innych światach. Nie chciałbym, żeby sąsiedzi z wdzięczności przynosili mi co jakiś czas pod drzwi czyjeś zwłoki. Albo żeby wgryzali mi się w dłoń, kiedy przy powitaniu coś ich zdenerwuje. Natomiast kocią czułość niewątpliwie można by naśladować. Moja mama nie lubiła przytulania, mówiła, że to „kocia miłość". Teraz, kiedy mamy już nie ma, żałuję, że na starość nie podarowaliśmy jej kotki. Nie wiem, jak by się dogadywały, ale może mama nauczyłaby się przy niej czegoś, czego nie umiała. Niestety, sami nie zdawaliśmy sobie jeszcze wtedy sprawy, co koty potrafią zrobić z ludźmi, z którymi zamieszkają.

Może już tu kiedyś o tym wspominałem – jestem przekonany, że gdyby koty pojawiły się w naszym domu wcześniej, o wiele mniej bym napisał. Nie tylko dlatego, że trudno się pisze na klawiaturze jedną ręką. Chodzi raczej o to, że z pisaniem wiąże się silne odczucie upływającego czasu. A koty – pewnie zwierzęta w ogóle, ale koty w szczególności – bardzo mocno zakorzeniają nas w „teraz". Czas przy nich ulega zawieszeniu, a w każdym razie nie rozpada się na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Oczywiście, dzieje się tak nie tylko z powodu ich natury, ale przede wszystkim z powodu ich piękna. Nasze piękno jest ułomne, nie jesteśmy go pewni, boimy się je stracić. Koty nie starają się nam przypodobać, nie odczuwają też lęku, co stanie się z ich ciałem, kiedy przestanie być młode i silne. Trzeba przyznać, że w ich obecności również przyszłość naszego ciała przestaje mieć znaczenie. I dlatego tak dobrze się choruje w ich towarzystwie.

Wbrew powszechnemu przekonaniu koty nie są okrutne. Zabawy złapaną myszą nie są przejawem okrucieństwa, tylko instynktu łowieckiego. Czerpanie przyjemności z zadawania bólu to wymysł człowieka. Koty nie polują dla satysfakcji, ale dlatego, że robiły to na długo przedtem, zanim wymyślono puszki i saszety. Przykro znaleźć na wycieraczce martwego kosa, ale na szczęście nie zdarza się to zbyt często. Potrafią się bawić w inny sposób, nawet kawałek papieru może im zastąpić mysz lub ptaka. Umiejętności strzeleckie też można doskonalić na strzelnicy, a niekoniecznie w lasach. Czy wśród kotów zdarzają się seryjni mordercy?

Koty nie wiedzą, czym się zajmuję. Nawet teraz, choć leżą obok, nie wiedzą, że o nich piszę. Lusia podnosi na mnie zielone oczy i długo się we mnie wpatruje. Kiedy mrużę własne, inne koty odpowiadają podobnie. Ale Lusia w odpowiedzi rzadko mruży oczy, jest trochę jak dziecko, które dopiero poznaje świat i nie chce niczego stracić. Koty nie wiedzą, o czym piszę, więc mogę napisać, że Lusia jest najpiękniejsza ze wszystkich. Ale co to właściwie znaczy? Ma uszkodzone nerwy w tylnej części ciała, dlatego chodzi inaczej niż pozostałe koty, wysoko podnosząc nogi. Przez sen kopie nieraz tylnymi nogami, czuć, jak przez jej ciało przebiega coś na kształt prądu. Ma problemy przy wdrapywaniu się na wysokie łóżko czy wskakiwaniu na kolana. Ale ma też w sobie niezwykły wdzięk, który bierze się po trosze z tej niepełnosprawności, a po trosze z jej przezwyciężania.

Leon, Lusia, Malusia, Beksia i Dzikus. Pięć kotów dla pięciu rąk, które chciałbym mieć. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 7fab5216f4

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK SPECJALNY
„TP” 48/2026



MACIEJ JARZĘBIŃSKI / FORUM

Kultura tworzy przyszłość

2-5 czerwca przyszłego roku w Katowicach – Polskiej Stolicy Kultury 2027 – spotkają się artyści, twórcy, intelektualiści, decydenci i przedstawiciele instytucji kultury z całej Europy.

Przy wspólnym stole

NELA RIEHL, PRZEWODNICZĄCA KOMISJI KULTURY I EDUKACJI PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO:

Teatry, muzea, biblioteki – wszędzie tam ludzie nie tylko mogą się spotkać, ale też zyskać kompetencje niezbędne do tego, by krytykować nas, polityków.

PATRYCJA BUKALSKA: Dwa dokumenty: zaprezentowany w zeszłym roku „Kompas kultury” oraz deklaracja „Europa dla kultury – kultura dla Europy”, przyjęta przez główne instytucje Unii Europejskiej w czerwcu tego roku, po raz pierwszy stawiają kulturę w centrum unijnej polityki.

NELA RIEHL: Staram się, aby Komisja Kultury i Edukacji Parlamentu Europejskiego miała swoje stałe miejsce przy stole, również w dyskusjach dotyczących obronności. Głęboko wierzę, że w pierwszej kolejności powinniśmy chronić naszą kulturę, bo określa ona zarówno codzienne życie obywateli, jak i fundamentalne wartości europejskie.

Nie możemy również lekceważyć wyzwań związanych z ochroną przestrzeni cyfrowej, w tym mediów społecznościowych, które stanowią dziś istotną część naszej kultury. Obserwujemy tam aktywność rosyjskich wpływów i dezinformacji, dlatego musimy być świadomi tych zagrożeń i odpowiednio przygotowani, by im przeciwdziałać. ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ Z drugiej strony warto przyjrzeć się państwom takim jak Korea Południowa, skutecznie wykorzystującym kulturę jako narzędzie *soft power*. Koreańskie zespoły, jak BTS, zdobywają ogromną popularność i w istotny sposób wpływają na wizerunek Korei w Europie. Powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski i konsekwentnie inwestować w rozwój oraz promocję europejskiej kultury poza kontynentem.

Zwykle gdy myślimy o Unii Europejskiej, mamy skojarzenia z siłą ekonomiczną. Wspólnota powstała przecież ze względu na współpracę gospodarczą. Czy Unia może stać się potęgą kulturową?

Dziś pozostajemy zależni od kultury Stanów Zjednoczonych, której ogromne ilości wszyscy konsumujemy. Jednak w obliczu zmieniającej się sytuacji geopolitycznej i coraz mniejszej pewności co do stabilności USA jako partnera, musimy się nad tym zastanowić.

Jestem przekonana, że Unia Europejska dysponuje znakomitymi artystami i niezwykle bogatym dziedzictwem kulturowym. To potencjał, w który warto inwestować.

Zakres „Kompasu kultury" i wspólnej deklaracji jest bardzo szeroki, obejmuje zagadnienia związane z wolnością artystycznego wyrazu, warunkami pracy artystów, aż po wpływy AI. Jak to wcielić w życie?

Wciąż brakuje do tego odpowiednich ram i regulacji prawnych. Dotychczas kultura nie była traktowana jako obszar kompetencji unijnych, pozostawała przede wszystkim w gestii państw członkowskich. Dlatego w „Kompasie kultury" określiliśmy cele, do których realizacji Unia Europejska chce zachęcać państwa członkowskie i w której będzie je wspierać.

Kilka lat temu udało się zrobić ważny krok w tym kierunku, przyjmując Akt o wolności mediów (European Media Freedom Act). Choć również w tym przypadku była to dziedzina tradycyjnie należąca do kompetencji państw członkowskich, dostrzegliśmy, że dziennikarstwo śledcze znajduje się pod coraz większą presją. To skłoniło nas do podjęcia działań i stworzenia wspólnych ram ochrony wolności mediów.



VOLT

NELA RIEHL (ur. 1985) – niemiecka polityczka, europarlamentarzystka, przewodnicząca Komisji Kultury i Edukacji Parlamentu Europejskiego. Zanim została parlamentarzystką, pracowała jako nauczycielka. Urodziła się i wychowała w Hamburgu, ma niemiecko-ghanyjskie korzenie.

Podobne zjawisko obserwuję dziś w sektorze kultury. Podczas podróży, między innymi na Słowację, a także w moim rodzinnym kraju, w Niemczech, dostrzegam, że presja wywierana na środowiska artystyczne i instytucje kultury stale rośnie.

Widać, że nadszedł czas na kolejny krok – nadanie ram prawnych ustaleniom zawartym w „Kompasie kultury" i wspólnej deklaracji. Dlatego zabiegam o przyjęcie „Europejskiej ustawy o wolności artystycznej" (European Artistic Freedom Act), która zapewniłaby ochronę zarówno artystom, jak i szeroko rozumianej wolności wypowiedzi artystycznej oraz twórczości.

Żyjemy w coraz mniej stabilnym, zmieniającym się świecie i ktoś mógłby powiedzieć: to nie czas, by zajmować się sztuką, są ważniejsze sprawy. Z drugiej strony może to właśnie najbardziej odpowiedni na to czas, bo sztuka jest źródłem odporności jednostek i społeczeństw.

Absolutnie! Kiedy w ubiegłym roku byłam w Ukrainie, osoby, z którymi rozmawiałam, powiedziały mi coś, co wydało mi się niezwykle poruszające. Nawet w tak niebezpiecznych czasach, kiedy każde wyjście z domu wiąże się z ryzykiem, ludzie nadal chodzą tam do teatrów i muzeów. To pokazuje, że kultura jest jedną z podstawowych ludzkich potrzeb.

Po drugie, kultura ma dziś większe znaczenie niż kiedykolwiek wcześniej, ponieważ jest również częścią naszej wspólnej historii. Jeśli pozwolimy, by ktoś – na przykład Rosja – narzucał własną interpretację tej historii i zmieniał jej przekaz, może to mieć bardzo niebezpieczne konsekwencje. Jak już wspominałam, widzimy to w mediach społecznościowych, gdzie szerzona jest rosyjska dezinformacja, ale także w publikowanych książkach, które przedstawiają zniekształcony obraz historii. Wszystko to może destabilizować nasze społeczeństwa. Dlatego musimy być w tej kwestii stanowczy.

Wolność, szacunek dla odmienności, różnorodność – wiele europejskich wartości obecnych w sztuce i kulturze uczy współdziałania. Czy w czasach dezinformacji i polaryzacji społeczeństw sztuka może stać się platformą do wymiany poglądów?

Myślę, że to nie tylko platforma, to też miejsce spotkania. Teatry, muzea, biblioteki: wszędzie tam ludzie mogą się spotkać, wyrazić siebie, a także zyskać kompetencje niezbędne do tego, by krytykować nas, polityków. To bardzo ważne sztuka zawsze stanowi też formę krytyki. Myślę, że właśnie dlatego skrajna prawica stara się ograniczać wpływ sztuki.

Oczywiście, nie każdy rodzaj sztuki musi mi się podobać, ale to nie ma znaczenia. Chodzi o to, że w sztuce nigdy nie

eprasa.pl 7fab5216f4

powinno być miejsca na polityczne ingerencje. Moim zadaniem jest dopilnowanie, aby każdy w Unii Europejskiej mógł swobodnie wyrażać siebie.

Jedną z kwestii, która szczególnie niepokoi twórców, jest AI.

Musimy tu znaleźć równowagę. Dla mnie bardzo ważne jest, aby w centrum sztuki zawsze pozostawała ludzka twórczość. Jednocześnie przedstawiciele sektora kultury zwracali nam uwagę, że nie powinniśmy zakazywać korzystania ze sztucznej inteligencji, ponieważ są artyści, którzy chcą wykorzystywać ją w swojej pracy.

AI staje się częścią naszego codziennego życia, ale musimy zadbać o to, by nie odbywało się to kosztem ludzkiej kreatywności i by twórczość człowieka nadal pozostawała w centrum sztuki.

Musimy też jasno określić – a na ten temat w Unii Europejskiej wciąż toczy się zresztą intensywna debata – na jakich zasadach twórcy powinni otrzymywać wynagrodzenie za wykorzystywanie ich dzieł przez systemy sztucznej inteligencji. Ważne jest również ustalenie, w jaki sposób treści generowane przez AI powinny być oznaczane i identyfikowane. Już dziś zdarza się, że ludzie słuchają muzyki, nie zdając sobie sprawy, że została stworzona przez sztuczną inteligencję.

Ścierają się tu różne interesy, ale dla mnie, jako przewodniczącej Komisji Kultury, najważniejsze jest jedno: ludzka twórczość musi pozostać w centrum i musi być odpowiednio chroniona.

Wspólna deklaracja unijnych instytucji nosi tytuł „Europa dla kultury – kultura dla Europy". Sugeruje on, że jedno nie może istnieć bez drugiego. Europejska kultura jest przy tym niezwykle różnorodna.

To właśnie decyduje o naszej sile. Ludzie przyjeżdżają do Europy, bo chcą poznać nie tylko Francję i Włochy, ale też Polskę i Finlandię. To nasze bogactwo – sztuka, którą posiadamy, oraz nasza nadzwyczaj bogata historia, którą powinniśmy cenić. Dzięki temu mogą rozwijać się nasze społeczeństwa.

Jestem przekonana, że bez bogatej kultury nie bylibyśmy tymi samymi ludźmi. To dla mnie fundament Europy i coś, czego musimy dzisiaj bronić.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Kultura jest fundamentem demokracji

ALESSANDRA GARIBOLDI, PRZEWODNICZĄCA CULTURE ACTION EUROPE:

Polska dysponuje ogromnym potencjałem. Możecie dzielić się z innymi swoimi doświadczeniami w zakresie innowacji w sektorze kultury.

PATRYCJA BUKALSKA: Jak wygląda obecnie sytuacja kultury w Europie? Culture Action Europe – organizacja, której Pani przewodniczy – niedawno opublikowała raport w tej sprawie.

ALESSANDRA GARIBOLDI: Nasz raport ukazuje się co dwa lata. Zlecamy go niezwiązanemu z organizacją badaczowi, a następnie prosimy członków CAE, by przedstawili swoje obawy i opinie, a także wskazali kwestie, na które warto zwrócić uwagę decydentów i reszty społeczeństwa.

Obraz, który wyłania się z ostatniego raportu, jest niejednoznaczny. Z jednej strony nigdy wcześniej nie byliśmy tak obecni i doceniani – przynajmniej na papierze. Wśród europejskich instytucji ranga kultury jest całkiem wysoka. Pod koniec ubiegłego roku opublikowano „Kompas kultury" dla Europy, strategię kulturalną Unii Europejskiej, która jest niezwykle bogata, obiecująca i odzwierciedla wszystkie obawy sektora kultury.

Mamy więc dobrą strategię, która uznaje prawa kulturalne obywateli oraz wolność artystycznego wyrazu. Jest tam też duży nacisk na kwestię warunków pracy artystów oraz profesjonalistów sektora kultury. Mamy również nowe podejście, gdy chodzi o międzynarodowe relacje kulturalne – kultura nie jest w nich traktowana jako narzędzie dyplomacji, lecz jako sposób na wzajemne zrozumienie. To pozycjonowanie Unii Europejskiej i jej wartości w taki sposób, by pokazać, jak przestrzegać zasad demokracji, zamiast pouczać innych, jak powinni postępować. Jesteśmy więc w dobrej sytuacji, gdy chodzi o strategię, a politycznym wsparciem jest wspólna deklaracja przyjęta przez trzy główne instytucje Unii Europejskiej.

To deklaracja „Europa dla kultury – kultura dla Europy", która została podpisana w czerwcu przez przedstawicieli Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i Radę Unii Europejskiej.

Podkreśla ona znaczenie kultury nie tylko dla naszych wielorakich tożsamości dzisiaj, ale także, a nawet przede wszystkim, dla kształtowania tożsamości jutra. Kultura stanowi tu infrastrukturę, fundament demokracji. Z politycznego punktu widzenia zajmujemy zatem bardzo korzystną pozycję.

A w kategoriach praktycznych?

Cóż, w rzeczywistości, w tej właśnie chwili – choć nic nie jest jeszcze przesądzone i negocjacje wciąż trwają – pojawiła się propozycja cięć w głównym unijnym programie finansowania kultury AgoraEU. Środki, które w ciągu najbliższych siedmiu lat mają zostać przeznaczone na współpracę kulturalną, niezależne dziennikarstwo i społeczeństwo obywatelskie w Europie, mogą być obniżone o 30 proc. Tymczasem wolność artystyczna, także w krajach Unii, nigdy dotąd nie była tak zagrożona. Dzieje się to na wiele różnych sposobów – poprzez autocenzurę czy ograniczenie finansowania.

Do tego dochodzi AI. Sztuczna inteligencja wiąże się z ryzykami i szansami – powiedziałabym, że dla całej ludzkości – ale jednocześnie podważa samą istotę autorstwa i aktu twórczego. Nie są to łatwe czasy, zwłaszcza że ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ wszechobecna polaryzacja polityczna wykorzystuje kulturę do utrwalania określonych stanowisk i poglądów, zamiast służyć przezwyciężaniu podziałów i poszukiwaniu płaszczyzn porozumienia.

Zdefiniowanie problemów i zagrożeń jest ruchem w dobrym kierunku, podobnie jak fakt, że kultura po raz pierwszy znajduje się w centrum unijnej polityki. Jak jednak zrobić kolejny krok i sprawić, by ta wizja stała się rzeczywistością?

To właśnie kluczowy moment – przejście od rozpoznania do sprawczości. Mam tu na myśli wszystko to, co można i powinno się zrobić, aby wzmocnić ekosystemy kulturowe. Kultura – w szerokim tego słowa znaczeniu – jest wszędzie, czy nam się to podoba, czy nie. Zagrożone są jednak wolność twórcza oraz środowiska intelektualistów, twórców, artystów, pisarzy – wszystkich tych, którzy kształtują nasze wyobrażenia w sposób pluralistyczny. Ci ludzie i organizacje, w których pracują, otwierają nam różne możliwości rozumienia świata i wyobrażania sobie różnych sposobów wspólnego życia, zamiast jedynie utrwalać dotychczasowe narracje.

Nie jest to łatwe, ale w Culture Action Europe dążymy przede wszystkim do tego, by nasz głos był lepiej rozumiany. Jest to dość złożone zadanie, ponieważ musimy wyjaśnić obywatelom – którzy mają przecież własne, w pełni uzasadnione troski – że ta kwestia jest i dla nich istotna; że bez tego elementu – infrastrukturalnego składnika naszych demokracji – sama demokracja ulega osłabieniu, a tym samym nasz sposób wspólnego życia staje się zagrożony. Potem ten argument trzeba przenieść na poziom polityczny.

W przyszłym roku w Katowicach odbędzie się kongres Europe BEYOND współorganizowany przez Culture Action Europe, a ze strony polskiej przez Narodowe Centrum Kultury. Czy jest to możliwość, by głos ten w pełni wybrzmiał?

Kongres w Katowicach jest dla nas bardzo ważny, bo pozwoli zestawić siłę sektora kultury – jego niezwykły potencjał, odporność, kreatywność i profesjonalizm – z głosami przedstawicieli świata polityki. Naprawdę ważne jest, by politycy rozumieli wartość kultury. To leży w interesie nas wszystkich.

Jako trzy wiodące tematy spotkania w Katowicach wyznaczono sprawczość, wyobraźnię i odporność.

W „Kompasie kultury" podkreśla się, że kultura ma kluczowe znaczenie dla odporności jako zdolności społeczeństw do wzajemnego zrozumienia, bycia silnymi, do zmiany, oporu, stawiania czoła trudnym momentom i wypracowywania nowych rozwiązań. W dzisiejszych konfliktach nadal to kultura pomaga ludziom trzymać się razem.

W getcie warszawskim działało pięć teatrów. To jeden ze sposobów, w jaki my, ludzie, stawiamy opór, w jaki nadajemy znaczenie i sens temu, co nas otacza. Jest to coś, bez czego nie bylibyśmy w stanie razem żyć, wyobrażać sobie nowych sposobów działania.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że w różnych częściach Europy odporność może oznaczać coś innego. W Polsce i krajach bałtyckich, które graniczą z Rosją, odporność jest mocnym argumentem samym w sobie. Z kolei w małych wiejskich społecznościach kultura, tożsamość, zbiorowe rytuały mogą wzmocnić więzi między ludźmi.

Mamy mnóstwo dowodów na to, że kultura wzmacnia odporność. W tym też taki, że ci, którzy są zainteresowani destabilizacją społeczeństw, sięgają właśnie po kulturę jako narzędzie. To swego rodzaju paradoks, że rządy autorytarne dostrzegają wartość kultury znacznie wyraźniej niż rządy demokratyczne – i oczywiście aktywnie wspierają własną wizję kultury. Wykorzystują ją wiedząc, że mogą nie tylko wpływać na sposób postrzegania rzeczywistości, ale wręcz kształtować rozumienie świata. Dlatego demokratyczna odporność jest tak ważna. Kultura jest fundamentem demokracji.

Zwykle nie mówimy w ten sposób o demokracji.

To bardzo ważne. Pokutuje przekonanie, że bez kultury można się łatwo obejść. Nie można i już – choć pamiętajmy przy tym, że są bardzo różne formy kultury. Istotne jest też to, że – szczególnie na poziomie europejskim – kultura oznacza współpracę między krajami i ta współpraca kulturalna to coś więcej niż tylko sama kultura.

Ona świadczy o tym, co wspólnie stworzyliśmy. Wspólne rozumienie europejskiej przestrzeni kulturalnej wcześniej nie istniało – my je stworzyliśmy, tworząc powiązania, budując wzajemne zrozumienie. A przy tym stawiając czoło wyzwaniom, bo jesteśmy przecież na tym



W dniach **2-5 czerwca 2027** roku w Katowicach spotkają się artyści, twórcy, intelektualiści, decydenci i przedstawiciele instytucji kultury z całego kontynentu. Będą rozmawiać o wyzwaniach społecznych, geopolitycznych i technologicznych, które ukształtują Europę w nadchodzących latach, oraz o roli kultury w tych przemianach. Wydarzenie zostanie zorganizowane z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Szczegółowe informacje o programie, zasadach udziału i rejestracji zostaną opublikowane w kolejnych miesiącach na stronie Narodowego Centrum Kultury.

Współorganizatorzy / Co-organizers

Instytucje finansujące / Funding institutions:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach zadania: Przygotowania do Europejskiego Kongresu Kultury Europe BEYOND

Dofinansowane przez Unię Europejską

Partnerzy / Partners:

Instytut Narutowicza

Instytut Adama Mickiewicza

Katowice Miasto Ogrodów

Muzeum Śląskie

eprasa.pl 7fab5216f4

kontynencie tak bardzo różni, choć jednocześnie bliscy sobie.

Zastanawiałam się, czy jest możliwe znalezienie jakiegoś jednego podejścia do kultury w Europie, właśnie ze względu na jej różnorodność kulturową i językową.

Nie musimy dążyć do jednolitego podejścia, ważne, by tworzyć warunki, w których różnorodność może rozkwitać. Należy stworzyć jak najmocniejsze ramy, które będą stanowiły platformę wspierającą kulturę. Chodzi o zbudowanie i zabezpieczenie przestrzeni, w której kultura może zaistnieć.

Jeśli nie zapewni się wszystkim obywatelom pełnego dostępu – na przykład możliwości zostania artystą, tworzenia czy pracy w sektorze kultury – to w praktyce utrwala się istniejące nierówności i powiela dawne schematy.

Jeśli zaś umożliwi się wszystkim taki dostęp – co oznacza, że nie tylko doświadczanie kultury, ale także możliwość jej tworzenia staje się dostępna dla każdego – to każdy zyskuje swój własny głos.

Dlatego właśnie uczestnictwo w kulturze jest obecnie postrzegane w kategoriach praw kulturalnych – koncepcji zakładającej, że każdy człowiek ma prawo do twórczej ekspresji, a nie tylko do czerpania przyjemności z kultury.

W rzeczywistości istnieje jednak tak wiele barier, że trzeba nie tylko tworzyć przestrzeń do działań twórczych, ale jednocześnie zająć się podstawowymi przyczynami nierównego dostępu do sztuki.

Sztuka sama w sobie stanowi przestrzeń, w której można przypomnieć sobie o własnym człowieczeństwie – wykraczając poza codzienne czynności. Sztuka pozwala nam również gromadzić się wokół symboli, co może być pomocne w mierzeniu się z konfliktami. Jeśli zbudujemy taką strefę, artyści mogą przesuwać granice naszych przekonań, poglądów i wierzeń. Nie chodzi tu o zastępowanie jednych narracji innymi, lecz o zrozumienie, że istnieje wiele różnych narracji – a w tym właśnie zawiera się potencjał emancypacyjny.

W spolaryzowanym świecie często zapominamy o tym, że inne narracje istnieją, tracimy zdolność ich odczytywania. W świetle tego, o czym mówimy, wydaje się, że kongres Europe BEYOND w Katowicach może stać się taką właśnie platformą wymiany poglądów i planowania działań.



CHRISTOPH LIEBENTRITT

ALESSANDRA GARIBOLDI (ur. 1974) jest przewodniczącą Culture Action Europe – głównej europejskiej sieci międzysektorowej zrzeszającej sieci kulturalne, organizacje, artystów, aktywistów, naukowców i decydentów. Jako badaczka, wykładowczyni i doradczyni specjalizuje się w projektowaniu oraz ewaluacji polityki kulturalnej, koncentrując się przede wszystkim na uczestnictwie w kulturze, wpływach społecznych oraz rozwoju lokalnym opartym na kulturze.

Nasz kongres organizujemy co dwa lata. Bardzo potrzebujemy platormy, która pozwoli nam wspólnie zabrać głos. Rozdrobnienie jest największym wrogiem sprawczości, musimy działać razem. Jednocześnie ta platforma umożliwi nam połączenie trzech płaszczyzn: politycznej, intelektualnej oraz oddolnej. To niezwykle istotne, by wszystkie te siły były obecne – każdy z nas ma tu swoją rolę do odegrania i swoją odpowiedzialność wobec społeczeństwa: artyści, decydenci, instytucje kulturalne. A fakt, że spotkamy się w Polsce, jest dla nas szczególnie ważny.

Dlaczego?

Z jednej strony Polska może stanowić reprezentację całego regionu Europy, który czuje się zagrożony, a z drugiej – dysponuje ogromnym potencjałem, także w wymiarze dziedzictwa i współczesnej twórczości. Może dzielić się doświadczeniami w zakresie innowacji w sektorze kultury – jak wspieranie przemysłów kreatywnych czy wzmacnianie społeczeństwa obywatelskiego, wykraczające poza wsparcie dla samych wielkich instytucji.

Co więcej, w Polsce przebywa obecnie jedna z najliczniejszych ukraińskich społeczności artystycznych poza granicami kraju. Dzięki temu Polska staje się miejscem, w którym wszystkie zaangażowane strony mogą prowadzić poważną dyskusję o tym, czym jest kultura oraz co możemy – i musimy – zrobić, aby uczynić ją silniejszą z myślą o przyszłości Europy.

Widzimy więc to wydarzenie jako swego rodzaju forum kultury: miejsce, gdzie wszyscy możemy się zgromadzić i wspólnie przedyskutować dalsze kroki.

Jest w tym optymistyczna nuta, mimo wszystkich wyzwań, o których mówimy.

Trzeba realistycznie oceniać zagrożenia, ale też zachować optymizm; w przeciwnym razie nie zajmowalibyśmy się kulturą! Tworzenie kultury jest w gruncie rzeczy aktem nadziei – to właśnie czyni nas ludźmi. Bez tego nie bylibyśmy nawet w stanie wyobrazić sobie lepszego świata.

Jesteśmy w dobrej pozycji – być może lepszej niż ktokolwiek inny – by wyobrażać sobie alternatywy wobec tego, co przedstawia się nam jako jedyne możliwe rozwiązania: konflikty, wojny, katastrofę ekologiczną, utratę miejsc pracy z powodu sztucznej inteligencji, która rzekomo ma nas wszystkich zabić... Możemy zmienić narrację, ale także wyobrazić sobie odmienne przyszłości – na tym polega nasza siła.

Musimy być optymistami – to jedyny sposób, by stawić czoło wyzwaniom. W przeciwnym razie nie pracowalibyśmy w najgorzej finansowanym i najmniej stabilnym sektorze. Musimy wierzyć, że nadal coś możemy zrobić. Nie popadajmy w rozpacz, nie poddawajmy się jej.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

eprasa.pl 7fab5216f4

Stolica kultury

ZBIGNIEW ROKITA

Trwa giełda pomysłów, jak Katowice mogą wymyślić się na nowo. W ciągu ostatniego pokolenia zaszła tu rewolucja, której mało kto się spodziewał.

Katowice nie zostaną Europejską Stolicą Kultury 2029, otrzymały za to coś na osłodę – w przyszłym roku będą pełnić rolę Polskiej Stolicy Kultury. Poprzedni bój o europejski tytuł stoczyły dekadę temu – i same starania przyniosły im wówczas taki skok cywilizacyjny, jaki Wrocław przeżył po wielkiej powodzi czy – zachowując proporcje – Polska wskutek przygotowań do Euro 2012. Dziś stolica województwa śląskiego jest już w innym miejscu, ale tamta lekcja pozostaje istotna. Tytuł Polskiej Stolicy Kultury przyznawany miastom, które przegrały w finale z Lublinem, wiąże się z dodatkowymi funduszami i zachętą do roboty. To dobrze, bo katowickiej kulturze mocny kopniak wyjdzie tylko na zdrowie.

Sam miałem nadzieję, że aglomeracyjnym kandydatem będzie nie najsilniejsze z tutejszych miast, a któryś z ośrodków, które bardzo potrzebują rozwojowego impulsu, mając wiele do zaoferowania: Tychy, Bytom czy Sosnowiec. Tytuł nie musi przypaść największemu: wszak w ostatniej dekadzie większość miast, które otrzymały tytuł ESK, stanowiły ośrodki liczące poniżej 100 tys. mieszkańców, a największym było duńskie Aarhus.

W rzeczywistości jednak, choć Polską Stolicą Kultury zostaną Katowice, to tak naprawdę będzie nią cała składająca się z 26 miast i kilkunastu gmin metropolia śląsko-zagłębiowska. To dwa i pół miliona ludzi, których miasta przelewają się jedno w drugie, którzy łatwo mogą korzystać z kultury w całym regionie: mieszkając w Gliwicach jeżdżą do Teatru Rozrywki w Chorzowie, a żyjąc w Rudzie Śląskiej – do Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu. Zresztą, z katowickiego budżetu na PSK można finansować również imprezy kulturalne w innych dookolnych ośrodkach i zyskają na tym wszyscy.

Dwie strony

Wielu wciąż pyta Ślązaków: „Co zrobicie po węglu?". Tymczasem my już od dawna żyjemy „po". Zostało niewielu zatrudnionych górników i niewiele otwartych kopalni (parę miesięcy temu ostatni wagonik wyjechał z KWK Wujek). Czasem udaje się dobrze wykorzystać szansę, jaką przynosi zwijanie się przemysłu. Powstają w ten sposób ogromne wolne działki w centrach miast, rzecz niemożliwa w Krakowie czy Poznaniu. Czasem przekształca się je w galerie sztuki (Szyb Wilson na Nikiszowcu), a najbardziej spektakularnym przykładem takiej transformacji jest katowicka Strefa Kultury z NOSPR, Muzeum Śląskim i Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Znajduje się w samym centrum miasta, przy Spodku, w miejscu po KWK Katowice.

Trwa giełda pomysłów, jak Katowice mogą wymyślić się na nowo. Uniwersytet Śląski lansuje hasło „Nauka to nowy przemysł Śląska", uczelnie mają się dobrze, w mieście inspirującej architektury (od wilhelmińskich kamienic przez osiedla familoków, modernę czy *space age* po nowoczesną architekturę jak katowicka filmówka) powstają kolejne szklane domy, w których mości się biznes, turyści coraz częściej wysiadają na tutejszym dworcu, który już nie straszy, i jadą już nie tylko na Nikisz. Przybywa miejsc z dobrą gastronomią, a w corocznym rankingu Business Insider, dotyczącym jakości życia w miastach wojewódzkich, Katowice zajmują 4. miejsce pod względem zarobków oraz 1. pod względem dostępności mieszkań. Zbyt laurkowo zabrzmiałoby, gdybym napisał, że to miasto zaskakująco dla wielu zielone i dobre do życia – ale cóż poradzić, skoro tak jest.

Jasne, powstałe pod koniec XIX w. jako miasto urzędnicze Katowice dopiero uczą się nosić swoje stołeczne ciało i jest tu mnóstwo do zrobienia: uwięziona w betonowym korycie rzeka Rawa nie cieszy oka, przechodząc obok wielu kamienic boimy się, aby nic nie spadło nam na głowę, miasto panoszących się deweloperów szybko się wyludnia, a ławki w jego centrum opanowali mężczyźni i kobiety w stanie upojenia. Zdjęcia nowoczesnych Katowic wykonuje się zawsze w tych samych paru lokacjach. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w ciągu ostatniego pokolenia zaszła tu pozytywna rewolucja, której mało kto się spodziewał.

Być może jednak tym, co Katowice mają najciekawszego do zaoferowania, jest kultura, a także nieznana większości współobywateli opowieść, jaką snuje Śląsk.

Play!

To opowieść dla wielu bluźniercza, a spośród śląskich miast Katowice artykułują ją najgłośniej.

Dobiega ona m.in. z teatru – to tu znajdują się dwie najważniejsze dla śląskiego odrodzenia sceny: teatry Śląski i Korez. To tam po raz pierwszy tak głośno wybrzmiał ze sceny język śląski. Przełomowy był spektakl „Cholonek". Po 22 sezonach, tej jesieni, wspaniała szóstka aktorów skończyła go grać, a dwa tygodnie później zmarł jej autor, blisko stuletni Janosch.

Kolejną sztuką, która odbiła się szerokim echem, była „Mianujom mie Hanka" według tekstu Alojzego Lyski w wykonaniu Grażyny Bułki – zrobiła zawrotną karierę, była grana m.in. w parlamentach polskim i europejskim, Hanka stała się nową twarzą regionu, a adaptacja Teatru Telewizji była jednym z najchętniej oglądanych przedstawień w ostatnich latach.

To też całe mnóstwo sztuk zarówno po śląsku („Hamlet", „Drach" czy „Tkocze"), jak i po polsku („Łaskawe" czy „Empuzjon", którego światowa premiera odbyła się w Śląskim). Coraz czę-

eprasa.pl 7fab5216f4



PRZEMYSŁAW JENDROSKA / TEATR ŚLĄSKI

„Tragedyjo Hamleta, ksiyncia Dynymarku", reż. Robert Talarczyk, Teatr Śląski w Katowicach

ściej mówi się o śląskiej scenie teatralnej jako trzeciej w Polsce, po warszawskiej i krakowskiej. Wiele z tych sztuk Polskie Radio Katowice przekuło w słuchowiska, które w ostatnich latach podbiły m.in. Festiwal Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji „Dwa Teatry".

Teatr jest jednym z miejsc, gdzie uwidacznia się jedno ze śląskich pasm pamięci: to bardziej heretyckie, niepokorne i krytyczne. Aby poznać inne pasmo, bardziej polskocentryczne, można udać się do katowickiej archikatedry, aby zobaczyć Panteon Górnośląski.

Znacznie słabiej wypada literatura. W mieście, o którym tak dużo się pisze i które aspirowało do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury, nie ma żadnej nagrody literackiej czy rezydencji, do niedawna nie było też festiwalu literackiego, a miejscowy poeta Marcin Musiał trafnie ostrzegał, że Katowice mogą się stać największym europejskim miastem bez ani jednej księgarni. Literatura nie zajęła też istotnego miejsca we wniosku Katowic o tytuł ESK – hasło kandydatury brzmiało „Play!" i odnosiło się do e-gamingu.

Życie literackie jednak powoli się budzi, a wiodącą rolę odgrywa tutaj Biblioteka Śląska. Nie do przecenienia jest też fakt, że miejscowymi instytucjami zarządzają ludzie, którym literatura nie jest obojętna: Uniwersytetem Śląskim Ryszard Koziołek, Muzeum Śląskim Łukasz Galusek, Teatrem Śląskim Robert Talarczyk, ASP Grzegorz Hańderek, a Biblioteką Śląską – Artur Madaliński. Filozofowie na tronach.

Na balkonie

Być może jednak najbardziej Katowice kojarzą się z muzyką, są zresztą jednym z dwóch – obok Bydgoszczy – polskich Miast Muzyki UNESCO. Zachwyca sala koncertowa NOSPR, uchodząca za jedną z najlepszych pod względem akustyki w Europie, masowe koncerty odbywają się w Spodku, miasto gości wielkie festiwale jak Rawa Blues Festival, Tauron Nowa Muzyka czy OFF Festiwal, który mam przyjemność słyszeć z balkonu. Zachwyca kampus należącej do ścisłej polskiej czołówki Akademii Muzycznej. A tradycje muzyczne są tu silne: od Paktofoniki po Wojciecha Kilara. Tego ostatniego miejscowi pokochali nie tylko za słynne słowa: „Odkąd zbudowano w Pyrzowicach lotnisko, Warszawa nie jest mi potrzebna".

Jest też kino: to dziedzictwo Kazimierza Kutza, Lecha Majewskiego i Macieja Pieprzycy czy wybitne scenografie Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego (ostatnio w „Ojczyźnie" Pawła Pawlikowskiego), obchodząca w tym roku 80-lecie prężnie działająca Silesia Film (koprodukowała m.in. nagrodzoną w Cannes „Strefę interesów" Jonathana Glazera) czy Kino Światowid, uhonorowane w tym roku prestiżową nagrodą PISF jako najlepsze kino w Polsce.

Ta lista mogłaby być znacznie dłuższa. To powód do radości.

Za dużo

Niedawno, podczas jednej z publicznych debat, ktoś z widowni krzyknął: „Ile można rozmawiać o kulturze na Śląsku? Nic tylko rozmowy o kulturze – a przecież są też inne tematy!". Tak, na Górnym Śląsku o kulturze dyskutuje się dużo, choć w 1989 r., a nawet w 2010 r. zarzut, że kultura zdominowała śląską debatę, byłby nie do wyobrażenia. Wskutek m.in. upadku takich projektów jak śląska autonomia czy uznanie języka śląskiego i brak idących za nim funduszy, na Śląsku kultura zastąpiła politykę.

Sprzyja temu liczba mieszkańców aglomeracji, śląski widz to widz masowy. Dla przykładu, w 2024 r. mieszcząca się w imponującym gmachu Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia przyciągnęła blisko ćwierć miliona widzów, a Teatr Śląski niemal 100 tys. Dla porównania, w sezonie 2025/2026 na piłkarski GKS Katowice przyszło nieco ponad 200 tys. kibiców – a mowa o sezonie, w którym GKS otworzył nowy obiekt i w znakomitym stylu po wielu latach wywalczył prawo do gry w europejskich pucharach.

Śląski widz udowadnia, że kultura może być popularniejsza od piłki, a politykom przypomina, że grzać warto się nie tylko w świetle gwiazd sportu. Mam nadzieję, że i oni wpadną na wydarzenia, które szykują się w mieście. ©

ZBIGNIEW ROKITA jest reporterem, autorem m.in. „Odrzanii", „Aglo" i nagrodzonej podwójną Nike książki „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 48/2026
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz

WSPÓŁPRACA: NARODOWE CENTRUM KULTURY

eprasa.pl 7fab5216f4

KULTURA

HERBATKA Z BONDEM

Nagroda Bookera miała stać się ambasadorką najlepszej światowej prozy – często tworzonej poza geograficznymi granicami Zjednoczonego Królestwa. Oto jej historia.

ALEKSANDRA MAJAK



DAVID PARRY DLA BOOKER PRIZE FOUNDATION

eprasa.pl 7fab5216f4

Trudno dziś wyobrazić sobie, że charyzmatyczny wydawca Tom Maschler zazdrościł kiedyś francuskiej Prix Goncourt i martwił się, że brytyjski rynek nie ma „wystarczająco ważnej" nagrody. Dziś pozycja Nagrody Bookera – od 1969 r. poszukującej najlepszej, według kapituły, powieści w języku angielskim – jest tak silna, że martwić można się raczej o znikomą widoczność innych nagród, szczególnie tych spoza kręgu angielszczyzny.

Nagroda Bookera kojarzy się nie tylko z prestiżem, wysokimi słupkami sprzedaży i dopracowanym brandingiem, ale z całą gamą kontrowersji, skandali i pominięć, które od lat towarzyszą dorocznej wyprawie w poszukiwaniu Świętego Graala o nazwie „proza środka". Efekt wyprawy zależy od tego, kto szuka. A że co roku szuka kto inny (zaproszone do obrad osoby dołączają do „klubu" Bookera, a co za tym idzie do jego strategii promocyjnych), to Nagroda stale poszerza pole wpływu.

Przez ostatnie dziesięć lat, odkąd prezeską jest Gaby Wood, zadbano szczególnie o inkluzywność, dywersyfikację kapituły i element zaskoczenia. Historia Nagrody jest wielowątkowa, przyjrzyjmy się zatem jej początkom.

Procenty

Na planie zagospodarowania literackiej przestrzeni jasno widać, że Booker ma słabość do narracji o stawianiu mostów: między sukcesem artystycznym a komercyjnym; kulturowym centrum a peryferiami; eksperymentalną formą a poczytną fabułą. Koniec końców kto jak nie zespół nagrody literackiej ma mieć głębszą świadomość, że świat przedstawiony trzeba najpierw sobie skonstruować, ale potem umieć go jeszcze dobrze opowiedzieć?

To pytanie, które, mówiąc wprost, dotyczy konstruowania kulturowego prestiżu, jest nieco zaczepne. Paradoksalnie dlatego, że lubię Nagrodę Bookera: jej dynamizm, nieprzewidywalność i tradycję zapraszania do obrad tzw. *the established outsider*, czyli osoby spoza literackiego establishmentu. Poza tym cenię powstałą w 2005 r. International Booker Prize, która od 2027 r., w ramach dwukrotnego zwiększenia budżetu, doda do nazwy przedrostek „Bukhman".

Wygrana wynosić ma 100 tysięcy funtów, co – dzielone równo między autora/ /kę a tłumacza/kę – dorównuje stawce „głównego" Bookera, będącego (obok The Dublin Literary Award oraz Nagrody Nobla) jedną z bardziej lukratywnych nagród. Można mieć nadzieję, że wraz z dofinansowaniem wzrośnie też pozycja książek w przekładzie. Choć może nie powinnam narzekać, na ospałym rynku Wielkiej Brytanii przez ostatnie dwie dekady ich pula i tak wzrosła o 31 proc.

Zaczynam od zaczepnego pytania, bo im bardziej coś lubimy, z tym większym oporem przychodzi nam zadawanie szczerych pytań, na które nie ma wygodnych odpowiedzi. Ja piszę dlatego, że nie jest dla mnie jednoznaczne, czy Booker jest dziś wyznacznikiem jakości, czy głównie maszyną promocji. Nagrody z założenia są kontrowersyjne, bo wybór zawsze jest dialektyczny względem rynku: utwierdza osoby czytające w przekonaniu o jakości książki, albo doprowadza do polemik i deprecjacji wyboru. Sprzedaż wskazuje, że jako czytelnicy chcemy ocenić sami, a jednocześnie już jesteśmy zaprogramowani na pozorną suwerenność naszej oceny.

W ciągu zaledwie tygodnia po ogłoszeniu wyników sprzedaż zwycięskiej książki potrafi wzrosnąć o 880 proc., jak w przypadku „Mleczarza" (2018) autorstwa Anny Burnes, 1340 proc. – w kontekście Bernardine Evaristo nagrodzonej za powieść „Dziewczyna, kobieta, inna" (2019), czy o 1900 proc., jak było z książką „Shuggie Bain" (2020) autorstwa nominowanego też w tym roku Douglasa Stuarta. Fenomen znany jest jako „Booker boost".

Wraz z rozwojem i dominacją kapitalizmu zmieniały się nasze oczekiwania wobec rynku książki. Szczegółowo pisał o tym James F. English w klasycznej dziś książce o ekonomii prestiżu. Specjalista od angielskiej literatury przyglądał się niebywałemu wzrostowi znaczenia nagród, mechanizmom tego, co nazwał wewnętrzną konwersją kapitału (zamiana prestiżu na finansowy zysk), globalizacji rynku, a także temu, jak pod wpływem mediów nagrody stają się formą ceremonii, spektaklu.

Archiwum

Nagroda Bookera spełnia postulaty tego spektaklu wzorcowo. W jej repertuarze znajdują się: publiczne czytanie przez nominowane autorki i autorów książek z shortlisty, sesje zdjęciowe kapituły, wywiady, odgrywane przez aktorów interpretacje fragmentów tekstów z selekcji oraz instagramowy kanał pełen interaktywnych quizów, które podpowiedzą, co czytać. Także strona internetowa serwuje wiele treści – podsumowań, streszczeń, cytatów, statystyk; jest ich tak dużo, że nawet jeśli są profesjonale i pomocne, coraz trudniej jest sformułować własną myśl czy zdanie, które wyszłyby poza obserwacje zawarte w podpunktach z materiałów prasowych Nagrody.

Czy branding Bookera zawsze poprowadzony był z taką konsekwencją? Gdzie znajdę tekst w oryginalnej formie, sprzed okraszenia go podsumowaniem czy streszczeniem? Te pytania sprawiły, że jesienne popołudnia spędzam w archiwum Bookera – części kolekcji biblioteki Brooks University.

Archiwa mają to do siebie, że znajdujemy w nich materiały, których nie szukaliśmy. Na przekór zorganizowanym folderom zaczyna interesować nas to, czego brakuje, lub czego nie sposób skatalogować. Oczywiście cała ta literacko-detektywistyczna praca dostarcza przyjemności, a praca wiąże się z etycznym pytaniem o to, co wybieramy, a co pomijamy. Niedawno miałam okazję porozmawiać o tym z legendarną biografką i akademiczką Hermione Lee. Mówiła ona, że istnieje rodzaj szczególnej relacji między tym, jak życie jest przeżywane, a jak jest opisywane. „Ludzie mają w zwyczaju żyć obecną chwilą, podczas gdy narracja formuje życie w stronę momentów przełomowych, będzie chciała unaocznić progres, rozwój, nadać ciągowi momentów sens i kształt" – wyjaśniała Lee dodając, że sama podchodzi do takich manewrów z ostrożnością. ↦

Tegoroczną Nagrodę Bookera otrzymała powieść „The End of Everything" **M. JOHNA HARRISONA** (na zdjęciu) – dystopijna, przewrotnie satyryczna wizja świata po katastrofie. Jej bohaterem jest Phillip Tennent, zbieracz przedmiotów wyrzucanych przez morze na wybrzeżu Kentu. Kiedy mężczyzna wyławia z wody tajemniczy, zmieniający kształty obiekt, rozpoczyna się osobliwa podróż w głąb świata, w którym dawne reguły przestały obowiązywać. Polski przekład powieści wyda w przyszłym roku Karakter.

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ Rzeczywiście, z setek dokumentów wydobywamy najsmaczniejsze kąski; powolne godziny pracy zamieniamy w budującą napięcie opowieść, ba, zaczynamy być podejrzliwi wobec samego archiwum jako miejsca instytucjonalnego uznania wartości tego, co archiwizowane. Można zarzucić mi przesadę, napomnieć, że praca w archiwum to nie film o Bondzie, ale właśnie wtedy do archiwum Bookera wkracza Bond, James Bond.

Pieniądze

Zasadniczo wkracza nie tyle fikcyjna postać, ile pieniądze zarobione przez Iana Fleminga – twórcę postaci agenta 007. Już mówię, o co chodzi. Pierwszy list, na który trafiam w archiwum, pochodzi z 6 maja 1968 r. Maschler zwraca się w nim do przewodniczącego „sekcji autorów" w firmie Booker Group Limited, Charlesa Tyrella.

Historia firmy sięga 1835 r. i związana jest z transportem morskim i przemysłem cukrowym, który był wówczas częścią kolonialnego biznesu dawnego imperium. W 1972 r. nagrodzony za powieść „G." John Berger w przemowie „I have to turn this prize against itself" potępił sponsorów Nagrody, przypominając o roli, jaką firma McConnell Plc. odegrała w kolonialnej eksploatacji Gujany. Połowę pieniędzy z nagrody przeznaczył on na wsparcie ruchu Black Panthers, co do dziś pozostaje ważnym punktem w historii Bookera oraz społecznej percepcji Nagrody.

Wcześniej, w 1952 r., więc czternaście lat przed uzyskaniem przez Gujanę suwerenności, dyrektorem firmy zostaje znany z zaangażowania w liberalne i demokratyzujące ruchy polityczne i społeczne Jock Campbell. Można zastanawiać się, jak ocenić działania, które skupiały się na poprawie sytuacji klasy subalternej, jeśli sam kontekst jest z gruntu niesprawiedliwy. Pytanie o to, czy możemy usprawiedliwiać czyny historycznie, zasługuje na osobny tekst.

Pozostawiam te kwestie bez odpowiedzi i wracam do tego, skąd wzięła się w tej historii sekcja autorów. Cóż, na skutek prywatnych koneksji i zbiegu okoliczności, czyli tego, co jako historycy i historyczki literatury lubimy (przynajmniej komparatyści lubią) nazywać wpływem. Wpływ miał tu golf. Campbell grywał nieraz z Flemingiem i zaprzyjaźnili się.

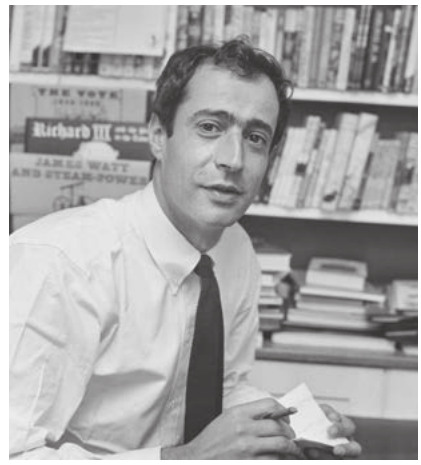

EVENING STANDARD / HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Współtwórca Nagrody Bookera Tom Maschler, 1966 r.

Kiedy szkocki biznesmen dowiedział się o chorobie kolegi, spotkali się przy „dziewiętnastym dołku", jak mówi się o barze dla golfistów.

Ponoć Fleming radził się Campbella, jak mógłby ulokować fundusze, by zabezpieczyć rodzinę. Szukając sposobu na uniknięcie podatku, sprzedał firmie 51 proc. praw do franczyzy, a finansowy sukces zachęcił Booker Group do nabywania kolejnych praw. Do „sekcji autorów" dołączą później Agatha Christie, Dennis Wheatley czy Harold Pinter, których niestandardowa interpretacja prawa podatkowego wychodzi poza interpretacyjne kompetencje autorki.

Francuzi

Od 1960 r. Maschler był związany z wydawnictwem Jonathan Cape, którego nakładem ukazywały się książki o przygodach 007. Doskonale więc wiedział, do kogo i po co się zwraca. W liście z 6 maja proponował ufundowanie nowej nagrody literackiej, która będzie co najmniej tak znacząca, jak amerykańska National Book Award i równie wpływowa co francuski Prix Goncourt. „Nie sądzę, by nie dało się uczynić z niej zdecydowanie najważniejszej nagrody literackiej w tym kraju [Wielkiej Brytanii], ponieważ nie ma ona żadnego poważnego konkurenta" – przekonywał.

Pomysł na tę nagrodę zrodził się znacznie wcześniej, jesienią 1951 r. Osiemnastoletni Tom spędzał akurat trzy miesiące w Paryżu. Jako nastolatek dużo podróżował, zresztą jego życiorys byłby niezłym materiałem na osobny tekst. Jego związek z kontynentem był złożony, rodzina przeprowadziła się do Anglii, uciekając z Wiednia przed nazizmem, gdy przyszły wydawca miał pięć lat.

„Doskonale pamiętam, jak podzielałem emocje związane z nagrodami literackimi tego sezonu. (...) Temat wracał praktycznie każdego wieczoru" – wspominał Maschler lata później w tekście „How It All Began". Dodawał też: „niedługo po ogłoszeniu wyników wydawało się, że połowa osób, które poznałem, przeczytała już książkę nagrodzoną Prix Goncourt". W porównaniu z tym wigorem brytyjski rynek nagród zdawał się smętny i peryferyjny.

Rzeczywiście, literacka scena Wielkiej Brytanii lat. 50 i wczesnych lat 60. nie miała się najlepiej. Żyjąc nadal w cieniu osiągnięć wysokiego modernizmu, nie znajdując dykcji, która pozwoliłaby uchwycić niepokoje doby zimnej wojny, stawała się coraz bardziej wsobna. W celu wzbogacenia rodzimego systemu szukano więc rozwiązań spoza centrum, w którego interesie było otwierać się na peryferie. Powstanie Nagrody Bookera wynikało z potrzeby kulturowej integracji rynku książki w Wielkiej Brytanii z peryferyjnymi rynkami kręgu Commonwealth – Wspólnoty Narodów.

W otwarcie postkolonialnej polityce Nagrody odbijały się nie tylko nadzieje na stworzenie szerokiej, jednoczącej kategorii „najlepszych powieści w języku angielskim", ale też pewna ekspansywność myślenia. Podobnie jak herbata w kontekście obyczajowości, Booker miał stać się konfekcjonerem najlepszej, często pochodzącej spoza geograficznych granic Zjednoczonego Królestwa globalnej prozy.

Klub

Odpowiedź dotycząca finansowania nagrody przyszła błyskawicznie, bo kolejny list, datowany na 8 maja, został sformułowany zaledwie dwa dni po propozycji. Maschler jest pod wrażeniem tempa, w jakim firma podjęła decyzję i cieszy się, że chcą przeznaczyć na nią środki. Zaskakująco szybko przystępuje do negocjacji. Jeśli nagroda ma realnie poszerzyć wpływ współczesnej powieści, która przemówi do szerszej publiczności, firma powinna „zagwarantować wsparcie finansowe na najlepiej siedem lat, a jeśli uważają, że to nieco za długo, nie mniej niż pięć".

Determinacja graniczy tu z zuchwałością, co o pokolenie starszy Tyrell szybko wyłapuje. Maschler słynął z nieskrępowa-

eprasa.pl 7fab5216f4

nego i gwałtownego działania; jeśli zależało mu na książce, niewiele mogło stanąć mu na przeszkodzie. Tyrell podtrzymuje chęć współpracy, ale w kolejnym liście uderza w doskonale znane brytyjskiej kulturze tony uprzejmego karcenia. „Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej bym sobie życzył – pisze Tyrell, polecając adresatowi ponowną lekturę jego własnego listu – jest, żeby książki wspierane przez Bookera odbierano głównie jako źródło dochodu, niewiele więcej niż worek pieniędzy".

Zdanie to odnosi się do firmy, samą nazwę nagrody ustalono dopiero trzy miesiące później. Sponsor proponował początkowo The Britannia Prize, co kojarzyło się nie tylko z przywróconą zbiorowej świadomości za czasów jednoczącego Anglię i Szkocję Aktu Unii (1707) personifikacją narodu w formie wojowniczki z trójzębem i tarczą, ale coraz bardziej z imperialnym sentymentem, i nie zachęcało. Choć transportowa flota firmy działała, można powiedzieć, *this ship has sailed*. Klub organizujących nagrodę gentelmanów rozważał też The Novel Prize (zabawnie fonetycznie bliska Noblowi nazwa) oraz odniesienie do budynku firmy: The Bucklersbury Prize.

Między pierwszym listem a wysyłaniem zaproszeń na konferencję prasową minęło niecałe pięć miesięcy. Apetyt na równy Prix Goncourt prestiż był tak duży, że nawet menu inaugurującej kolacji było, podobnie jak przyrządzony filet z soli i pieczony comber jagnięcy z rozmarynem, w pełni po francusku. O relacji tych dwóch nagród ciekawie pisze Susan Pickford, która z paratekstów, fragmentów prasowych i statystyk dotyczących kierunku napływu przekładu stara się wyczytać, jak na przestrzeni lat zmieniała się narracja o wzajemnym prestiżu.

Od pierwszej powieści, czyli „Something to Answer For" autorstwa P. H. Newby'ego, po nagrodzoną właśnie „The End of Everything" autorstwa M. Johna Harrisona, wybory Bookera są tematycznie, stylistycznie i gatunkowo zróżnicowane. Wiele z tego, co ustalono w 1969 r., pozostaje aktualne.

© ALEKSANDRA MAJAK

Badania realizuję w ramach Stypendium Artystycznego Miasta Krakowa (2026).

Litewska 10

PIOTR PAZIŃSKI

KSIĄŻKI | Ten warszawski adres jest wyjątkowy – skupia w sobie znaczną część polskiej historii XX wieku.

Znamy ten topos z literatury i filmu, prawda? Obszerna wielkomiejska kamienica, tak zwany dobry adres. Mieszkania od frontu, lepsze, i w oficynie, ciut gorsze. Lokatorzy z różnych grup społecznych, z rozmaitym bagażem przeszłości, ale wszyscy dość podobni. Trochę wspólnota losu, bo pod jednym dachem. Trochę przypadkowa mozaika ludzka. Może nieprzypadkowa? Dzieci, wnuki, czas nie stoi w miejscu. Niekiedy pojawia się ktoś nowy. W tle wielka historia. Niektórzy mieszkańcy ją współtworzyli. Ich dom także.

Beata Chomątowska, autorka „Stacji Muranów" i „Miasta dzieci świata", wróciła z Rabki na warszawskie południowe Śródmieście i zrealizowała marzenie wielu pisarzy i reżyserów: dać spójny, wyrazisty portret miejsca i niepowtarzalnej konstelacji ludzkiej. Zedrzeć z budynku fasadę, obejść klatkę schodową, przepytać konsjerżkę, pozaglądać do mieszkań, pobuszować w piwnicach. Dyskretnie odsłonić tajemnice, uchwycić *genius loci*.

Zadanie trudne, zwłaszcza gdy adresowi (realnemu) daleko do przeciętności. Albowiem Litewska 10, bohaterka „Domu warszawskiego", to kamienica naprawdę niezwykła, o burzliwych losach i skomplikowanej prozopografii.

ZACZNIJMY OD POCZĄTKU. Modernistyczną kamienicę dla zamożnej klienteli, wystawioną przez prywatnego dewelopera (jej charakterystyczną fasadę widzimy na okładce), oddano do użytku latem 1938 r. Mocno niefortunnie. Ledwie zasiedlony, budynek już rok później znalazł się w sercu dzielnicy niemieckiej. Dotychczasowych lokatorów sprawnie wysiedlono, mieszkania po nich zajęli urzędnicy i oficerowie SS i policji Generalnego Gubernatorstwa. Prócz obsesji na punkcie bezpieczeństwa decydowały względy praktyczne. Nowi lokatorzy pracę mieli tuż za rogiem – w siedzibie Gestapo w Alei Szucha.

A po wyzwoleniu? Porzucony przez Niemców, acz niezrujnowany (w Warszawie 1945 r. wyjątek raczej niż reguła), dom na kilka lat stał się siedzibą Ministerstwa Ziem Odzyskanych. To właśnie tutaj podwładni Władysława Gomułki, I sekretarza PPR i podówczas faktycznego przywódcy komunistów polskich, kreślili plany odbudowy i zagospodarowania, bagatela, jednej trzeciej kraju.

Gdy w 1949 r. Gomułka został odsunięty przez innych towarzyszy na boczny tor, a super resort rozwiązano, dom znalazł się w gestii Komitetu Centralnego PZPR. Lokatorów oficyny, zwykle pracowników MZO, niekoniecznie związanych z partią (Gomułka angażował do pracy także ludzi odległych ideowo, którym bliska była koncepcja „piastowskiej Polski") pozostawiono. Biura od frontu znów stały się mieszkaniami. Teraz dla pracowników KC, przedwojennych zawodowych rewolucjonistów. To oni nadali Litewskiej 10 na długie dekady charakterystyczny rys i ukształtowali legendę „domu słowa i władzy".

Nie da się ukryć, że właśnie wokół tej grupy, bynajmniej nie jednorodnej, narosło najwięcej legend. Działacze Komunistycznej Partii Polski, z doświadczeniem sanacyjnego więzienia i nielegalnej roboty politycznej, ocalali w ZSRS, gdzie pod bacznym okiem Stalina tworzyli zręby przyszłego ustroju Polski Ludowej, a po wojnie, zazwyczaj do 1956 r., znaleźli się w elicie władzy, w wojsku, propagandzie i aparacie partyjnym (ludzie bezpieki na Litewskiej nie mieszkali). Kapepowcy-internacjonaliści. Ideowi albo fanatyczni. Budowniczowie nowej Polski albo sowieccy agenci. Bojownicy o sprawiedliwość społeczną albo architekci systemu totalitarnego. Bez cieniowania. W opisie kapepowców, ich ideałów, lojalności i towarzyskich ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ afiliacji obowiązuje zasada wyłączonego środka. Na szczęście autorka jej nie ulega.

POLSKA PAMIĘĆ ZBIOROWA chętnie uwypukla żydowskie pochodzenie działaczy KPP, mimo że na Litewskiej, jak w ogóle w ruchu komunistycznym, proporcje narodowościowe układały się akurat pół na pół. Obok Żydów z drobnomieszczańskich i religijnych rodzin, którzy za młodu zerwali ze sztetlem, bożnicą czy kupiectwem, by zasilić szeregi internacjonalistów i walczyć o świat bez etnicznych i klasowych dystynkcji, i bez antysemityzmu, byli modelowi polscy proletariusze. Ich do komunizmu przywiodły bieda, nadzieja na awans społeczny i szlachetne marzenia o sprawiedliwej Polsce dla wszystkich, także dla ludzi „z ludu". Zresztą dla wielu pochodzenie etniczne nie miało znaczenia. Byli komunistami i tyle.

Gdy mowa o ludziach władzy i ich kamienicach, czytelnikowi przychodzi na myśl „Dom nad rzeką Moskwą" Jurija Trifonowa, opowieść o luksusowym kompleksie mieszkalnym *vis à vis* Kremla, gdzie od lat 30. zamieszkiwali członkowie państwowej elity. Skojarzenie trafne, już choćby przez charakterystyczny „kominternowski" rys tego środowiska, łączący inteligencki etos z bezgraniczną wiarą w partię. Acz nie do końca: podczas stalinowskich czystek wielu lokatorów domu nad *nabierieżnoj* trafiło do więzień i przed pluton egzekucyjny. Niektórych lokatorów Litewskiej 10 dotknął Marzec '68, kilkoro wyjechało, większość pozostała w domu do końca swych dni.

Krąg „starych towarzyszy", ich przekonań, zaangażowań, wyobrażeń o świecie, ale i pamięci historycznej Chomątowska rekonstruuje na postawie rozmów, lektur i żmudnych kwerend archiwalnych, tworząc przejmujące portrety kilkorga. Nie ma tu łatwych ocen ani natrętnych polemik z wyborami ideowymi. Jest szkic sytuacyjny i próba (udana) uchwycenia specyfiki niedużej zbiorowości.

Nie tylko światopoglądu, ale stylu życia, związanego tyleż z chwilowo wysoką pozycją polityczną, ile z przeszłością i specyficznym etosem. Niezrozumiałego dla postronnych połączenia kultu pracy, aktywizmu i samokształcenia z ascetyzmem, abnegacją i pogardą dla dóbr materialnych. Szczerej wiary w egalitaryzm z ponadprzeciętnym metrażem i dostępem do ściśle limitowanych dóbr, takich jak informacja o tym, co dzieje się w państwie, stołówki partyjne czy domy wczasowe o podwyższonym standardzie, a w latach 60. i 70. – do nielegalnych wydawnictw.

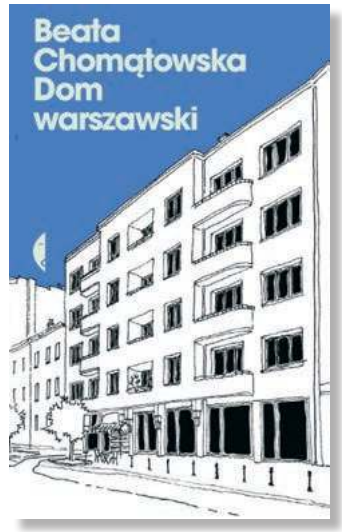

Beata Chomątowska,
DOM WARSZAWSKI,
Czarne, Wołowiec 2026

Niełatwo opisać cudzy ekskluzywizm, zwłaszcza po wielu latach i bez bezpośrednich spotkań (autorka rozmawiała z dziećmi i wnukami starych lokatorów, oni sami dawno nie żyją). Tym trudniej ukazać poczucie wyobcowania, o którym weterani KPP wspominali półgębkiem, zwierzając się ongiś Teresie Torańskiej (sławna książka „ONI").

Tym bardziej że życie na Litewskiej, jak w kilku innych domach, gdzie zamieszkali „starzy towarzysze", utkane było tyleż z gorączkowej aktywności, co z milczenia. Mówiło się o walce z hitleryzmem, ale nie o Zagładzie. Snuło kombatanckie wspomnienia o walkach z policją i defą w sanacyjnej Polsce, ale milczało o procesach politycznych i łagrach, które w ukochanym Związku Radzieckim pochłonęły, prócz milionów innych obywateli, całą rzeszę polskich towarzyszy.

Także historia kamienicy stanowiła tabu: któż, chodząc po wyłożonej kafelkami eleganckiej klatce schodowej, myślał o tym, że to z Litewskiej 10 jeździł do getta Untersturmführer Karl Georg Brandt, specjalista w referacie żydowskim warszawskiego Gestapo, żeby koordynować wielką akcję likwidacyjną? Pewnie pamiętał o tym tutejszy outsider, Szymon Datner, historyk Zagłady i tłumacz żydowskich tekstów religijnych. Choć on w postęp nie wierzył.

ALE BYŁA I TERAŹNIEJSZOŚĆ. Coraz burzliwsza. Lata Gomułki, Marzec, Grudzień, tylko pozornie sielankowa dekada gierkowska, Solidarność i stan wojenny. Pod nosem starych kapepowców, często za ich milczącą zgodą, w politykę zaangażowały się ich rozpolitykowane dzieci. Po drugiej stronie barykady, zwalczając ustrój, który stworzyli ich rodzice. W imię tych samych ideałów równości i sprawiedliwości. Bywały lata, gdy Litewska aż furczała od konspiracyjnej roboty. Dom słowa i władzy przekształcał się w dom inteligencki. I zachował ten rys także w nowych czasach, w epoce transformacji, stając się solidną wspólnotą mieszkaniową. Trochę podobną, a trochę inną niż „zwyczajne" wspólnoty.

Właśnie, zwyczajne. Czytającemu historię Litewskiej 10 wypada spytać o reprezentatywność. Cóż, Litewska nigdy reprezentatywna nie była. Na pewno nie wszystkie domy w Polsce, i nie wszystkie kamienice w Warszawie, były takie. Dalece nie wszędzie mieszkali ludzie władzy, a etos inteligencki splatał się z etosem sprzeciwu i walki o sprawiedliwość społeczną (różnie definiowaną zależnie od epoki). Lepiej powiedzieć: wyspa, enklawa, arka. Tyle że to właśnie nieprzeciętność Litewskiej 10 sprawia, że działa ona jak soczewka: skupia się w niej historia dużej części polskiego XX stulecia. I kawałka kolejnego wieku.

Ale dom to nie tylko ludzie. To także pejzaż, zapachy, smaki, takie a nie inne meble, takie a nie inne wyznaczniki prestiżu. Koloryt Litewskiej Chomątowska odmalowuje z taką samą precyzją, z jaką układa ludzkie puzzle. Puzzle – ponieważ książce patronuje Georges Perec ze swoją sławną powieścią „Życie instrukcja obsługi".

Niczym Serge Valène, kronikarz życia kamienicy przy rue Simon-Crubellier, autorka zamyka swoją opowieść przygnębiającą sceną. Oto na obszernym podwórku lądują powyrzucane z piwnic rupiecie: książki, biuletyny partyjne, albumy, suweniry, okruchy z domowych bibliotek, pamiątki inteligenckiego życia. Jaki będzie następny rozdział?

© PIOTR PAZIŃSKI

eprasa.pl 7fab5216f4



Z ARCHIWUM FUNDACJI EDWARDA DWURNIKA / MATERIAŁY PRASOWE MS

Edward Dwurnik, „Klęska urodzaju" (z cyklu Obrazy duże), 1975 r. , Muzeum Narodowe w Krakowie

Mnie interesują przeciętni Polacy

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | Portretował współczesnych sobie bez fałszu, ale z czułością. „Wielu ludzi rozpozna siebie w moich obrazach przy codziennej pracy, wypoczynku, zabawie, brudzie" – pisał.

Od progu witają nas wielkoformatowe obrazy. Niewiele powstało w polskiej sztuce doby PRL-u dzieł namalowanych w tak wielkiej, wręcz matejkowskiej skali. Niektóre mają ponad 2,5 na 4,5 metra! To jeden z fenomenów Edwarda Dwurnika i można się zastanawiać, jak jemu – w czasach nieustannych niedoborów i ciasnoty pracowni artystycznych – udało się tworzyć tak ogromne płótna.

Jedno z nich, powstałe w 1974 r., przedstawia przystanek autobusowy. Zgromadziło się na nim kilkanaście osób: młoda kobieta w eleganckim kożuchu i postawny mężczyzna pod krawatem, ojciec z małym dzieckiem na ręku i nastolatka w mini, kobieta w ciąży, która siedzi i czyta książkę. Jest wreszcie młody mężczyzna w skórzanej kurtce, kaszkiecie i okularach. Patrzy wprost na widza. Nieprzypadkowo przypomina samego malarza.

Dwurnik na tym jednym obrazie zgromadził osoby w różnym wieku i z różnych grup społecznych, tworząc portret Polek i Polaków czasów wczesnego Gierka. Kilka lat wcześniej, w podaniu o stypendium z 1968 r. pisał: „obcuję z ludźmi dojeżdżającymi do pracy, jeżdżę po małych miasteczkach, interesują mnie przeciętni Polacy, uważam, że oni nie są przeciętni, ponieważ oni mnie wychowali, uważam, że znam ich sprawy, ubiór, zwyczaje, przekonania, żargon – kocham ich i mam radość wystawić im pomnik swoim malarstwem".

Portretował zatem współczesnych sobie, jak zapowiadał, z twardym realizmem. „Wielu ludzi rozpozna siebie w moich obrazach przy codziennej pracy, wypoczynku, zabawie, brudzie" – zaznaczał w podaniu.

Uczeń Nikifora

Obok „Przystanku autobusowego" wisi w MSN „Październik 77" – także portret grupowy, tym razem bliskich malarzowi artystek i artystów. Zbiorowo wykonany: „każdy siebie i tło malował, jak chciał" – relacjonował potem. Współtworzyli go nim m.in. żona artysty Teresa Gierzyńska oraz Zofia Kulik i Przemysław Kwiek, czołowi przedstawiciele neoawangardy, którzy wykorzystywali nowe media, tworzyli performance'y etc. Tymczasem obraz jest apoteozą malarstwa, manifestem wiary w jego aktualność.

Dwurnik, inaczej niż jego przyjaciele ze studiów, pozostał wierny płótnu i pędzlom. Nie był oczywiście jedynym z tego pokolenia, który dokonał takiego wyboru. Wystarczy wymienić starszego od niego o rok Jana Dobkowskiego, urodzonego w tym samym co Dwurnik 1943 r. Jerzego „Jurrego" Zielińskiego, czy o dwa lata młodszego Tomasza Ciecierskiego. Jednak tym, co wyróżniało ↦

eprasa.pl 7fab5216f4



MATERIAŁY PRASOWE MSN

↦ Dwurnika, było przekonanie, że malarstwo – jako silnie zakorzenione społecznie – może pozwolić artyście dotrzeć to szerokiego grona. Chciał tworzyć sztukę egalitarną.

Mistrzem Dwurnika nie stał się zatem podziwiany przez jego przyjaciół Oskar Hansen, prowadzący legendarną pracownię na warszawskiej ASP, lecz – co sam podkreślał – Nikifor Krynicki. Od niego Dwurnik przejął sposób obrazowania – stosowanie wyrazistego konturu, uproszczenia rysunku, wreszcie przesadę graniczącą z groteską w przedstawianiu postaci.

Dwurnik przeniósł ten sposób przedstawiania na duże formaty malowane z wielkim rozmachem. Miał bowiem także drugiego mistrza: Jana Matejkę. Artystę, który był zresztą wzorem dla skromnego malarza z Krynicy. Stąd rozmach obrazów Dwurnika i mierzenie się, w późniejszych latach, z jego spuścizną. W 1989 r. maluje własną „Konstytucję 3 maja". W 2010 r. powstają „Hołd Pruski" i dwie wersje „Bitwy pod Grunwaldem".

Z Nikiforem łączyła Dwurnika także ogromna pracowitość. Tworzył niemalże kompulsywnie. Po latach tłumaczył: „rano wstaję, myję się, jem śniadanie, obiad, kolację, w nocy śpię. Między tymi bardzo ważnymi czynnościami maluję obrazy, rysuję rysunki, wykonuję grafikę warsztatową: akwafortę, drzeworyt, litografię".

Pozostawił po sobie ponad 8 tys. obrazów i ponad 20 tys. prac na papierze. To ogromny dorobek, niemożliwy do przedstawienia na jakiejkolwiek wystawie. Stąd konieczność znalezienia klucza do tej twórczości. Kurator Łukasz Ronduda uczynił nim dumę i wstyd. Proponuje spojrzenie na twórczość malarza poprzez jego własne doświadczenie, świadectwo rozdwojenia klasowego. Rozliczenia się artysty z historią awansu społecznego.

Podróże autostopem

Urodzony w podwarszawskim Radzyminie Dwurnik był synem drobnego rzemieślnika prowadzącego warsztat galanterii metalowej. Jako pierwszy w rodzinie zdobył wyższe wykształcenie. Osiągnął sukces, także finansowy. Lubił to zresztą podkreślać. „Każdy dobry malarz był bogaty" – podkreślał w jednym z wywiadów.

Jednak siłą malarstwa Dwurnika jest wykraczanie poza własne doświadczenie oraz ciekawość tego, jak wygląda Polska. Dlatego jeszcze podczas studiów w 1965 r. wyrusza autostopem po kraju, by utrwalać świat istniejący poza metropoliami. Zapisać obraz zmieniającej się na jego oczach prowincji. Zaczyna tworzyć „Podróże autostopem" – widoki miast z lotu ptaka, najdłużej tworzony i najliczniejszy jego cykl malarski.

Udało mu się stworzyć obraz polskiego społeczeństwa ostatnich dekad XX w. „Klęska urodzaju" z 1975 r., jeden z najlepszych jego wielkoformatowych obrazów, przedstawia miasteczko, którego ulice zostały zastawione niezliczonymi skrzynkami owoców i warzyw. To kraj dobrobytu, niczym z propagandy czasów Gierka. O ile jednak na pierwszym planie stoi zadowolona, szczęśliwa para, gdzieś w tle mężczyzna dusi kobietę.

W 1972 r. Dwurnik zaczyna jeden ze swych najgłośniejszych cykli, „Sportowcy" (i jeden z najobszerniejszych: to blisko 230 obrazów). Poświęca go ludziom, którzy „musieli przetrwać, więc w zasadzie byli wyczynowcami, byli jak sportowcy; przepychali się przez życie łokciami, rozbijając innym nosy". Malując, wpisywał się w opowieść o awansie społecznym, jaki towarzyszył przemianom zachodzącym w latach 70. Jednocześnie jego obrazy są świadectwem postępującego rozczarowania rządami Gierka, kolejnych syndromów kryzysu gospodarczego, które doprowadziły do wystąpień robotniczych w 1976 r., a potem do sierpnia 1980.

„Sportowcy" to także relacja z PRL-owskiej codzienności. Opowiada o marzeniach, nadziejach i rozczarowaniach. Każdy z tych obrazów – w MSN zawieszono je ściśle obok sobie, by tworzyły jeden wielki fryz – jest oddzielną historią. Jakiś mężczyzna rozbija kolanem twarz innego. Młoda, naga para tuli się do siebie, a umieszczony obok nich napis (komentarze czy podpisy pod postaciami są stałym elementem obrazów Dwurnika) głosi „Jak ja tęsknię za Zachodem". Dwurnik maluje uroczystość uhonorowania jakiegoś miasta i kąpiel mężczyzn o obwisłych brzuchach pod prysznicem. Zakupy na targu i powrót z polowania.

Tworzy obraz polskiego społeczeństwa bardzo odległy od oficjalnego, w którym klasy ludowe, a zwłaszcza robotnicy zajmowali szczególne miejsce. Pokazuje Polki i Polaków bez propagandowej otoczki. Bez ukrywania ich ułomności i przywar. Potrafi być brutalny w swej szczerości, a zarazem czuły. Co więcej, jego obrazy ujawniają to, co wtedy było przemilczane lub wypierane z publicznego obiegu, jak w obrazie „Srajbabka" z 1974 r., na którym przedstawia jeden z przejawów subkultury gejowskiej tego czasu.

Robotnicy i sportowcy

Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej dzieli się na trzy wyraźne części, które pokazują kolejne etapy twórczości Dwurnika. Lata Gierka w znacznej mierze definiowali „Sportowcy". Drugi etap określił cykl „Robotnicy". Pierwsze obrazy z tego cyklu powstały w połowie lat 70, jednak większość namalował podczas stanu wojennego.

Lata 80. to był dla Dwurnika czas szczególny, zmienia się jego stylistyka. Coraz wyraźniej nawiązuje do ekspresjonizmu – jego twórczość dobrze współgra z ów-

eprasa.pl 7fab5216f4



MATERIAŁY PRASOWE MSN

Edward Dwurnik, „Przystanek autobusowy" (z cyklu „Obrazy duże"), 1974 r.

Po lewej: Edward Dwurnik, „Kobieta w hamaku" (z cyklu „Sportowcy"), 1991 r., Fundacja Edwarda Dwurnika.

czesnym zwrotem ku malarstwu, z niemieckim Neue Wilde na czele. A jednocześnie sięga do socrealizmu, przewrotnie rehabilitując powszechnie potępiony u nas nurt. Obecna na wystawie „Robotnica przemysłu stalowego" z 1987 r. przypomina obrazy Andrzeja Wróblewskiego z czasów stalinizmu.

W latach 80. odnosi największe sukcesy. W 1982 r. zostaje zaproszony na documenta 7 w Kassel, jedno z najbardziej prestiżowych wydarzeń w świecie sztuki. W kolejnym roku otrzymuje Nagrodę Komitetu Kultury Niezależnej „Solidarności". A jednocześnie po wprowadzeniu stanu wojennego nie tylko nie przyłącza się do bojkotu oficjalnych instytucji kultury, ale w 1983 r. bierze udział w Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w Szczecinie. Zostaje też członkiem założycielem Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików (ZPAMiG), tworzonego przez proreżimowych artystów po rozwiązaniu przez władze Związku Polskich Artystów Plastyków. Podjęte wtedy przez artystę decyzje jeszcze długo będą wzbudzały kontrowersje.

Jednocześnie w latach 80. po raz kolejny udaje się Dwurnikowi opowiedzieć o doświadczeniu polskiej wspólnoty. W „Robotnikach" pokazuje zarówno stan euforii czasów pierwszej Solidarności, jak i poczucie zwątpienia za czasów Jaruzelskiego. Maluje przemoc, brutalizację życia, ale też lęk przed przelewem krwi. Na jednym z obrazów kobieta w kącie pokoju oskórowuje szczura. Na innym mężczyzna trzyma w ręku odciętą głowę.

Tulipany i śnieg

Dwurnikowi udało się także chwycić istotne zmiany społeczne zachodzące w ostatniej dekadzie PRL-u, m.in. zwrot ku Kościołowi oraz symbolice narodowej i religijnej. Przy czym, inaczej niż przekonuje kurator wystawy, nie nastąpił on po wprowadzeniu stanu wojennego. To zresztą nie jedyny efektowny, ale wątpliwy koncept Rondudy. 13 grudnia 1981 r. tylko spotęgował proces, który zaczął się w sierpniu 1980 r. Solidarność łączyła bowiem bardzo różne tradycje i postawy, a lewicowy etos współistniał z katolicyzmem, co świetnie wychwycił Dwurnik. Na pierwszym planie namalowanego w 1980 r. płótna „I like this snow" młody mężczyzna stoi na placu, wśród

Edward Dwurnik, lata 90.



TERESA GIERZYŃSKA. Z ARCHIWUM FUNDACJI EDWARDA DWURNIKA

monumentalnej architektury. Na głowie ma rogatywkę, na szyi różaniec, a na nogach czerwono-czarne trampki. Z dumą dzierży w ręce krzyż, podczas gdy drugą, zaciśniętą, wymachuje. Jest dumny i gotowy do walki.

Wystawę kończy kilka obrazów z cyklu „Tulipany". One i kilka innych reprezentują ostatni, rozpoczynający się wraz z polską transformacją etap twórczości, kiedy to Dwurnik odniósł niezwykły sukces komercyjny – posiadanie jego obrazu stało się synonimem prestiżu i pozycji społecznej, przede wszystkim dla klasy średniej.

Malowane w tym czasie niemalże masowo obrazy, uznawane przez niektórych za kicze, stały się zresztą kolejnym, obok wyborów politycznych artysty, punktem sporów. A jednocześnie – co pominięto na wystawie – Dwurnik i wtedy pragnie opowiadać o historycznym doświadczeniu Polek i Polaków. Chce się stać Janem Matejką III RP. Powstaje cykl „Droga na Wschód" (1989-1991) opowiadający o losach osób na terenach zajętych przez ZSRS. Jest tu „Katyń" i „Workuta", „Nachodka i Kołyma". I od „Od grudnia do czerwca" poświęcony ofiarom stanu wojennego. Współistnienie afirmacji życia – malowanie kwiatów, pejzaży morskich i leśnych czy wielkomiejskiego życia – i polskich traum to jeden z fenomenów ostatniego etapu twórczości malarza.

Pozostanie artystą kontrowersyjnym. Być może dlatego, że, jak celnie zauważył przed kilkoma laty krytyk Jakub Banasiak, w swych wyborach artystycznych patrzył na oczekiwania publiczności i rządzących, a pomijał środowisko artystyczne. To nieoczywisty pomysł na osiągnięcie nie tylko rynkowego sukcesu. A jednak Dwurnikowi to się udało.

© PIOTR KOSIEWSKI

Wystawę **EDWARD DWURNIK. DUMA I WSTYD** można oglądać w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej do 14 marca 2027 r.

eprasa.pl 7fab5216f4

Braterstwo i bratwa

ANITA PIOTROWSKA

KINO | W nowym filmie James Gray zderza straszną i zarazem przaśną gangsterkę z małym amerykańskim snem. Można mu zarzucić gatunkowe rozmycie, ale właśnie ono czyni ten film na swój sposób wyjątkowym.



MATERIAŁY PRASOWE

Nigdy nie rób interesów z Rosjanami – taką przestrogę można wyczytać z filmu Jamesa Graya. Tyle że rozpoczyna on swoją opowieść mottem z Ajschylosa i już wiadomo, że kroi się coś grubszego: kino z aspiracjami do greckiej tragedii. Na szczęście „Papierowy tygrys" momentami tylko wznosi się na koturny i uderza w tony bez mała operowe; na ogół woli pozostać dziełem skromnym i kameralnym. Złośliwi mówią „bezzębnym" i rzeczywiście coś w tym jest.

Stworzony przez Graya obraz nie ma w sobie ani drapieżności gangsterskiego kina Martina Scorsese czy perfekcji Michaela Manna, ani psychologicznej finezji znanej z „Kochanków" tegoż Graya, a i współczesny wydźwięk polityczny zdaje się nadinterpretacją. „Tygrys" jawi się też jako stylowo wyliniały, czytaj: ostentacyjnie oldskulowy w swojej historii o arcyprzeciętnej amerykańskiej rodzinie, która w 1986 r. stanęła wobec szansy przyspieszonego awansu ekonomicznego.

Mitologiczny ciężar ma z pewnością opowieść o dwóch braciach. Irwin (Miles Teller) jest młodszy, pracuje jako inżynier i wiedzie wraz z Hester (Scarlett Johansson) oraz dwójką nastoletnich synów spokojne życie na przedmieściach Nowego Jorku. Jak usilnie Gray próbuje zainscenizować amerykańską przeciętność, widać najlepiej w charakteryzacji hollywoodzkiej gwiazdy.

Johansson w mało twarzowej fryzurze i takichż okularach bywa zrazu karykaturalna, choć wraz ze śmiertelną diagnozą, o której nie powie swojemu mężowi, zajętemu poprawianiem materialnego statusu rodziny, postać Hester zaczyna rosnąć do wewnątrz. Podobnie jak ta mniejsza, domowa historia pozostająca w cieniu głównego dramatu.

Oto bowiem Irwin dostaje od starszego brata Gary'ego (Adam Driver), byłego policjanta, propozycję nie do odrzucenia. Ma być konsultantem przy dużym biznesie prowadzonym nad brooklyńskim kanałem Gowanus, gdzie rozwijający się przemysł chemiczny od dawna pozostawia po sobie groźne zanieczyszczenia. Lecz rychło okazuje się, że stojącą za tym interesem rosyjską mafię najmniej interesują przepisy prawa czy ekologiczna troska.

Podczas wieczornej wyprawy, kiedy to nieświadomy niczego Irwin odwiedza z synami inkryminowane nabrzeża, przekonuje się na własnej skórze, jak smakuje szybki i łatwy pieniądz, a chłopcy przechodzą brutalną inicjację. Troskliwy ojciec rodziny i jego charyzmatyczny, acz nieco szemrany brat z dnia na dzień stają się zakładnikami gangusów z Europy Wschodniej.

Amerykański reżyser, urodzony Nowojorczyk i potomek rosyjskich Żydów, powraca zatem – topograficznie i tematycznie – w rejony, gdzie ponad trzydzieści lat wcześniej zaczynał swoją przygodę z kinem. Wychował się w nowojorskim Brighton Beach, czyli w tytułowej Małej Odessie ze swego filmowego debiutu i teraz, angażując aktorów uważanych za najbardziej „nowojorskich", odtwarza klimat czasu o dekadę wcześniejszego.

A dokładniej, złote czasy tak zwanej bratwy – zorganizowanej przestępczości uprawianej przez przybyszów ze Związku Radzieckiego, często byłych „worów w zakonie", od końca lat 70. wypuszczanych masowo z sowieckich więzień czy obozów karnych i emigrujących potem za ocean.

Tam zaś trafiali na podatny grunt dla swoich nielegalnych aktywności, dilując z legalnym biznesem i stróżami prawa. Ich następców mogliśmy oglądać niedawno w „Anorze" Seana Bakera.

Gray zderza tę straszną i zarazem przaśną gangsterkę z małym amerykańskim snem – o większym domu, dobrych studiach dla syna, o wyższym poziomie życia. I choćby nie wiem, co się działo (śmiertelna choroba, mafia przemeblowująca nocą twoje mieszkanie), trzeba przecież wyprawić pierworodnemu huczną osiemnastkę.

Jest jeszcze wątek braterski i to w dwóch pokoleniach. A kiedy wydaje się, że Gary, wciągając Irwina w brudny interes, dość mało odpowiedzialnie realizuje hasło „mój brat ma fajnego brata", sytuacja całkowicie wymyka się spod kontroli. I stawia trójkę bohaterów (bo Hester też odegra w tej historii ważną rolę) wobec dylematów związanych z rodzinną lojalnością i ceną, jaką trzeba zapłacić za różnie pojmowane bezpieczeństwo najbliższych.

eprasa.pl 7fab5216f4

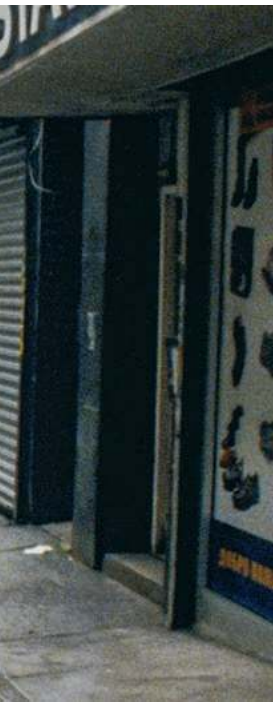

PAPIEROWY TYGRYS
(Paper Tiger) – reż. James Gray. Prod. USA/ /Brazylia/Włochy 2026. Dystryb. Monolith Films. W kinach od 27 listopada.

James Gray to jeden z najbardziej nowojorskich reżyserów. Zadebiutował w 1994 r. „Małą Odessą”, która przyniosła mu Srebrnego Lwa w Wenecji. Po filmach „Królowie nocy” (2007), „Kochankowie” (2008) czy „Imigrantka” (2013) skręcił w stronę kina przygodowego („Zaginione miasto Z”, 2016) i sci-fi („Ad astra”, 2019), by w „Armagedonie” (2022) powrócić w dawne rejony.

Na zdjęciu: Miles Teller w filmie „Papierowy tygrys”

Film (wśród którego producentów wykonawczych była Polka, Klaudia Śmieja-Roztworowska), celowo rozmywa kontury ostrego sensacyjniaka i przesuwa akcenty w stronę kina bardziej „familijnego”. Podczas gdy męska część rodziny odczuwa napięcie z powodu gangsterskich szantaży, Hester po cichu przeżywa własny dramat, związany z diagnozą nieuleczalnej choroby.

W tej sympatycznej, kochającej się rodzinie zdecydowanie za mało się rozmawia, a sens takich słów jak „ochrona” czy „opieka” zdążył się już trochę wypaczyć. I mało kto wierzy tutaj w sprawiedliwość, a już na pewno nie Gary, który odszedł kiedyś z nowojorskiej policji, żeby pracować na własny rachunek. Stąd narastający w filmie Graya klimat powszechnej nieufności, daleki jednak od dusznej stylistyki *neo noir*.

Gatunkowe rozmycie to zarzut, jaki można postawić temu filmowi, chociaż właśnie ono czyni go na swój sposób wyjątkowym. Od czarnego kryminału czy klasycznej tragedii Gray woli, przynajmniej na początku, budowanie domowej atmosfery, stopniowe mieszanie tonacji i niespieszne zagęszczanie grozy. Oddaje to również eklektyczna ścieżka dźwiękowa z ejtisowymi kawałkami grupy Culture Club, podniosłością *à la* Puccini i gruzińskim Chórem Rustawiego. Z amerykańską flagą w tle, bo tytuł brzmi jak przewrotne oskarżenie Ameryki.

Oto grany przez Drivera bohater w jednej z wczesnych scen filmu Graya wyraźnie lekceważy zagrożenie ze strony rosyjskiej mafii, nazywając ją papierowym tygrysem. Ciekawe, że to określenie, wzięte z zimnowojennej retoryki, prosto od Mao Zedonga i radzieckiej propagandy, tak chętnie stosuje dzisiaj Donald Trump, to na określenie słabości NATO, to znów bagatelizując rosyjskie zagrożenie w Europie.

Kto w tym filmie okaże się najbardziej papierowym tygrysem, łatwo się domyślić, bo Grayowi bliżej do konwencji przypowieściowej czy krytyki zbrutalizowanych stosunków społecznych późnego kapitalizmu niż do *stricte* politycznych aluzji. Jakkolwiek trudno stwierdzić, czy jest czystym przypadkiem, iż głównego rosyjskiego mafiosa gra tutaj międzynarodowy aktor o nazwisku Viktor Ptak, jako żywo przypominający... Nikitę Michałkowa, cara rosyjskiej kinematografii i zdeklarowanego putinistę. ©

Lektor:
Biblioteka nieobecnych



▪ *Karolina Grodziska*
POCZET RĘKOPISÓW UTRACONYCH
Wydawnictwo Austeria
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2026

Rękopisy nie płoną? Niestety ekipa Wolanda przywróciła nam tylko powieść Mistrza. Są też rękopisy, które gdzieś przepadły i nie wiadomo, czy wciąż istnieją. Jak słynny „Mesjasz” Brunona Schulza.

Karolina Grodziska kierowała krakowską biblioteką Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności, więc temat jest jej bliski. Świat biblioteczny bywa pisarsko płodny, by wspomnieć choćby Borgesa i Umberta Eco. Grodziska do swojego pocztu wybrała rzeczy z różnych półek, tak by z każdą łączyła się jakaś historia. Niekoniecznie tak ponura jak z Schulzem czy ze spaleniem przez Niemców Biblioteki Ordynacji Krasińskich; jak zauważa autorka, zniszczeniu uległy tam także rękopisy i ważne dokumenty w języku niemieckim.

Przechodzimy więc od tematu do tematu, jakbyśmy wędrowali przez muzeum, w którym część ekspozycji zamknięto, być może na stałe. I nie przeczytamy już listów Chopina do George Sand (a jakiż on miał talent także literacki!), ani wczesnej powieści Sienkiewicza (to dla mnie mniejsza strata). Nie dowiemy się też, co wpisywały rozmaite znakomitości naszej kultury, odwiedzające w XIX wieku modny wtedy Ojców, do księgi gości domu pani Katarzyny Indykowej, bo księgę ktoś ukradł. Zmieniamy rejestry, od tajemnicy słynnych „Rad Kallimacha” czy zawiłej historii poematu Mickiewicza „Kartofla” przechodzimy do zeszytów ze strzeżonymi pilnie rodzinnymi przepisami kucharskimi (piernik „Wisielec”!) albo do sztambuchów czy imionników. Pojawi się nawet film, też zaginiony, dalszy ciąg „Znachora”, i pytanie: czy Tadeusz Dołęga-Mostowicz, zabity przez Sowietów we wrześniu 1939, pisał od razu jego scenariusz, czy najpierw jednak kolejną powieść?

Są w tę piękną książkę wplecione wątki rodzinne, a poszczególne rozdziały zawierają też, obok części dokumentalnej, już bardziej literacką wizję zdarzeń. Jak wzruszająca scena, w której wdowa po Juliuszu Kadenie-Bandrowskim (zginął, jak ich synowie, podczas wojny) podejmuje decyzję, co zrobić z fragmentem brulionu, jedyną pozostałością po ostatniej powieści Kadena, „Jedwabnym węźle”.

Taką literacką wizję znajdziemy już w pierwszym rozdziale: oto księżniczka Dobrawa spędza ostatnią noc na Hradczanach. Przecież – tłumaczy autorka – Dobrawa, jadąc do poganina Mieszka, musiała mieć ze sobą nie tylko duchownego, ale i własny ewangeliarz. Więc choć źródła (nader skąpe) nic o nim nie mówią, wolno uznać ten ewangeliarz za pierwszy z naszych utraconych rękopisów... ©℗

eprasa.pl 7fab5216f4

PAWEŁ

Bravo:
Struktura kryształu



Dziesięć do piętnastu myszy – zależy, kto liczył – złapał kot Larry w ciągu piętnastu lat służby w siedzibie brytyjskich premierów. To znaczy tyle połowów udało się udokumentować prasie, która nie traci z oka sławnego dachowca zajętego głównie przysypianiem pod murkiem, podczas gdy na Downing Street dwunożne istoty ganiają jak, *nomen omen*, kot z pęcherzem. Żaden to powód do złośliwych uwag. Każdy etolog wam powie, że kot reguluje liczebność gryzoni w środowisku przez samą obecność, zniechęcając je np. do gniazdowania w pilnowanym domu. Najważniejsze dla ochrony jest po prostu to, że Larry trwa na stanowisku. Co można rozszerzyć daleko poza domenę deratyzacji. Swoją stałą obecnością przez lata, gdy karuzela z premierami kręciła się w jarmarcznym stylu, dawał narodowi poczucie, że gdzieś w tle wciąż działa, choćby w półśnie, jakieś państwo. Mało to poważnie brzmi: „Naczelny Myszołap Rządu JKM", powiadacie. Na tym polega urok brytyjskiego systemu, że zwykł przekłuwać błonę technokratycznej nudy – np. odpowiednik naszego wicepremiera Domańskiego zwie się tam Kanclerzem Szachownicy. Niżej w strukturach drzemie niejeden Suseł, Szaraki bez piątej klepki ganiają między komisjami, wam się tylko wydaje, że pan Lewis Carroll pisał z głowy.

Tak, nieraz przyszło mi do głowy, żeby wprosić się na podwieczorek i zostać poddanym króla. Powstrzymywała mnie tylko świadomość, jak podle tam się jada. Skoro idą święta, wspomnę np., że w Kornwalii na wigilię szykują *stargazey pie* – czyli placek z sardynkami, które wetknięte są w ciasto na sztorc łbem do góry i gapią się, jak głosi nazwa, w gwiazdy. Iście wiktoriański zmysł makabry. Poza tym nie bądźmy naiwni: oni często tracą dystans i autoironię, zaczynają się zachowywać zupełnie jak my.

Teraz np. wszystkimi kredensami w kraju wstrząsnął głupi skandal z solą z Maldon. Może kiedyś sami dostaliście w prezencie albo kupiliście jako oznakę statusu to piękne pudełko w zielony wzorek. Sól jak sól, chlorek sodu, czysta chemia, ale jej wygląd faktycznie osobliwy. Może nie aż tak, żeby płacić za nią sto złotych za kilogram, ale miło się dotyka te kruchutkie kryształki, z których część ma kształt piramidek. Albo małych łusek – podobnych do „kwiatu soli" pozyskiwanego w salinach na południu Francji, znacie go z puszeczek z wesołym wielorybem.

Z każdej podróży przywożę sobie sól, ale taką najzwyczajniejszą, za euro dwadzieścia, bo lubię praktyczne pamiątki, a te różne szczególne rodzaje, kwiatki i płatki wydawały mi się zawsze fanaberią. Ale np. największy znany mi fan Maldonu, pan Janek z piekarni Sto Bochenków, opowiada – a ja mu ślepo wierzę, bo jest dla mnie autorytetem nie tylko w kwestii chleba, lecz wszystkiego, co proste i dobre – że struktura tych kryształów pozwala uzyskać szczególny efekt w wykańczaniu potrawy bądź wypieku. Żaden szaleniec nie da kosztownej soli do wody na kluski, jednak jeśli się nią posypie sałatę albo chleb, to po pierwsze będzie nam przyjemnie czuć lekkie chrupanie (pamiętacie – mówiliśmy dopiero co o teksturze), po drugie uzyska się leciutki tylko efekt smakowy. Bo szczypta sporych, luźno upakowanych kryształów zawiera *per saldo* mniej chlorku sodu niż szczypta soli drobnokrystalicznej. Ta druga, czyli intensywna smakowo sól kuchenna za pięć złotych kilo, nie zapewni takiej zwiewności.



ELENA / ADOBE STOCK

Te szczególne właściwości fizyczne zapewniły w ostatnim ćwierćwieczu globalną sławę soli produkowanej od XIX wieku przez jedną jedyną rodzinną firmę. Równie ważna była aura czegoś rzemieślniczego, starodawnego. Może i kiedyś była rzemieślnicza, ale wielka popularność wymusiła zwiększenie produkcji. Z paruset ton do paru tysięcy. Efekt uzyskano „podkręcając" proces, poprzez wzmocnienie morskiej wody solą kamienną. Gęstsza solanka szybciej paruje i daje w efekcie więcej soli, chemicznie wszystko się zgadza, chlor to chlor, sód to sód, a ręczny proces zbioru się nie zmienił. Ale ktoś odkrył, że tę dodatkową sól sprowadzają z Niemiec. Firma się wykręca, że tamta też jest morska, bo pochodzi z osadów Morza Cechsztyńskiego. Z epoki permu, to było zaledwie 300 mln lat temu. Prasa

eprasa.pl 7fab5216f4



Saliny w rejonie Camargue, Francja

zawyła, influencerzy wściekli, już my wam damy perm! Nasza narodowa sól skażona Steinsalz! A potem mówią, że Polacy cierpią na szczególną germanofobię...

Dumne lwy Albionu przecież kiedyś zdążyły się oswoić, że rządzi nimi niemiecka dynastia, więc i teraz, jak sądzę, burza w szklance solanki potrwa krótko. Gorszą skazę wizerunkową na dłuższą metę zostawią pryskające odłamki mitu rzemiosła i ręcznej roboty. Ciągle nie umiemy się pogodzić, że jeśli coś naprawdę jest „kraftowe", to nie ma szans wyjść poza granice powiatu czy hrabstwa. Zostanie tylko kolejna lekcja, że jemy i smakujemy wyobraźnią, nie językiem.

Ale nawet jeśli za uśmiechem nie widać wcale kota, to jako konsumenci chcemy wierzyć, że tam istnieje. Tak jak w mojej czułej pamięci wciąż będzie istniał Grzegorz Lindenberg, zwany przez wszystkich Larrym. Chodzący osobnymi ścieżkami współtwórca sporego kawałka polskiego pejzażu medialnego epoki przełomu, mentor wielu z mojego pokolenia, który szybciej od nas rozumiał, co się z internetem i całym tym sztucznym światem święci. A poza tym wielki kociarz. Mądrzejsi ode mnie napiszą nekrologi, na naszym obrusie niech tylko zostanie ślad jego zwinnej łapy.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Brownie z solą i miso

Sól w płatkach, skądkolwiek by pochodziła, jest oczywiście znakomitym kompanem różnych deserów – bo nie ma takiej słodyczy, której nie pomogłoby podbicie słoną nutą, a struktura kruchych płatków daje dodatkową przyjemność, kiedy się je rozgryza. Szczególny pożytek w słodkiej kuchni można odnieść również z pasty miso, która nie dość, że słona, to jeszcze aż puchnie od umami.
W sierpniu zeszłego roku podawałem wam świetny przepis na herbatniki z miso i masłem orzechowym, serdecznie was zachęcam, by go odkurzyć. A dziś zróbmy wariant znanego i kochanego przez dzieci brownie – z tym że jest to ten bardzo mokry i mało słodki jego rodzaj, nie każdy maluch to polubi, ale dorośli na pewno.

SKŁADNIKI:
250 g gorzkiej czekolady 150 g oleju kokosowego 300 g cukru trzcinowego 120 g białej mąki 4 łyżki zmielonych nasion chia 4 łyżki jasnej pasty miso ▪ sól w płatkach

Namaczamy nasiona chia w szklance wody.
W garnku o grubym dnie podgrzewamy na bardzo wolnym ogniu olej i pokruszoną czekoladę, delikatnie mieszając. Gasimy ogień, trochę studzimy, dodajemy cukier i pastę miso, mieszamy, dalej mąka, znów mieszamy i na koniec dodajemy namoczone nasiona, a także trochę soli w płatkach. Zwykle wystarczą dwie szczypty, wszystko zależy od waszej otwartości na kontrasty smakowe.
Wylewamy ciasto na brytfankę o rozmiarach ok. 20x25 cm wyłożoną papierem do pieczenia, pieczemy w 190 stopniach przez ok. 45 minut. Na koniec nasz ciemny placek powinien być z wierzchu już całkiem suchy, ale dość miękki w środku, zresztą w trakcie studzenia jeszcze stężeje. ©℗



TARU STUDIO / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7fab5216f4


TEATR
TELEWIZJI
Tukidydes
WOJNA
PELOPONESKA
ADAPTACJA I REŻYSERIA:
Wawrzyniec Kostrzewski
PREMIERA
PONIEDZIAŁEK | 30.11 | 20:55 |
TVP 1

TEATR TELEWIZJI

NAJWIĘKSZA SCENA ŚWIATA



PREMIERA
Tukidydes
WOJNA PELOPONESKA
adapt. i reż. Wawrzyniec Kostrzewski

30.11 | TVP1 | 20:55
Trwająca 27 lat, brutalna i wyniszczająca wojna peloponeska objęła swoim zasięgiem niemal całą Grecję, przynosząc ostatecznie upadek Aten i hegemonię Sparty na długie lata. Czy w narastającym konflikcie mocarstw i bezwzględnej walce o wpływy może przejrzeć się rzeczywistość AD 2026? Mechanizm wojny jest zawsze taki sam: od dyscypliny i porządku do chaosu i zagłady ludzi, miejsc i idei. Wawrzyniec Kostrzewski sięga po bohaterów słynnej kroniki Tukidydesa – prekursora nowoczesnej historiografii – by ukazać ten mechanizm z perspektywy niezmiennej ludzkiej natury: to historia początkowej wiary, pychy i nadmiaru ambicji wodzów, strachu i zmęczenia żołnierzy i cywilów, a wreszcie klęski jednych i drugich. A na końcu, jak zawsze, pojawia się nadzieja: nigdy więcej wojny...

W obsadzie m.in.: Piotr Adamczyk, Michał Czernecki, Marcin Dorociński, Maja Komorowska, Łukasz Lewandowski, Agnieszka Podsiadlik, Olga Sarzyńska, Hugo Tarres.

14.12 | TVP1 | 20:55
Inspirowane życiorysem słynnej gwiazdy pop studium o cenie sławy, utracie tożsamości i walce o odzyskanie kontroli nad własnym życiem. Bohaterka spektaklu, jedna z największych ikon współczesnej kultury masowej – w tej roli Joanna Kulig – przygotowuje się do powrotu na scenę. Zanim jednak stanie przed publicznością, musi zmierzyć się z traumami przeszłości, rodzinnymi dramatami i bezwzględnymi regułami show-biznesu. W rytmie największych popowych przebojów, Ewelina Marciniak i Jarosław Murawski opowiadają historię kobiety próbującej odzyskać własny głos i tożsamość w świecie, który uczynił z niej produkt.

W obsadzie m.in.: Klara Bielawka, Roman Gancarczyk, Joanna Kulig, Dorota Pomykała, Karolina Staniec.



PREMIERA
Jarosław Murawski
BRITNEY
reż. Ewelina Marciniak



PREMIERA
Edouard Louis
MONIQUE UCIEKA
adapt. Anna Smolar, Tomasz Śpiewak, reż. Anna Smolar

21.12 | TVP1 | 20:55
Monique ma pięćdziesiąt lat i właśnie postanowiła uciec. Zamknięta w łazience, gdzie chroni się przed agresją partnera, z pomocą oddalonego o setki kilometrów syna, próbuje uwolnić się od życia, które przez lata trzymało ją w pułapce. Rozgrywająca się niemal w czasie rzeczywistym historia balansuje na granicy rodzinnego dramatu i thrillera, opowiadając o przemocy, społecznych mechanizmach odbierających kobietom sprawczość oraz niezwykłej bliskości matki i syna. Anna Smolar ponownie sięga po prozę Édouarda Louisa, tym razem tworząc przejmującą opowieść o walce o niezależność – emocjonalną i ekonomiczną – oraz prawie do decydowania o własnym życiu.

W obsadzie m.in.: Mateusz Górski, Anna Ilczuk, Judyta Paradzińska, Rob Wasiewicz.

WSZYSTKIE SPEKTAKLE DOSTĘPNE BEZPŁATNIE PO PREMIERZE NA TVP VOD

TEATRTV.VOD.TVP.PL – BOGATE ARCHIWUM PRZEDSTAWIEŃ, AKTUALNOŚCI, REPERTUAR, ROZMOWY

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 7fab5216f4

PSYCHE

WSTYD MA ZMIENIĆ STRONĘ

GISÈLE PELICOT

Stałam z podniesioną głową, żeby pokazać, że to oni są winni. Tego życzę wszystkim ofiarom: żeby odzyskały pewność siebie.



GISÈLE PELICOT przez dziesięć lat była odurzana i bestialsko gwałcona przez męża i pięćdziesięciu innych sprawców. Kiedy sprawa przypadkiem wyszła na jaw, musiała stanąć przed swoimi oprawcami i – choć nagrania gwałtów nie pozostawiają wątpliwości – odpierać argumenty adwokatów: śpi, więc nie cierpi, trochę rusza biodrami, więc może jest jej przyjemnie, jest zgoda męża, więc nie ma gwałtu, miała kiedyś romans, więc pewnie jest rozpustna.

Zrezygnowała z utajnienia rozprawy. Chciała, by wstyd zmienił stronę: wstydzić się mają sprawcy, nie ofiary – jak mówiła inna Gisèle – Halimi, francusko-tunezyjska prawniczka i feministka, dzięki której w 1980 r. do francuskiego kodeksu karnego wprowadzono precyzyjną definicję gwałtu.

Sprawa Gisèle Pelicot przełamała tabu i doprowadziła do zmiany tej definicji w prawie francuskim: na stosunek seksualny trzeba wyrazić zgodę, którą w każdej chwili można cofnąć. Brak oporu nie jest zgodą.

Po długim procesie, straciwszy dom i życie, które od pół wieku wiodła ze swoim oprawcą, Gisèle Pelicot napisała książkę. Można by się spodziewać tytułu „Moje piekło" i relacji o mężczyznach, którzy nienawidzą kobiet. Tymczasem otrzymaliśmy opowieść o sile charakteru i o tym, że nawet na zgliszczach może odrodzić się miłość.

Dziś, prawie dwa lata od zakończenia rozprawy, Gisèle Pelicot mieszka na wyspie Ré z nowym partnerem. Jej książka została przetłumaczona na czterdzieści języków, a autorka spotyka się z czytelniczkami i czytelnikami podczas europejskiego tourneé. Polskę odwiedzi 24 i 25 listopada.

DOROTA MALINA: Od procesu minęły już prawie dwa lata. Jak się Pani dziś czuje?

GISÈLE PELICOT: Teraz już dobrze. Odbudowałam swoje życie na zgliszczach. Nie było to łatwe i trochę to trwało, ale dziś znów jestem sobą. Spokojna i szczęśliwa.

Od tego czasu międzynarodowe organy ścigania wykryły wiele podobnych spraw, między innymi w Polsce, w Niemczech, w Wielkiej Brytanii. Otwarła się puszka Pandory. Myśli Pani, że to nowe zjawisko czy po prostu wcześniej o nim nie wiedzieliśmy?

Kiedy ujawniono mi moją historię, okropną i niewiarygodną, myślałam, że coś takiego spotkało tylko mnie. Dziś już wiem, że taki proceder występuje wszędzie, to prawdziwa plaga społeczna, która nie zna granic i barier kulturowych. Tak zwane pigułki gwałtu są narzędziami przemocy, a przemoc – instrumentem męskiej dominacji. I przeraża mnie to, że niektórzy mężczyźni dopuszczają myśl, iż kobieta może być przedmiotem.

Czy winne, przynajmniej częściowo, nie są też media społecznościowe i internet? Żyjemy w kulturze obrazkowej, gdzie kobieta bywa przedstawiana jako narzędzie zaspokajania męskich fantazji.

Zgadzam się, media społecznościowe bywają tu bardzo szkodliwe. Ale moim zdaniem to bardziej kwestia zdrowego rozsądku i etyki, wybierania między dobrem a złem.

eprasa.pl 7fab5216f4



CHRISTOPHE SIMON / AFP / EAST NEWS

Na zdjęciu Gisèle Pelicot przed gmachem sądu w Awinionie. Francja, 7 listopada 2024 r.

Wiadomo, że popełniając takie przestępstwa, świadomie czynimy zło. Nie ma tu moralnych niuansów. Ale niestety są wciąż na świecie mężczyźni, którzy dają sobie przyzwolenie na to, żeby odurzać i podporządkowywać sobie kobiety. Tak było z panem Pelicot [Gisèle Pelicot o byłym mężu mówi „Monsieur Pelicot", żeby zaznaczyć swój dystans. W książce posługuje się imieniem Dominique – DM]. Powtarzał, że poskramia kobietę niepokorną. Nie byłam uległa, ale on znalazł sposób, farmakologiczny, żeby zdobyć nade mną władzę. Zawsze tego chciał. Przeraża mnie, że taki proceder dziś nadal występuje.

Zwłaszcza że niestety nadal pokutuje pogląd, że kobieta zgwałcona jest „nieczysta". I sama sobie winna, bo założyła za krótką sukienkę.

No właśnie. Stawiamy sprawę na głowie i winimy ofiarę. Dlatego powtarzam, że wstyd musi przejść na drugą stronę. Niech wstydzą się zbrodniarze. Żadna ofiara nie jest winna tego, co ją spotkało. Właśnie dlatego otwarłam drzwi do sali rozpraw – to nie ja mam się wstydzić. Stałam z podniesioną głową, żeby pokazać, że to oni są winni. Właśnie tego życzę wszystkim ofiarom tabletek gwałtu: żeby odzyskały pewność siebie i zrezygnowały z procesu za zamkniętymi drzwiami. Jeśli są w stanie, bo to oczywiście wcale nie jest łatwe.

Dzięki nagłośnieniu Pani procesu podobne sprawy wychodzą dziś na światło dzienne. Myśli Pani, że jesteśmy blisko wykorzenienia tak zwanej „kultury gwałtu"?

Wydaje mi się, że trzeba nadal mieć się na baczności. Kobiety powinny na siebie uważać. A społeczeństwo – być gotowe je wysłuchać. I wyciągnąć do nich rękę. Bo same nic nie zdziałamy. Potrzeba nam wsparcia polityków, rządzących. Muszą wprowadzić odpowiednie kary i zadbać, żeby zbrodniarze odbywali wyroki. Bo dziś wiem, że niektórzy z moich gwałcicieli są już na wolności. Oczywiście wymiar sprawiedliwości zakłada możliwość skrócenia kary. Ale nie jestem pewna, czy w więzieniu naprawdę zrozumieli, czego się dopuścili. Do końca procesu twierdzili, że są niewinni. Boję się, że wyjdą na wolność i znów zaczną gwałcić.

Jak sprawić, by kobiety zaczęły zgłaszać gwałty? Skoro nie ufają instytucjom i boją się, że nikt im nie uwierzy.

To zrozumiałe. Strach paraliżuje, skłania do bierności. Kobiety często słyszą, że jeśli zgłoszą gwałt, to zniszczą rodzinę. Wpędza się je w poczucie winy, boją się cokolwiek robić. Myślę, że mój proces może dodać im sił, bo wszyscy moi gwałciciele zostali skazani. Kobiety powinny powtarzać sobie jak mantrę: nie ja jestem winna, jestem ofiarą.

Uderzyła mnie postawa matek, żon i partnerek przestępców w Pani książce. Wiele kobiet wypierało winę najbliższych, choć dowody były jednoznaczne. Jak Pani to tłumaczy?

Ja też, kiedy 2 listopada 2020 r. zostałam wezwana na komisariat i podkomisarz Perret pokazał mi zdjęcia, nie mogłam w to uwierzyć. Niemożliwe, żeby człowiek, z którym żyję od pół wieku, mógł mi to zrobić. Myślałam, że to fotomontaż. Wszystko wypierałam. Bo jak można zaakceptować, że najbliższa nam osoba tak nas skrzywdziła? I to nie raz, tylko przez całą dekadę. Przecież co rano patrzył na mnie, jakby nigdy nic. Właśnie to najbardziej mną wstrząsnęło. Jak mogłam niczego nie zauważyć? Jestem pewna, że dziś jest jeszcze wiele kobiet w mojej sytuacji, które mówią sobie: nie, to niemożliwe. Kiedy podczas procesu bliskie oskarżonym kobiety zarzucały mi kłamstwo, wiedziałam, że sama mogłabym być jedną z nich.

Być może wyparcie wynika ze strachu, że stracimy rodzinę?

Tak, burzymy cały rodzinny układ i nic nam nie zostaje. Właśnie to mnie spotkało: nie miałam nic. W wieku siedemdziesięciu lat byłam jak osiemnastolatka, która zaczyna od zera.

Pani książka pokazuje, że można się odbudować. Że odejście od gwałciciela może być nowym początkiem.

Uważam, że można tego dokonać. Ale uwaga: kobieta nie może być w tym sama. Trzeba poszukać pomocy: psychologa, prawnika. Ja miałam wielkie szczęście do dwóch wspaniałych ↦

eprasa.pl 7fab5216f4

↦ adwokatów, którzy towarzyszyli mi przez cały proces. Uzyskałam też wsparcie ze stowarzyszenia pomocy ofiarom, które było przy mnie na co dzień. Otuchy dodawały mi też kobiety, które gromadziły się przed sądem, niektóre przyjeżdżały nawet z zagranicy. Trzeba odważyć się prosić o pomoc.

Proces wymagał obejrzenia nagrań z gwałtów. Dodatkowo zdecydowała się Pani, by toczył się przy otwartych drzwiach, dokładając sobie cierpienia. Skąd taka wielka siła i odwaga?

Trzeba było upublicznić mój przypadek, żeby powiedzieć: nigdy więcej. Nigdy więcej. Od tamtego czasu dowiedzieliśmy się, że to nie była pojedyncza sytuacja. I dlatego wszyscy powinniśmy poważnie się nią zająć. Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze. Milczenie zostało przełamane. Tego jestem pewna, bo codziennie docierają do mnie świadectwa kobiet, które mi dziękują, piszą, że dzięki mnie złożyły zawiadomienie na policji albo wniosek o rozwód, bo nie chcą już dłużej znosić przemocy. O tym też zaczęliśmy mówić: że gwałt to nie tylko obcy na parkingu, ale również najbliżsi w domu.

Uważa Pani, że oprócz definicji gwałtu, coś jeszcze powinno się zmienić pod względem prawnym? Obejrzałam ostatnio nowy film Roberta Guédiguiana „Une femme aujourd'hui". Może jestem naiwna, ale uderzyło mnie, jak duże wymagania stawia się straumatyzowanej ofierze. To ona ma dostarczyć dowody, natychmiast udać się na obdukcję, działać racjonalnie i zabezpieczać DNA. Wypadałoby nosić w torebce probówki.

Tak, mój przypadek był inny. Ja nie poszłam nic zgłaszać, policja sama się ze mną skontaktowała. Wszystkie dowody już mieli. Większość ofiar nie jest w tak korzystnej sytuacji. Przychodzą na komisariat i muszą się tłumaczyć, przedstawić dowody. To bardzo trudne. Moim zdaniem ofiary gwałtu cierpią podwójnie. Padły ofiarą zbrodni, a potem muszą jeszcze to udowadniać. A ciężko to zrobić, kiedy nie ma dowodów, kiedy to słowo przeciwko słowu. Często pojawiają się wątpliwości, a wszelkie wątpliwości zawsze zalicza się na korzyść oskarżonego.

Czy Pani zdaniem kobietom należy bezwarunkowo wierzyć?

Pewnie by należało, ale prawo zakłada domniemanie niewinności. Nie można oskarżać bez dowodów. Policja i sędziowie mogą nam nawet uwierzyć, ale kiedy gwałciciel mówi, że nie, przecież ona się zgodziła, praktycznie nie da się udowodnić, że było inaczej. W dodatku obrona, bo takie jest jej zadanie, próbuje podważyć naszą wersję. Ja usłyszałam nawet, że udaję, że śpię, a tak naprawdę dobrowolnie uczestniczę w orgii. Choć na filmie widać, że jestem zupełnie odurzona, w głębokim śnie! Adwokaci sprawców próbują nas upokorzyć, żebyśmy wycofały oskarżenie. Dlatego kobiety też muszą mieć bardzo dobrych prawników. Moi adwokaci nie musieli borykać się z brakiem dowodów, bo tych mieliśmy mnóstwo. Ale wspierali mnie i chronili przed strasznymi atakami obrońców. A raczej obrończyń, bo w większości były to kobiety.

Czy wszystko w książce to Pani słowa? Wiemy, że pomagała Pani dziennikarka Judith Perrignon.

Tak, przez dziesięć miesięcy pracowałam z Judith. Był to bardzo naturalny, organiczny proces. Od razu poczułam, że mogę jej zaufać. Opowiedziałam jej całe swoje życie, a ona potrafiła ująć je w słowa. Pracowałyśmy rozdziałami – ja opowiadałam, ona pisała, potem czytałam tekst i nanosiłam poprawki. Na czas pracy przez kilka dni w miesiącu przenosiła się do mnie. Chciałam, żeby mogła obserwować mnie w codziennym życiu: zobaczyć, jak mieszkam, gdzie spaceruję po plaży, jaki jest mój las, jaki był domek, w którym przez prawie trzy lata pierwszy raz w życiu mieszkałam sama, zanim poznałam Jean-Loupa [obecnego partnera – red.]. Czytając rozdziały często płakałam, bo na nowo przeżywałam te sceny, na przykład śmierć matki. Książka jest niesamowicie autentyczna. Wydaje mi się, że właśnie dzięki temu stała się tak popularna. Czytelnicy czują, że to prosta, szczera historia.

W dodatku wcale nie mroczna. Spodziewałam się przygnębiającej opowieści o ludzkim bestialstwie.

Nie, nie zamierzałam pisać nic takiego. Prasa przez kilka miesięcy relacjonowała rozprawę, więc to już wybrzmiało. Zależało mi na tym, żeby pokazać, że w kobiecie drzemie wielka siła. Od wczesnego dzieciństwa, choć doświadczyłam śmierci i tragedii, dawałam radę. Padałam, jak bokser na ringu, ale zawsze się podnosiłam.

Nie wiem, czy to reguła. Są przecież ofiary, które zupełnie się rozsypują.

Tak jak piszę w książce, też zdarzały mi się chwile załamania. Ale górę zawsze brała radość życia, którą odziedziczyłam chyba po matce i babci. Nigdy nie widziałam, żeby moja mama płakała. Na pewno swoje wycierpiała, ale nigdy nie dawała tego po sobie poznać. W domu śmialiśmy się razem, a płakaliśmy każdy osobno. To dało mi siłę na całe życie.

W sądzie stała Pani prosto, z wysoko podniesioną głową.

Tak, niektórzy zresztą mi to nawet wyrzucali, że się zbyt elegancko ubieram. Spodziewali się poturbowanej przez życie siedemdziesięciolatki z nosem na kwintę. Nie dałam im tej satysfakcji. Chciałam pokazać, że to ja wygram, nie oni. Proces był zresztą wyjątkowy, bo jedna ofiara stała naprzeciw pięćdziesięciu jeden oskarżonych. Zwykle jest odwrotnie – jeden sprawca, wiele ofiar.

Proces był długi, wyczerpujący i trudny. Zdarzało mi się słyszeć obelgi i oskarżenia.

Wytrwała Pani i zmieniła rzeczywistość, również prawną.

Zaraz po procesie zmieniono definicję gwałtu i zgody. To ogromny postęp, ale trzeba pamiętać, że prawo to jedno, a mentalność to co innego.

A jak możemy ją zmienić?

Uważam, że najważniejsza jest edukacja. Już od najmłodszych lat trzeba uwrażliwiać dzieci na te kwestie. I nie wycho-

eprasa.pl 7fab5216f4

W Polsce informacji, porad prawnych i wsparcia ofiarom przemocy i gwałtu udzielają między innymi:

tel. 116 006 – Sieć Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem (bezpłatny, całodobowy numer)

tel. 800 120 002 – Niebieska Linia

tel. 888 88 33 88 – Feminoteka

tel. 600 070 717 – Centrum Praw Kobiet

wywać chłopców w przeświadczeniu, że wszystko się im należy. Dawniej tak właśnie było: chłopcom zapowiadano wielkie kariery, a kobiety miały zajmować się domem. Gisèle Halimi, ważna dla mnie postać, zbuntowała się przeciwko takim podziałom: chciano wydać ją za mąż, a ona uparła się, żeby studiować prawo. Musiała długo o to walczyć. To wspaniały przykład, zwłaszcza jak na tamte czasy – urodziła się w 1927 r. Dziś kobiety się emancypują, robią karierę, ale w latach pięćdziesiątych tak nie było. Ważne jest, żeby dziś wychowywać dziewczynki i chłopców tak samo, dawać im równe szanse i perspektywy. No i przede wszystkim uczyć ich szacunku do siebie i drugiego człowieka.

Zwłaszcza teraz, kiedy coraz wcześniej mają dostęp do pornografii.

Przeraża mnie, że nawet dziesięciolatki mają styczność z przemocą seksualną. I wyobrażają sobie, że na tym polega miłość. Oczywiście rodzice powinni być bardzo uważni i starać się je chronić. Tyle że pornografia jest teraz wszędzie i nawet jeśli rodzic założy blokady i pilnuje, zawsze można podejrzeć coś u kolegi. Nie jest to łatwe, zwłaszcza że oczywiście nie możemy zamknąć dzieci w klatkach i odgrodzić od świata. Dlatego uważam, że przede wszystkim należy o tym rozmawiać, mówić, że nie na tym polega miłość, a kobieta nie jest przedmiotem ani narzędziem. Potrzeba nam innej narracji.

Którą dostajemy na przykład w Pani książce. Ukaże się ona w Polsce pod koniec listopada. Czy chciałaby Pani coś powiedzieć przyszłym czytelniczkom?

Przede wszystkim to, że bardzo cieszę się na nasze spotkanie i wspólne rozmowy, bo wybieram się do Polski. Mam nadzieję, że będą wierzyć w siebie. I że moja historia doda im nadziei i siły.

Nie tylko ofiarom gwałtów, ale też przemocy domowej.

Którym towarzyszy często także trudna sytuacja materialna. Jak odejść, kiedy nie ma się pieniędzy? We Francji są stowarzyszenia, które przyjmują kobiety w takiej sytuacji, w Polsce pewnie też. Trzeba uciekać natychmiast, kiedy pojawi się przemoc. Im dłużej czekamy, tym trudniej odejść. Należy szukać pomocy. Żeby chronić siebie, ale też swoje dzieci – bo dziecko, które patrzy, jak ojciec bije matkę, będzie myślało, że to normalne. I przemoc będzie niosła się przez kolejne pokolenia. Trzeba to zatrzymać. I nie udawać ze wstydu, że nic się nie dzieje, że siniak na twarzy to „od upadku".

Wciąż mamy w głowie słowa przysięgi małżeńskiej: aż do śmierci, na dobre i na złe.

Ja też brałam ślub w kościele i też wypowiadałam te słowa. Tylko że myślałam, że „złe" to może być choroba i śmierć. W życiu nie przypuszczałam, że mój mąż stanie na ławie oskarżonych, a ja będę jego ofiarą. Postanowiłam jednak przekuć tę historię w siłę, chciałam przysłużyć się innym. Pomogło mi to przetrwać i, mam nadzieję, pomoże innym kobietom.

Myśli Pani, że lekarze za mało wierzą kobietom? Pamiętam z książki, jak lekarka lekceważy Pani objawy, mówiąc, że to nerwowość...

Tak, zrobiłam tomografię i poszłam do neurolożki, bo myślałam, że tak jak matka mam guza mózgu i stąd dziury w pamięci. Lekarka nawet nie spojrzała na wyniki. Stwierdziła, że mam stany lękowe, i przepisała mi melatoninę. Poszłam jeszcze do innych specjalistów, ale żaden niczego nie zdiagnozował. Nikomu nie przyszło do głowy, że jestem gwałcona. Nikt nie pobrał mi krwi ani próbki włosów. Choć dziś, po moim procesie, już wiadomo, że pigułki gwałtu zostawiają ślady. Kobieta, która rano nie pamięta, co działo się poprzedniego wieczoru, powinna zbadać krew i włosy. W razie wątpliwości od tego trzeba zacząć.

Cenna rada, ale to smutny obraz rzeczywistości, skoro musimy być aż tak nieufne.

Owszem, ale sprawa jest poważna. Wiem, że w Austrii wydarzyła się historia podobna do mojej i kobieta zmarła – nigdy nie wybudziła się ze śpiączki. Opowiadam w książce o swojej przeprawie również po to, żeby przestrzec kobiety. Mam nadzieję, że książka nie jest ponura.

Czy planuje Pani pisać kolejne książki?

O nie, absolutnie nie. Chcę cieszyć się czasem, który mi jeszcze został, spędzać go z dziećmi i wnukami. I zostać bardzo leciwą staruszeczką. Zawsze będę słuchać kobiet, które chcą ze mną rozmawiać. Nie wiem, czy mogę coś komuś radzić, bo każda z nas jest inna i inaczej reaguje na przeciwności. Wydaje mi się, że właśnie to jest moim życiowym zadaniem: słuchać i ostrzegać. © Rozmawiała DOROTA MALINA

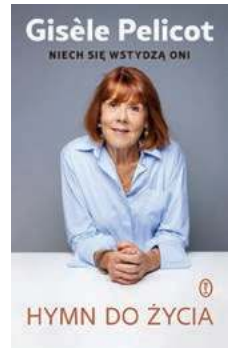

Gisèle Pelicot, Judith Perrignon
HYMN DO ŻYCIA.
NIECH SIĘ WSTYDZĄ ONI
w przekładzie Oskara Hedemanna ukazało się nakładem Wydawnictwa Literackiego 21 listopada 2026 r.

eprasa.pl 7fab5216f4

TOMASZ

Stawiszyński:
Przesłanie z Tbilisi



Ktokolwiek miał jeszcze wątpliwości, już ich raczej mieć nie powinien. Żądania, jakie Rosja przedstawiła podczas „negocjacji pokojowych" w Abu Zabi, potwierdzają to, co od dawna widać było gołym okiem. W całej tej „operacji specjalnej" nie chodzi wcale o neutralizację ukraińskich starań o przystąpienie do NATO – które zresztą przed lutym 2022 r. były na etapie mniej niż hipotetycznym; nie chodzi także o żadne kwestie „bezpieczeństwa" ani obawy przed zbytnią bliskością wojsk Sojuszu przy rosyjskich granicach (abstrahując już nawet od tego, że NATO jest z definicji koalicją obronną, a nie ofensywną). Chodzi natomiast – i od początku chodziło – o pełne przejęcie Ukrainy oraz głęboką przebudowę całej architektury europejskiego bezpieczeństwa. Czytaj: odbudowę rosyjskiej strefy wpływów sprzed upadku muru berlińskiego.

A nawet o coś więcej niż odbudowę, czego dowodzi jedno z najbardziej bezczelnych i ostentacyjnych żądań: by Wielka Brytania i Francja zrzekły się możliwości nuklearnej obrony innych krajów europejskich. Doprawdy spektakularna to propozycja, zwłaszcza w kontekście wciąż powtarzanych przez Putina i Ławrowa deklaracji, że żadnej wojny wszczynać nie zamierzają. Można zapytać naiwnie: skoro nie zamierzają, po co im takie gwarancje? Czy Jan, który twierdzi, że nie zamierza napadać na Piotra, a zarazem żąda od jego przyjaciół zapewnień, że w razie czego nie będą go bronić, wydaje się godny zaufania?

Rosja, oczywiście, wcale nie chce być godna zaufania. To nie są żadne „negocjacje pokojowe", lecz gra, której stawką jest pełna dominacja nad przeciwnikiem. W tej grze nie ma prawdy, zasad i punktu odniesienia w postaci rzeczywistości – są tylko mniej lub bardziej skuteczne metody zdobywania przewagi i realizowania własnych celów. Stosunek do kłamstwa w rosyjskiej kulturze to temat na osobne rozważania – ciekawie pisał o tym m.in. Alain Besançon w książce „Święta Ruś" – nie zapomnę jednak, jak przed wieloma laty pewien znajomy Rosjanin (deklaratywnie liberał, a po godzinie rozmowy – pełnoskalowy imperialista) tłumaczył mi spokojnym tonem, że oszustwo jest dokładnie takim samym pragmatycznym narzędziem jak każde inne. Skoro jesteś przekonany, że działasz na rzecz dobrej sprawy – wywodził – możesz swobodnie posługiwać się mistyfikacją i manipulacją; czymże bowiem jest zło, które z tego wynika, w porównaniu z dobrem, jakie zamierzasz osiągnąć?

Cóż, kto w piątym roku wywołanej przez siebie wojny stawia takie warunki jak Rosja w Abu Zabi, ten z pewnością nie szuka kompromisu. A kiedy przysłuchiwałem się dyskusjom na ten temat i kolejnym wypowiedziom rosyjskich notabli, przyszły mi na myśl pewne słowa. Wypowiedział je w sierpniu 2008 r. polski prezydent podczas wiecu w Tbilisi.

Dlaczego dziś się do nich nie odwołujemy? Dlaczego ich nie cytujemy? Polityczna przenikliwość Lecha Kaczyńskiego i odwaga, z jaką sprzeciwił się wówczas Putinowi, są przecież aż nadto widoczne. Jeśli ktoś bardzo wcześnie dostrzegł, co dzieje się z rosyjską mentalnością w XXI w. – to właśnie on. Oczekiwałbym od polityków, którzy go wtedy wyśmiewali, zarzucali mu „rusofobię" i nazywali nieudacznikiem, żeby głęboko przemyśleli swoje wypowiedzi sprzed lat. Owszem, realia naszej polaryzacji na tym m.in. polegają, że o przeciwniku politycznym nigdy nic dobrego powiedzieć nie wolno. Nie może on mieć racji w żadnej sprawie, choćby twierdził, że słońce wstaje na wschodzie, a na zachodzie zachodzi. Sytuacja, w której okazuje się, że w czymś jednak rację miał, wywołuje wyjątkowo nieprzyjemny dysonans. A przecież o przemówieniu Kaczyńskiego w Gruzji – gdzie z jego inicjatywy stanęli wspólnie prezydenci Estonii, Litwy i Ukrainy, premier Łotwy i ówczesny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski – nie sposób myśleć inaczej niż jako o wypowiedzi niezwykle trafnej, jeśli nie wręcz proroczej.

„Ten kraj uważa, że dawne czasy upadłego, niecałych 20 lat temu, imperium wracają. Że znów dominacja będzie cechą tego regionu. (...) To łamanie ludzkich charakterów, to narzucanie obcego ustroju, to narzucanie obcego języka. (...) I my też świetnie wiemy, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze Państwa Bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę! Byliśmy głęboko przekonani, że przynależność do NATO i Unii zakończy okres rosyjskich apetytów. Okazuje się, że nie, że to błąd".

Nie ma potrzeby przytaczać dziś komentarzy, jakie te słowa wywołały wśród niektórych polityków czy tzw. opinii publicznej. Warto natomiast docenić trafność diagnozy i dalekowzroczność jej autora. Pomijając nawet tę konkretną kwestię, jest to po prostu dobre ćwiczenie – mentalne i moralne. W sam raz na nasze czasy. Nauczyć się przyznawać rację temu, kto ją rzeczywiście ma, choć się go nie lubi albo wręcz nienawidzi. Uświadamiać sobie, że nasze afektywne wrogości i pewności, z którymi w danym momencie stuprocentowo się identyfikujemy, mogą być całkowicie chybione, a to, co jawi nam się jako fałszywe, beznadziejne i śmieszne – może okazać się prawdą.

Przypomnijmy wreszcie, że w 2008 r. w Tbilisi była mowa również o jedynym sposobie na zatrzymanie Putina. Jest nim solidarność. Nie merkantylne gry, nie kalkulacje *à la* John Mearsheimer, lecz pełna europejska solidarność. Także to przesłanie Lecha Kaczyńskiego brzmi dziś nadzwyczaj aktualnie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 7fab5216f4

TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI



SUBSKRYPCJA CYFROWA

Wszystkie treści bez ograniczeń

- Nieograniczony dostęp do wszystkich treści serwisu
- Newslettery i dodatkowe publikacje tylko dla subskrybentów

299 zł **rocznie**

–15% z kodem* LISTOPAD15

tygodnikpowszechny.pl/dostep/tp-online-dostep-roczny

Zeskanuj i subskrybuj



PRENUMERATA Z KURIEREM INPOST

Czytasz cały rok, płacisz co miesiąc

- Roczna prenumerata z płatnością miesięczną: 12 × 67 zł
- Darmowa dostawa: kurier InPost prosto pod Twoje drzwi

67 zł **miesięcznie**

tygodnikpowszechny.pl/oferta-raty-inpost

Zeskanuj i zamów



PRENUMERATA ŁĄCZONA

Dwa formaty, jedna prenumerata

- Subskrypcja cyfrowa + wydanie papierowe
- Darmowa dostawa: paczkomat InPost

983 zł **rocznie**

–15% z kodem* LISTOPAD15

tygodnikpowszechny.pl/oferta-laczona-inpost

Zeskanuj i zamów

* Kod LISTOPAD15 obniża cenę subskrypcji cyfrowej i prenumeraty łączonej o 15%. Ważny do 30 listopada 2026 r.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 7fab5216f4


PROGRAM CPN SUBARU
CZAS POZNAĆ NIEZNANE
TY WYBIERASZ KIERUNEK
MY DOKŁADAMY PALIWO!

Świadczenie w programie realizowane jest w formie przedpłaconej karty paliwowej o wartości 3 500 zł brutto. Wskazany w materiałach promocyjnych dystans 6 000 km ma charakter orientacyjny i opiera się na przykładowej kalkulacji, uwzględniającej zużycie paliwa przez Subaru Forestera na poziomie 8,1 l/100 km oraz cenę benzyny Pb95 wynoszącą 6,70 zł/l (według stanu na 21.10.2026 r.). Rzeczywisty dystans możliwy do przejechania zależy m.in. od faktycznego zużycia paliwa oraz jego ceny. Szczegółowe zasady udziału w programie określa regulamin dostępny na stronie subaru.pl/subarucpn.html.

REKLAMA

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU · KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS · warta. · ERSTE Leasing · ENEOS MOTOR OIL · ERGO HESTIA · YOKOHAMA

eprasa.pl 7fab5216f4